KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/272 1970

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. STALIŃSKI : **W POLSKICH OCZACH**

Z. HAUPT : **BASKIJSKI DIABEŁ**

B. LEWIĆKYJ : **ZSSR U PROGU LAT 70-TYCH**

E. WACOWSKA : **W STRONĘ GORZKIEJ REFLEKSJI**

SPIS RZECZY

Tomasz Staliński: *W polskich oczach* 3
Gustaw Herling-Grudziński: *Rione Terra* 42
Zygmunt Haupt: *Baskijski diabeł* 47

WIERSZE

Filip Istner: *Endokrynologia i Esseńczycy* 58

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski: *Może zdarzyć się i tak (II)* 61
Brukselczyk: *Widziane z Brukseli* 68
Londyńczyk: *Kronika angielska* 79
— *Protesty w sprawie Kuronia i Modzelewskiego* 89

SĄSIEDZI

Borys Lewićkyj: *ZSSR u progu lat 70-tych* 90
Ignacy Szenfeld: *Twardowskij — „Nowyj Mir"* 99
Adam Kruczek: *W sowieckiej prasie* 107

KRAJ

Richard Lourie: *Amerykanin w Warszawie* 113
— *Czarna lista* 119

SPRAWY I TROSKI

Danuta Mostwin: *Polonia amerykańska* 121

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Bogdan Czaykowski: *Tadeusz Peiper (1891-1969)* 135

KRONIKA KULTURALNA

K. A. Jeleński: *Czy „inny" Gombrowicz?* 144

KSIĄŻKI

Ewa Wacowska: *W stronę gorzkiej refleksji* 150
— *Nadesłane nowości wydawnicze* 158

◆

— *Wydarzenia miesiąca* 160

◆

G. Herling-Grudziński, D. Podkomorska, T. Sołowij, K. Wodzicki, St. Zarzewski: *Listy do Redakcji* 164

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj-Mai 1970

INSTYTUT LITERACKI

OD REDAKCJI

Przepraszamy naszych Czytelników za ogromne opóźnienia w dostarczaniu *Kultury*, o których stale piszą nam z rozmaitych krajów zamorskich, a przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Jeszcze raz stwierdzamy, że *Kultura* wychodzi punktualnie i jest ekspediowana między 3 a 4 każdego miesiąca, jednego dnia do wszystkich krajów. Strajki pocztowe są obecnie wszędzie na porządku dziennym i to jest siła wyższa, na którą nikt z nas poradzić nie może. Natomiast, jeśli idzie o Stany Zjednoczone, to nie tylko strajki wpływają tam na złe funkcjonowanie poczty. Nasi przyjaciele amerykańscy piszą nam, że aby temu zaradzić należy zwracać się ze skargami pisemnymi (po angielsku) do kongresmana T. J. Dulskiego, przewodn. komisji do spraw poczty nad adres: Hon. Thaddeus J. Dulski, Chairman Committee on Post Office and Civil Service, 207 Cannon House Office Building, Washington, D.C. 20515. Proponujemy aby i nasi Czytelnicy spróbowali napisać — może odniesie to skutek. (Redakcja).

WPŁATY NA FUNDUSZ „KULTURY"

Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz ósmy	F. 110,00
Stanisław Czerski, Ste Foy, Que. (Kanada), po raz piąty	F. 41,00
L. Demby, Nomansland n/r Salisbury (W. Brytania)	F. 14,00
A. G. Goleta, Cal. (USA), różnica wskutek złego obliczenia wpłaty w ub. miesiącu	F. 20,00
Loża Polska Kopernik, Paryż — na fundusz im. Jerzego Stempowskiego	F. 200,00
Ks. Henryk Malak, Lemont, Ill. (USA)	F. 71,50
Leopold Tyrmand, New York, po raz trzeci	F. 200,00
J. Wysocki, Londyn, po raz drugi	F. 670,00
Polak z Kraju, przebywający w Szwajcarii na fundusz Jerzego Stempowskiego	F. 20,00

DZIĘKUJEMY!

SUBSKRYPCJA NA „DZIEŁA" W. GOMBROWICZA
(Lista Nr 6)

H. M. Arter, Punchbowl, NSW (Australia).
Janusz A. Kalita, Tarzana, Cal. (USA).
W. J. Kędzierski, Montreal, Que. (Kanada).
Los Angeles Public Library, Cal. (USA).
Lucjan Szulkin, Saltsjo-Boo, (Szwecja).
Colleen Taylor, Scarboro, Ont. (Kanada).
J. Zwolska-Sell, Philadelphia, Pa. (USA).

IMPRIME EN FRANCE

W polskich oczach

Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek nieliczni są w Polsce humaniści, którzy nie tylko posiadają rozległą wiedzę i prawdziwie europejską kulturę, ale także podejmują polską problematykę. A rozumiem przez to, że ich punktem widzenia — znakiem wyróżniającym, który nadaje spojrzeniu piętno a zarazem rangę wartości — powinno być głębokie przekonanie o określonej misji cywilizacyjnej powierzonej Polsce, o zadaniu, które trzeba wypełnić. Jeżeli chcemy temu zadaniu podołać, musimy zrozumieć przesłanie zawarte w polskiej kulturze, w polskich dziejach. Będziemy pełnoprawnymi członkami europejskiej wspólnoty, jeżeli nie zagubimy się w jałowym naśladowaniu Zachodu, jeżeli potrafimy odnaleźć odrębny ton, wnieść oryginalne treści do ogólnego dorobku. Naśladowanie byłoby jałowe, bo choćbyśmy nawet podjęli melodię w sposób nie do odróżnienia, nie fałszując ani jednej nuty, to przecież nie odnajdziemy w dorobku tamtych automatycznej odpowiedzi na nasze trudności, bo ich jest to dorobek, nie nasz. W czego konsekwencji nie należy oczywiście odcinać się od wszelkich wpływów, tłumacząc tworzenie wokół siebie obronnych murów zagrożeniem przez obcą dominację. Prawdziwie oryginalna kultura nie boi się wpływów; więcej nawet — kultura należąca do europejskiej wspólnoty nie może się ich bać, bo odgradzając się od innych przekreśla europejską jedność w wielości: nasze istotne bogactwo; jeszcze więcej — tylko naprawdę samoistna kultura może twórczo korzystać z obcych wpływów: stopień otwartości dla innych jest w pewnym sensie miarą kulturalnej nośności danej formacji.

„Kwestia polska" w planie kultury sprowadza się przeto do odnalezienia tego wyróżniającego punktu widzenia, który pozwoli nam lepiej rozumieć siebie i innych. Odsłonić go można poprzez refleksję nad sytuacją Polski w świecie, poprzez zrozumienie swoistych i wyjątkowych doświadczeń, z których wyciągnięte wnioski pozwolą na zachowanie tego, co wspólne, na uratowanie

i podtrzymanie twórczej obecności w europejskiej rodzinie narodów.

Do tak myślących ludzi należał chyba Stefan Żeromski, do nich trzeba zaliczyć Jana Kucharzewskiego czy Mariana Zdziechowskiego. Ich twórczość jest obecnie prawie zapomniana a jest ona dzisiaj bardziej aktualna niż kiedykolwiek. Każdy kto chce zrozumieć polskie losy, powinien się nad tymi książkami zastanowić — a ktokolwiek pisze po polsku, jeżeli nie chce zatracić sam siebie, powinien pochylić się nad tym źródłem i z wyjątkową uwagą wsłuchiwać się w jego mowę.

Twórczość tych pisarzy stawia przed czytającym dwa zagadnienia: maluje obraz pewnego, bardzo wyjątkowego, naukowego powołania oraz szkicuje problem prawdziwych zadań polskiej kultury, jej wkładu i roli w europejskim dziedzictwie. Oczywiście obydwa nurty splatają się: osobowość autora dlatego jest tak pasjonująca, bo porwał się na wyjątkowo ciekawe kwestie; zagadnienia ukazane w tych dziełach dlatego naprawdę palą, bo zostały poruszone przez ludzi dogłębnie uczciwych, mądrych, przejętych sprawami ojczyzny. Ci wielcy pisarze są chyba najlepszymi przewodnikami dla ludzi, którzy dziś zadają sobie te same co oni pytania: jak określić obecnie „polską kwestię", jak dziś wygląda kształt polskości.

Uprzywilejowanym polem badań dla pisarzy, którzy zastanawiali się nad realnymi problemami naszego losu, było zjawisko kultury rosyjskiej i jej wpływu na europejskie umysły. Dlatego było to pole uprzywilejowane, bo w kulturze rosyjskiej tkwi coś fascynującego Zachód i niektórych Polaków, coś wszakże niezwykle niebezpiecznego i obcego europejskiemu doświadczeniu. Polacy starli się z tym zjawiskiem najmocniej i najboleśniej, dlatego nasze rozpoznanie sytuacji jest najbardziej znaczące, a właściwa ocena sytuacji nam jest najbardziej potrzebna. Ten zatruty element ukryty jest w opakowaniu o uwodzących kształtach: w wielkiej literaturze rosyjskiej, pod jej osłoną, wdziera się do Europy także polityczna myśl rosyjska. A przedostaje się w sposób perfidny: podając się za doprowadzoną o etap dalej wersję zachodnich zagadnień. Tymczasem właśnie to rzekome wyciągnięcie ostatecznych logicznych konkluzji z europejskich doświadczeń jest obce naszej tradycji, bowiem neguje związek myśli z realnym życiem. Po bizantyjsku przekreśla rzeczywistość na rzecz absolutnych schematów; a ponieważ w życiu doczesnym idealny kształt jest niedosiężny, przekreśla kształt doczesny, popada w szał niszczenia, w nihilizm.

Ten zatruty element został doskonale określony w książce Mariana Zdziechowskiego *Wpływy rosyjskie na duszę polską:*

„Najwybitniejszą, najbardziej rzucającą się do oczu cechę duszy rosyjskiej stanowi jej maksymalizm. [...] Maksymalizm zaś sprowadza każdą kwestię do dylematu: albo wszystko, albo nic. A zatem w sferze moralnej — absolutna doskonałość, w sferze społecznej — absolutna szczęśliwość raju na ziemi, który każdemu człowiekowi zapewni możność szerokiego używania dóbr życia, wreszcie w sferze politycznej — uniwersalizm absolutnego władztwa nad światem. Ale że żaden absolut nie daje się osiągnąć w życiu doczesnym, więc z natury rzeczy maksymalizm przeistacza się w negację rzeczywistości, w ślepe a okrutne w bezwzględności swojej niszczycielstwo we wszystkich zakresach porządku moralnego, społecznego i państwowego".

Maksymalistyczne widzenie zagadnień potrafiło zafascynować wielu. Oto rzekomo prawdziwie głęboki sposób myślenia, możliwość wejścia na szczyty, czy też osiągnięcia fundamentów, które polskiemu umysłowi pozostają niedostępne. Naprawdę zaś jest to wynik duchowego lenistwa, lub w najlepszym wypadku — bezradności; w każdym wypadku — postawa jałowa. Zwalnia bowiem od realnej odpowiedzialności za niedoskonały przecież świat. Niedoskonały — więc go zburzyć, zbudujemy na jego miejsce Nowy Wspaniały Świat. Kto, gdzie, jak dokona budowy Nowego Jeruzalem, gdy już wszystko zostanie zniszczone — nie wypada stawiać tej kwestii. To są pytania filisterskie, głupie, harde, burżuazyjne — nierosyjskie. Kto w rosyjskim świecie pytań przeklętych, postaw dogmatycznych, zagadnień ostatecznych opowie się za powszechnymi cnotami, kto wobec skrajnego indywidualizmu i skrajnego nacjonalizmu opowie się za wiarą w bliźniego, za miłością ojczyzny, kto traktuje poważnie nie koncepty a obowiązki wobec siebie i innych, ten skazuje się na los potępionego, pariasa, znieważanego i okładanego razami prostaczka, na los Polaka wreszcie.

I właśnie Polakom dane jest wyjątkowo ostre widzenie spraw rosyjskich, tu tkwi ważna strona ich wkładu do europejskiego dorobku, oto głęboki dzisiejszy sens tak nierozumianego pojęcia Przedmurza. Jest to mianowicie obowiązek przemyślenia doświadczeń rosyjskich, określenia ich kształtu, przyjęcia substancji pożywnych a odrzucenia zgubnych, wreszcie odszukania właściwej recepty, która potrafi goić zadane rany, odżegnywać przyszłe niebezpieczeństwa. Powiedzieć: „Polakom dane jest wyjątkowo ostre widzenie spraw rosyjskich", to nie tyle jednak, co twierdzić, że inteligencja polska wytworzyła już gotową, głęboką i mądrą analizę tych zagadnień. Tak niestety nie jest, a obecnie sytuacja wygląda szczególnie katastrofalnie. Twierdzenie to oznacza mianowicie trzy rzeczy. Po pierwsze — że Polacy znajdują się w uprzywilejowanym położeniu, aby takich analiz dokonać, bo całe ich doświadczenie historyczne skłębia się boleśnie wokół tych spraw. Po drugie — że jest to Polakom dane jako obowiązek, jako niezbędna umiejętność, którą należy w sobie uporczywą pracą wytworzyć, którą muszą wytworzyć, jeżeli chcą pozostać wierni powołaniu: dopomóc w zachowaniu narodowego bytu i w odzyskaniu politycznej niepodległości. Po trzecie — że tylko Polakom umiejącym odkryć oryginalnie polski punkt widzenia przyznana będzie zdolność rozumienia rosyjskich zagadnień; nie można przeto określać mechanicznie polskości przez antyrosyjskość, jest to bowiem jedna z form fascynacji zatrutymi treściami

Rosji, jeden z przejawów negatywnego maksymalizmu, jest się wówczas kulturowym, duchowym a więc także politycznym wasalem tamtej kultury, traci się wszelką władzę analizy jej form; człowiek tak myślący staje się jednym z uwiedzionych, człowiekiem rosyjskim, polskim Rosjaninem.

Kto chce zrozumieć istotę fascynacji maksymalizmem a zarazem przedstawić wszystkie zgubne skutki tej podstawy, powinien zastanowić się nad literaturą rosyjską. Wyrosła ona jako gwałtowny choć tłumiony bunt przeciw maksymalistycznej władzy, dała jej wizerunek mocny lecz wierny, jednak później skrajny bunt zrodził nowe wcielenie maksymalizmu, które znów znajdzie najpełniejsze odbicie na kartach książek — oto dlaczego literatura rosyjska stanowi tak ciekawe pole dla badań nad interesującymi nas problemami.

Zrodziła się późno i przeszła bardzo swoistą ewolucję — powodem tego była wyjątkowa sytuacja polityczna Rosji. Od państw mongolskich, do których zawsze była zbliżona formą rządów, tym się Rosja różniła, że przyjęła chrześcijaństwo — a przejęła je z rąk Bizancjum. To wszystko, co było w myśli bizantyjskiej schematyzmem, oderwaniem od życia praktycznego, mistycyzmem, traktowanym nie jako wyjątkowa a jako jedyna forma życia duchowego, wszystko to otrzymało czapkę Monomacha na głowę, berło despotycznego biurokratyzmu w rękę, stało się ideologią życia społecznego — nie ma się więc co dziwić, że było to życie zupełnie jałowe. Po upadku Cesarstwa Wschodniego Rosja usiłowała jeszcze przez jakiś czas odciąć się od wpływów Zachodu. Ulepszono państwową machinę kontrolującą całe społeczeństwo, stworzono system politycznie ekspansywny, ale duchowo nadal martwy. Wreszcie Piotr I otworzył bramy Rosji najpierw dla niemieckiej administracji, dla nowej organizacji wojska, etc., dla tego wszystkiego, co było niezbędne, aby dotrzymać kroku Zachodowi, aby zachować potęgę państwowości. Wszakże razem z tymi elementami zaczęła się przedostawać europejska myśl. Było to nieuniknione, ale było niebezpieczne. Wymagało mądrej riposty, jeżeli despotyczna władza chciała nie tylko zachować stan posiadania, ale nawet go rozszerzyć. Chwilowo jeszcze niebezpieczeństwo zrodzenia się jakichś liberalnych sił wewnątrz Rosji wydawało się zupełnie chimeryczne, warstwa oświecona była zjawiskiem zewnętrznym, naskórkowym, całkowicie uzależnionym od jedynowładczych rządów, które trzymały mocno w ryzach całość społeczeństwa. Poważniejszy był problem zachodniej opinii, której dla politycznych celów nie tylko nie należało drażnić zbyt drakońskim charakterem rządów, ale trzeba było właśnie przedstawić je jako nowy — „wyższy" — typ praworządności. Jeżeliby to zamierzenie udało się, wówczas władcy Rosji otrzymują do ręki cudowny oręż; zyskują w tak powstałej ideologii politycznego sprzymierzeńca — a despotyczne państwo osiąga siłę fascynacji na wykwintne zachodnie umysły, pragnące stworzyć nową sprawiedliwość, zbudować racjonalistyczny model porządku społecznego. Realizacja tego zamierzenia jest podstawowym problemem polityki rosyjskiej od Piotra Wielkiego — a przedziwne sukcesy na tym polu są źródłem jej ekspansywności. Zaś ideologiczną podstawą tych triumfów jest maksymalizm rosyjski w różnych jego wcieleniach.

Pierwszym z nich jest Carowa Katarzyna, opiekunka filozofów, przyjaciółka Woltera i Diderota, dokonująca rozbioru Polski jako aktu oświeconej mądrości, wprowadzająca porządek w starej, przegniłej Europie. Tu miała miejsce pierwsza wolta rosyjska: próba wyjścia z rodzimych powikłań przez twierdzenie, że nie jest to kryzys, a przeciwnie — zbawienna możliwość rozwiązania zachodnich sprzeczności, z którymi tamci nie mogą dać sobie rady. Na razie jeszcze nie stawia się sprawy tak ostro, jest się po prostu w duchowej awangardzie razem z przodującymi ruchami oświeconej Europy.

Te intelektualne kontakty przynoszą polityczne profity, przez nie jednak zachodnie idee przenikają coraz szerzej do Rosji, trafiają na coraz bardziej podatny grunt, sięgają coraz głębiej. Powstaje tam literatura, najpierw zupełnie mechaniczne naśladowanie francuskich miar i natchnień. Później, rzecz zadziwiająca: w kraju bez żadnej autentycznej tradycji od razu wielkie dzieło — poezja Puszkina. Puszkin, Lermontow, Gogol — literatura głęboko oryginalna i na wskroś europejska. Cokolwiek by nie wypisywał Puszkin przeciw Polakom, jakie by nie były polityczne poglądy Gogola, dzieło ich jest zabójcze dla wszelkiej tyranii, także dla tyranii rosyjskiej. Niezwykłym przykładem jest tu wielka twórczość Gogola. Mikołaj I śmiejący się na premierze *Rewizora*, z czego? — przecież z siebie samego się śmiejący. *Martwe dusze* — ten straszny obraz rozkładu moralnego już nie poszczególnych ludzi, ale całej machinerii państwowej nieubłaganie produkującej zdemoralizowane jednostki. Jak można tak napluć w twarz własnej ojczyźnie a jednocześnie czuć się z nią głęboko związany? To najgłębiej europejskie dzieło literatury rosyjskiej nieświadomie, choć koniecznie, zrodziło potomstwo coraz dalej odbiegające od zachodnich tradycji. Tak bezlitosna krytyka rzeczywistości, której niesposób wszakże zmienić, zaczęła się przemieniać w bunt rozpaczliwy, skrajny, szalony, bo beznadziejny i bezsilny. Literatura rosyjska zajmie się tym swoistym zjawiskiem. Powstają *Ojcowie i dzieci* Turgieniewa, *Biesy* Dostojewskiego — ostrzeżenie przed procesami gnicia, które nieuchronnie wdzierają się także w warstwy krytycznie nastawionej inteligencji: warstwy oświecone, pragnące uzdrowić Rosję, są też zarażone nieuniknioną degeneracją umysłu, działającego w atmosferze niewoli i spodlenia. Skrajna krytyka w warunkach skrajnej tyranii zrodziła skrajność buntu: nowe wcielenie rosyjskiego maksymalizmu.

W tym czasie, gdy carowie święcili triumfy, Polska chyliła się ku upadkowi. Jakby zapomniano, że Przedmurze jest wyznaczeniem określonej misji cywilizacyjnej. Rzeczpospolita była prze-

cież koncepcją państwowości otwartej i prozelitycznej, zapewniającej ponadetnicznej wspólnocie wewnętrzny ład, a niosącej na zewnątrz europejską normę prawną i państwową. Ta niezwykle trudna, oryginalna i fascynująca koncepcja, diametralnie przeciwstawna ideałom carstwa Moskiewskiego, wydała wiele pomnikowych realizacji. W pewnym momencie koncepcja jagiellońska przestała równie skutecznie jak dawniej rozwiązywać stojące przed nią zadania. Kto ujmuje historię w kategoriach czysto pragmatycznych, miałby tu dowód „wyższości" formacji rosyjskiej nad jagiellońską, Carstwa nad Rzeczpospolitą, takie pojmowanie historii jest jednak sprzeczne z tradycją europejską, także z polską tradycją.

Po okresie rozkwitu nadchodzą w Polsce lata bierności i upadku, następnie okres jałowego naśladowania Zachodu. Dopiero wstrząsy, jakimi były utrata państwowości, powstanie listopadowe oraz tułaczka elity kraju na obczyznę, przyczyniły się do odrodzenia kultury polskiej. Zamknięto się w rozpamiętywaniu upadku, przemyślano dotychczasowe dziedzictwo i postanowiono przekuć klęskę w oręż duchowego zwycięstwa. Te słowa Maurycego Mochnackiego z *Powstania narodu polskiego* najlepiej opisują ów przełom w polskiej świadomości, który z cudzoziemska nazywa się romantyzmem:

„To co się działo w Polszcze od chwili jak ziemię naszą źli sąsiedzi rozerwali pomiędzy siebie, pokazuje dostatecznie, że w nas jest pewna siła, którą trzeba nazwać siłą dźwigania się z każdego upadku. U nas tylko wykształciło się i upowszechniło nieznane innym ludom życie po śmierci politycznej".

W momencie, gdy chodziło o przetrwanie po politycznej klęsce, o zachowanie życia po śmierci państwowej, o odnalezienie kulturalnej tożsamości, mesjanizm polski był ideologią zbawienną, ratującą to, co uratować było można. Apoteoza wielkości i szlachetności męczeństwa była właściwym programem dla tułaczej gromady, która wydała z siebie dzieło o wyjątkowej piękności i sile oddziaływania: literaturę, która była czymś dużo większym, niż tylko literaturą. W *Legendzie Młodej Polski* mądrze pisał Brzozowski, a były to wyjątkowo trafne, jasne i rozważne zdania w jego pokręconym dziele:

„Oddzielne jednostki, gromadka odartych od życia i związku z własnym społeczeństwem ludzi — musiały tu stworzyć dzieło niemożliwe, stworzyć to, co może być wynikiem tylko pracy całego narodu: własną świadomość językową". „Muszą oni w polskiej tradycji, polskiej historii, szukać właściwości, które pozwoliłyby im wierzyć, że *dzieje polskie i ich wynik stanowią odpowiedź na niepokojące Europę najistotniejsze problemy*. Europa stawia tu zagadnienia, dzieje Polski muszą na nie odpowiedzieć: takim jest założenie duchowe całej pracy duchowej naszej emigracji".

Nawet jednak i tu Brzozowski uległ częściowo maksymalistycznemu zaślepieniu, bo każdy wie, że zagadnienia stawiała obecność maksymalistycznego despotyzmu, który zaczął zagrażać Europie,

Polacy rzeczywiście muszą na nie odpowiedzieć, a Zachód bezczynnie przygląda się tym śmiertelnym zmaganiom, gdzie wszakże i o jego przyszłość gra się toczy.

Po pewnym czasie, siłą rzeczy emigracja, pozbawiona świeżego dopływu sił, nowych idej, przestała spełniać rolę ośrodka życia narodowego. Powinno ono powrócić do kraju, aby mogła się rozwijać nie tylko poezja i filozofia mistyczna, ale także realna myśl społeczna, ekonomiczna, religijna, a wszystko to wewnątrz jednoczącej całości, jaką jest narodowa kultura. Było to jednak niemożliwe, w kraju nadal istniały nienormalne warunki, egzystowano wewnątrz systemu nie tylko narodowościowo, lecz i kulturowo obcego, wewnątrz siły, której niedopuszczenie do Europy było naszym zadaniem. Zaczęto poszukiwać wyjścia z sytuacji: jedni nadal działali na emigracji, inni poświęcili się rozważaniom przeszłości, stamtąd usiłowali wyciągnąć lekcję historii, jeszcze inni uznali, że w tak ciężkiej sytuacji biologicznego zagrożenia należy zająć się pracą organiczną, ratować to, co można. Byli też tacy, którzy zwrócili oczy ku podziemnej Rosji, aby tam szukać pomocy: przecież z rosyjską zeuropeizowaną inteligencją wszystko nas łączyło, obie strony przeciwstawiały się azjatyckiemu despotyzmowi.

Zapomniano, że Polska musi odpowiedzieć na to zagrożenie zgodnie z naszym światem wartości, musi wytworzyć właściwe treści, które staną się wspólnymi hasłami. Tymczasem zaś ulegano fascynacji wszystkim, co było skrajnym, otchłannym, ostatecznym stawianiem zagadnień, które w Polsce przybierały, zdaniem tych ludzi zbyt konkretne i ciasne kształty. Zaczarowani Polacy nie chcieli widzieć, że ta otwartość horyzontów, ta łatwość stawiania zagadnień, jest odbiciem despotyzmu: gdzie ulegano zbyt długo, gdzie upokorzenie było zbyt bolesne, tam pragnie się zniszczyć wszystkie przeszkody, wszystko co należało do dawnego życia; gdzie nie ma poszanowania tradycji (gdzie nie ma tradycji godnej szacunku), tam rodzi się maksymalizm we wszystkich jego odmianach, czarnej czy czerwonej. Tam oczekuje się Królestwa Bożego na ziemi, a gdy ono nie nadchodzi, wówczas orzeka się, że nie ma Boga, a kiedy nie ma Boga — wtedy ludziom tak myślącym wszystko wolno. Oto bolszewizm logicznych spekulacji, które później wcieli się w życie, oto konsekwencje buntu, gdy ten rodzi się na gruncie wyjałowionym przez despotyzm, nieuświęconym przez tradycję politycznej kultury. Taki musiał być zrodzony z rosyjskiego maksymalizmu bunt — i musiał się przeistoczyć w odwrotność buntu, gdy tylko maksymalistycznych buntowników postawiono przed koniecznością opowiedzenia się po stronie naprawdę przeciwnej despotyzmowi. Wielu z nich będzie wolało raczej zrezygnować z buntu niż z maksymalizmu, wielu opowie się za despotyzmem.

Doświadczyli tego Polacy w 63 roku. Mówiło się do czasów powstania, że Rosją rządzi dwóch Aleksandrów: Romanow i Herzen. Wszyscy burzyli się przeciw uciskowi, wszyscy czytali *Kołokoł*. Wystarczyło jednak, że wybuchło powstanie, które wy-

magało konkretnego opowiedzenia się po stronie realnych zadań i obowiązków, aby opinia rosyjska zareagowała detronizacją Aleksandra Herzena, aby opowiedziała się po stronie nacjonalizmu, po stronie Katkowa.

Dlaczego tak się stało? — otóż dlatego, że żadna inteligencja nie może bezkarnie rozwijać się zbyt długo pod władzą despotyzmu. Uleganie władzy, której się nie szanuje, musi prowadzić do deprawacji, szczególnie gdy jest to władza rodzima, gdy jest wynikiem historycznej tradycji, gdy nie można się donikąd odwołać po wyzwalające oparcie: do żadnego historycznie sprawdzonego ładu. I inteligencja rosyjska szukała ratunku w spekulacjach coraz to skrajniejszych, w coraz to śmielszych wypadach w rejony zupełnej abstrakcji, w obszary oderwane od społecznego doświadczenia. Tu widzimy początek drugiej wolty rosyjskiej, o której będzie jeszcze mowa. Jan Kucharzewski, wielki znawca tych zagadnień, pisał w swym najwybitniejszym dziele *Od białego caratu do czerwonego:*

„Gdzie rozum uznany jest za szaleństwo, Czaadajew za wariata, tam szaleństwo uchodzić zacznie za rozum". „Gdzie państwo idzie torem zasady: *aut Caesar, aut nihil,* tam powstaje opozycja tego samego typu, zwalczając cezara przechodzi w nihilizm. Duch reformy i postępu powstaje na gruncie uprawionym przez stulecia kultury politycznej, swobód obywatelskich, poszanowania prawa, ekstremizm, despotyzm, maksymalizm reakcji powołać musi do życia ducha absolutnego przeczenia. Nieustający stan wyjątkowy, ciągły zamach na prawa przyrodzone narodu i tamowanie pracy twórczej — jako system rządów, to pepiniera i chroniczna prowokacja rewolucji"

Despotyzm, jako siła organizująca potęgę państwowości, zrodził nihilizm zatruwający buntującą się inteligencję, z kolei reakcją na zmienną sytuację polityczną będzie włączenie postaw nihilistycznych w próby wytworzenia nowego kształtu despotyzmu: pozytywny maksymalizm, przybrany najpierw w czapkę Monomacha, później w czapkę frygijską.

W obu jednak wypadkach istota zamierzenia jest ta sama: postanowiono wykorzystać dla ratowania i umocnienia państwowej potęgi nihilistyczny kryzys wartości, który Rosja przeżyła najgwałtowniej — bo zrodził się na najstraszniejszym gruncie upaństwowionej pogardy dla człowieka. Ta maskarada zafascynowała świat. Jej ideały, jej skrajności, a czasem także jej potworne realizacje urzekły wielu. Kluczowym zjawiskiem dla rozumienia spraw polskich, dla rozumienia współczesnego świata, jest ta wolta kultury rosyjskiej, która w imię wolności wewnątrz walącego się despotyzmu przygotowywała nowy despotyzm; i udało jej się wciągnąć do tej pracy zbuntowane elementy w Rosji; i spotkała się z poklaskiem progresistowskiej Europy; i co najdziwniejsze — zafascynowała niektórych Polaków.

Nihilizm jest w porządku przyczynowym spokrewniony z bolszewizmem (cezaropapieskim czy komunistycznym — każdym), bowiem obydwie tendencje nie twierdzą, że nie istnieją żadne wartości, twierdzą tylko, że nic dla człowieka nie ma wartości, co nie wchodzi w zakres jego nowookreślonego idealnego kształtu. Obydwie sprowadzają egzystencję człowieka do jednego ściśle określonego planu; wszystko, co znajduje się poza nim, jest niczym — i może zostać zniszczone. To rozróżnienie między człowiekiem takim, jakim jest a takim, jakim powinien być, i ocena wszystkiego z tego idealnego punktu widzenia; to rozróżnienie między Rosjaninem dzisiejszym, miotającym się wśród nihilistycznych, obrzydliwych i upodlających dylematów (rodem czy to ze zgniłej Europy, czy też ze zgniłej obecnej formacji społecznej) a przyszłym idealnym Rosjaninem, który w swym potencjalnym kształcie zawiera uniwersalne człowieczeństwo, ostateczne rozwiązanie wszystkich dylematów, i ocena wszelkiego postępowania, wszelkiej myśli, wszelkich problemów z punktu widzenia ich przydatności do realizacji tego ideału — to rozróżnienie stanowi sankcję dla dowolnie despotycznych poczynań nawet wewnątrz programowo humanitarnych koncepcji. Wszystko bowiem, co odbiega od idealnego kształtu — co istnieje a jest niezgodne z abstrakcyjnym programem — może zostać podważone, zniszczone, unicestwione. Na drodze do idealnej cnoty można stosować wszelkie środki przymusu.

To właśnie w nihilistycznodespotycznym rodowodzie tkwi siła fascynacji, jaką wywiera na Zachodzie skrajna rosyjska myśl społeczna. Trzeba zastanowić się nad przyczynami tego urzeczenia, aby zrozumieć zarówno literaturę rosyjską, jak i — co ważniejsze, ale ściśle z poprzednim związane — kryzys myśli zachodniej i zadania polskiej kultury.

Duchowy maksymalizm gwarantuje, za małą początkowo cenę, wewnętrzny błogostan: nie trzeba się już troszczyć o wypełnianie powierzonych nam obowiązków względem niedoskonałej społeczności, w której żyjemy. Podejmowanie tych obowiązków, to opowiadanie się po stronie fałszywych wartości. Jest się wówczas odpowiedzialnym za całą niedoskonałość świata, za wojny, za nędzę, za głód. Zaś po przyjęciu maksymalistycznej frazeologii cała odpowiedzialność znika. Ba, jest się przy okazji zwolnionym od bardzo przyziemnych obowiązków — od pracy nad utrwaleniem dziedzictwa, które otrzymaliśmy od przodków, a które w miarę możliwości należy umacniać i ulepszać, aby w tym niedoskonałym świecie ludzie różni od siebie a równi wobec suwerennego prawa mogli swobodnie żyć — jest się wewnętrznie zwolnionym od wszelkich prawdziwych obowiązków. Właśnie w tym głęboko niemoralnym zrzuceniu z siebie powinności poprzez przyjęcie pustej moralistycznej frazeologii leży źródło urzeczenia zachodnich intelektualistów maksymalizmem: zwłaszcza źródło marksistowskiego opętania oraz częściowo źródło obecnego rozczarowania marksizmem i poszukiwania nowych bogów — nowych wcieleń maksymalizmu. Tu tkwi także niebezpieczeństwo duchowej rusyfikacji, zwłaszcza dla społeczności w tak ciężkim położeniu jak Polska, gdzie praca intelektualna jest rzeczą niezwykłej wagi.

Jeżeli chcemy zrozumieć ten przedziwny stan zniewolenia umy-

słów przez marksistowską ideologię, musimy wyróżnić kilka funkcji, jakie spełnia ona we współczesnym świecie: po pierwsze — konsolidacji klas uboższych w walce o poprawę warunków społecznych, po drugie — uświęcenia społecznego pasożytnictwa niektórych zachodnich intelektualistów, po trzecie — w którym to punkcie poprzednie splatają się, a ich *ideologiczna* forma otrzymuje konkretną *polityczną* treść — gwaranta przemiany dawnej formy rosyjskiego despotyzmu w nową, o tyle lepszą od poprzednich, że potrafiącą wciągnąć w swą orbitę maksymalistyczne nurty na całym świecie, przetwarzającą niezmienioną rosyjską izolację w atut uniwersalnej ekspansywności. Aby zrozumieć jedyny społecznie ważny ostatni punkt, trzeba przedtem zastanowić się nad poprzednimi.

Pierwsza z wymienionych funkcji marksistowskiej ideologii jest wbrew pozorom najmniej ważna, jest ona bowiem jedynie pewnym hasłem wywoławczym, trochę sentymentalnym przypomnieniem minionej już heroicznej epoki. Chociaż dziś ideologia ta nie potrafi zdać sprawy z realnego położenia klasy robotniczej, nie może wyjaśnić jej prawdziwych interesów, przeto nie może jej w tej dziedzinie bezpośrednio pomóc, to jednak unowocześniona i uładzona — stanowić może zespół ideologicznych haseł, łączących poszczególne jednostki i pomagających im zorganizować konkretne kroki w celu poprawy bytu. Jednak warunkiem skuteczności tych poczynań będzie odrzucenie marksistowskiego maksymalizmu. Wyjście poza doktrynalność leży tu w interesie samych robotników; za utopijne fantazje, z których kto inny czerpać będzie zyski, przyszłoby im płacić materialnym położeniem — nic dziwnego, że chętnych jest coraz mniej, a przez to polityczna rola tej funkcji marksizmu coraz bardziej znikoma.

Dużo ważniejsza rola przypadła drugiej funkcji, a to dlatego, że nie chodzi tu o analizę realnej sytuacji, lecz odwrotnie — o zakamuflowanie prawdziwego położenia, o stworzenie czysto ideologicznej mistyfikacji, która pozwoli zamknąć oczy na rzeczywiste obowiązki i przenieść się w utopię komunistycznego raju. To umysłowe samozniewolenie zachodnich intelektualistów — jałowych, zagubionych, pozbawionych przez własną nieodpowiedzialność dawnych racji bytu a pragnących znaleźć nowy cel, który zapewniłby duchowym abnegatom wysokie miejsce w społecznej hierarchii — posiada jednak określone konsekwencje polityczne.

Nie można bezkarnie prowadzić egzystencji pasożytniczej, płaci się za to uczciwością. I tak zapłacili ci ludzie. Nie ma się co pytać, czy najpierw było intelektualne zaślepienie, a później nieświadome opowiedzenie się po stronie kulturze europejskiej obcej i wrogiej, czy też dopiero umieszczenie się po tej stronie sprowadzało umysłowy niedowład, faktem jest, że ludzie ci, będący zresztą sami w sobie niewiele znaczącą koterią szaleńców, potrafili wprowadzić trujące substancje maksymalizmu, moralizującej nieodpowiedzialności i spekulacji, do sztuki i myśli społecznej, do literatury i historiozofii. W ten sposób utrudnili tym dziedzinom spełnianie właściwych im w zachodniej kulturze zadań: wytwarzania mechanizmów autoregulacji, broniących tę kulturę przeciw grożącym prądom maksymalizmu. Osłabili zachodnią kulturę, przez co despotycznym potęgom umożliwili konsolidację i podboje. Za tę cenę, którą nie im przyszło płacić, poprzez przyjęcie marksistowskiego maksymalizmu uzyskali zarazem wewnętrzne zwolnienie od obowiązków społecznych, jak i wysoki prestiż na intelektualnej giełdzie Zachodu.

Podawali się za głosicieli jedynej prawdy i uczciwości, zarzucali oponentom, że są fałszywi i zakłamani, bowiem nie głoszą absolutnych i idealnych koncepcji w polityce, a z niemożliwości osiągnięcia stanu idealnego nie wyciągają wniosków o całkowitej szkodliwości wszelkiej realnej działalności. W ten sposób wprowadzali swoisty negatywny terroryzm — nic dziwnego, chodziło o ściśle określone interesy, których strzegli za wszelką cenę, bo zaangażowali dużo: własną uczciwość, zyskiwali też wiele: przekonanie o zdobyciu narzędzi pozwalających dominować nad otoczeniem, naprawdę zaś jedynie samozwańcze, fałszywe i chwiejne rozgrzeszenie z najgłębszej społecznej szkodliwości: z niewykonywania własnych powinności i z cynicznej demoralizacji innych.

Jednak aby w pełni umocnić pozycje, musieli, nadać sobie prawo orzekania o kwestiach społecznych właśnie z punktu widzenia społecznego zaangażowania. Jedynie wówczas wprowadzany przez nich terror miałby szansę powodzenia, nie tylko nie podlegaliby już zarzutowi niemoralnej bezczynności, pogardy czy lekceważenia wobec zagadnień społecznych, ale to oni mogliby szermować anatemą i zmuszać ludzi, aby uznali ich mandat na najwyższych sędziów, na jedynych sprawiedliwych. Inaczej spotka krnąbrnych ciężka kara: zostaną przez sprawiedliwych uznani za ciemnych reakcjonistów, za niemoralnych wyzyskiwaczy, za butnych arystokratów ducha, za nieuświadomionych, przyziemnych i obojętnych na kwestię społecznego zaangażowania drobnomieszczan — za ludzi ze śmietnika historii.

Zachodni intelektualiści znaleźli takie stanowisko, z którego mogli się podawać za sędziów: za trybunał sprawujący sądy nad ludzkością. Było im do tego potrzebne opowiedzenie się za siłami, które głoszą kategoryczny nakaz osiągnięcia absolutnego porządku na ziemi, a wszelkie konkretne społeczne zaangażowanie traktują jako godne potępienia, nie tylko nie zalecają go, ale kategorycznie zabraniają. Wyspekulowana i despotycznie kontrolowana praktyka społeczna ma być wyłączną i absolutną formą ludzkiej egzystencji. Wszystko, co poza nią wykracza, jest już pewnym osobistym podjęciem odpowiedzialności — a to przecież godzi w pretensje do sprawowania kontroli nad wszelką działalnością jednostki, godzi w dogmatyczną ideologię, która chce objąć całość ludzkiej egzystencji i całkowicie podporządkować ją molochowi jedynowładczej polityki.

Sprawiedliwi nie mogli przyjąć, aby ideologia nadająca im moralne rozgrzeszenie uznawała, że sfera porządku idealnego i realnego znajduje się na odrębnych, choć powiązanych ze sobą planach, że w człowieku jest wiele pięter, że w świecie jest wiele

porządków. Bowiem wówczas świat wartości idealnych, świat duchowego objawienia, które się w historii sprawdziło, przejmuje rolę sędziego, odbiera tamtym atrybut nieomylności i żąda prawdziwego rachunku, domaga się podjęcia realnego kształtu powinności. I wówczas polityka staje się znów sferą koniecznych i określonych obowiązków, wówczas wymagania wobec intelektualistów stają się bardziej konkretne: mniej karkołomnej ekwilibrystyki, więcej odpowiedzialnych przemyśleń. To oczywiście byłaby śmiertelna groźba dla sprawiedliwych — stąd ich zafascynowanie siłami, które kategorycznie sprzeciwiają się utrwaleniu społecznych ram, umożliwiających pełny rozwój człowieka, siłami, które czynią to w imię haseł idealnego człowieczeństwa i idealnego ładu społecznego, co z kolei ma być możliwe przez wyrzeczenie się wszelkich indywidualnych inicjatyw i powierzenie się molochowi wcielonej polityczności.

Stąd właśnie czerpie źródło urzeczenie sprawiedliwych społecznym wcieleniem maksymalizmu: rosyjskim bolszewizmem. Była to siła fascynująca i obca — a fascynowała właśnie dlatego, że była obca, że likwidowała osobistą odpowiedzialność za czynne uczestnictwo w życiu politycznym. Istniał tylko jeden plan egzystencji: idealna polityka, a żaden konkretny obowiązek polityczny nie był egzekwowany. Utopie marksistowskie określają idealną kurtynę politycznego celu, za nią ukryta jest społeczna rzeczywistość. Nie obchodzi już ona sprawiedliwych. Czują się zwolnieni od wszelkiej ciekawości zarówno na planie faktycznym — bo dzieje się to poza obecnym obszarem kultury, na której ciele żerują, jak i na planie teoretycznym — bo przecież tak zwana marksistowska dialektyka tłumaczy im, że wszelkie sprzeczności między konkretnymi wydarzeniami a idealnym celem dzieją się dla większej chwały doktryny, bo tylko ona na wyższym szczeblu rozwoju — gdzie? kiedy? nie wypada pytać, zresztą i tak nie otrzyma się odpowiedzi — ona jedynie może te trudności przezwyciężyć. A rozważanie tych talmudycznych problemów przynosi z kolei ruch w intelektualnym interesie prowadzonym przez sprawiedliwych.

Oto dlaczego interesuje ich Rosja o tyle, o ile jest to kraj totalnego i uniwersalnego terroru, o ile rozdział między tym, co jest a tym, co być powinno, jest zupełny. Kiedy i tam zaczęły się pojawiać konkretne problemy polityczne, ekonomiczne, socjalne, kiedy na XX Zjeździe publicznie ogłoszono częściowe odejście od maksymalizmu systemu, wówczas część sprawiedliwych odeszła od fascynacji Rosją: w tym kształcie nie była już im tak potrzebna. Jednak na płaszczyźnie politycznej wszelki maksymalizm — nawet nie ortodoksyjnie komunistyczny, nawet oburzający się z zapalczywością zawiedzionej miłości — jest sojusznikiem rosyjskiego despotyzmu, bo jest opowiedzeniem się przeciw europejskiemu dziedzictwu.

Sprawiedliwi przyciągnięci byli przez komunizm z dwóch łączących się ze sobą powodów: lenistwa i moralnego konformizmu. Za pomocą pogardy i nienawiści, insynuacji i dumnych wywyższeń, za pomocą całkowitego przewartościowania świata dotychczasowych wartości, słowem za pomocą maksymalistyczno-negatywnych ćwiczeń duchowych, wznieśli wokół siebie mur ignorancji. Fakty, które wywołały groteskowy spektakl moralnych przełomów, były już znane dawno, ale nie chciano o nich wiedzieć, opatrzono je etykietą nieistnienia dla progresistowskich dusz. A uczyniono tak dlatego, bo były sprzeczne z interesami maksymalistycznej potęgi, której integralność była sprawiedliwym niezbędna dla ich pasożytniczej egzystencji. Kiedy fakty przestały przeszkadzać owej potędze, przyjęto je do wiadomości — znowu z lenistwa. Stała się ona jednak w ten sposób mniej skrajna, mniej otchłanna, mniej maksymalistyczna, przeto wielu wolało porzucić to źródło siły. Zachodni intelektualiści przestali się fascynować komunizmem nie dlatego, że Rosja była krajem terroru, łez i krwi, ale dlatego, że przestała nim być. Niech skrajny terror powróci, powróci wielu z nich.

Jedni z zawiedzionych od nowa poszukują dziś rozgrzeszającej politycznej siły: widzą ją w chińskich tłumach, w puszczach Boliwii na kubańskich plantacjach. Mają nadzieję, że tam nadal tkwi zbawienny mur między tym, co jest a tym, co być powinno, że ludzie zmuszeni są tworzyć tam Nowy Ład. Nie obchodzi sprawiedliwych bezmiar fizycznego upodlenia i duchowego okastrowania, jakiego wymaga maksymalistyczny rozdział płaszczyzny ideologicznej od faktycznej. Jest on im potrzebny, więc wołają: niech Nowy Ład trwa — za wszelką cenę.

Inni z zawiedzionych demonstracyjnie odwrócili się od polityki. Usiłowano kiedyś w absolutyzująco pojmowanej Historii znaleźć usprawiedliwienie społecznej egzystencji. Okazało się jednak, że historia zniszczyła molocha Historii, że racjonalistyczno-mesjanistyczne podejście nie tylko czyni ją niezrozumiałą i burzy jedyne podstawy teorii ale ponadto każe się zaangażować po stronie sił, które okazują się w historycznym sprawdzeniu chwiejne i kompromitujące. Ponieważ historia zakpiła sobie z intelektualistów, postanowili ją unicestwić. Jeżeli nie chce przybrać kostiumu, który potrzebny jest tym maksymalistycznie myślącym pięknoduchom, aby minimalizować społeczno-polityczne obowiązki, obrażają się na nią: historia nie ma już dla nich żadnego sensu — więc nie istnieje. Jest tylko pewną strukturą, której znaczenie może być dowolnie określane. Traktuje się kulturę jako umowę społeczną, jako formalną i merytoryczną konwencję. Pragnienie całkowitej racjonalizacji prowadzi do zawężania się realnej sfery odniesienia przeprowadzanych analiz; w rezultacie wszystko kończy się metafizycznie traktowaną analityką języka. Sfera analiz nie tylko się zawęża, ale jej istnienie co i raz poddawane jest w wątpliwość, bowiem postulat całkowicie racjonalistycznej i dedukcyjnej wizji świata prowadzić musi do skrajnej formalizacji zamierzenia, a więc do zerwania wszelkiego związku z rzeczywistością. I w ten sposób dochodzimy do całkowitego relatywizmu metafizycznego, socjologicznego, historycznego — wszystko może już wszystko oznaczać. Nie można mówić, że czyjeś myślenie jest prawdziwe,

czyjeś postępowanie zasadne, bo jest to tylko kwestia konwencji, które zmieniają się jak kształt damskich kapeluszy. I nie mają głębszych racji niż one.

Kiedy zastanowimy się nad kulturalną produkcją współczesnego Zachodu, kiedy zobaczymy martwotę formalistycznych eksperymentów, jałowość malarstwa, literatury, muzyki, błyskawiczne przemijanie zawartego w nich przesłania, historyczne niesprawdzenie się tej twórczości, wówczas źródła jałowości przyjdzie nam szukać w zaniku uniwersalnych fundamentów, które zapewniałyby trwałość przekazu i ważność wyrażanych tam treści. Powieści nie do czytania, obrazy nie do oglądania, muzyka nie do słuchania, wszystko jest tylko konwencją, grą, błazenadą i pokazuje nam, że Zachód zamknął się w swych olśniewających społecznych osiągnięciach, że sferę humanistyki pozostawił na uboczu, zrzekł się wszelkiego kulturalnego misjonarstwa, zwłaszcza tam, gdzie jest ono naprawdę potrzebne, a dziś bardziej niż kiedykolwiek — w sferze politycznej dominacji komunizmu. Nie potrafi przeto Zachód udzielić odpowiedzi na nurtujące nas problemy, nie zdoła bezpośrednio pomóc w określeniu jak dziś wygląda właściwy kształt polskości. Nie jest w stanie tego dokonać dlatego, że nie zetknął się równie boleśnie jak my z maksymalizmem wcielonym w polityczną rzeczywistość, ale dlatego też sam stoi bezbronny wobec współczesnego kryzysu, który i jemu duchowo zagraża.

Powiedzieliśmy w tych rozważaniach: intelektualna elita Zachodu jest broniona przed maksymalizmem poprzez tradycyjne mechanizmy społeczne, nieprzenikliwe dla tej formy szaleństwa, ale duchowo jest wielekroć bezbronna, powstaje tam albo historiozofia, raz na zawsze objawiona, naukowo określona przez prawa dialektyki, albo też zupełna likwidacja historii, całkowity relatywizm. Obydwie postawy czerpią ze Wschodu swój kształt, są odmianą buddyjskiej duchowości — obydwie zostały podjęte przez zachodnich sprawiedliwych. Tylko pierwsza może zdobyć nobilitujący tytuł społecznej aktywności, osiąga to jednak za cenę nieraz niewygodnej i żenującej bezwarunkowej obediencji komunizmowi, ale jedna i druga są faktycznymi sprzymierzeńcami wschodniego despotyzmu, bo przez swój maksymalizm likwidują społeczną odpowiedzialność, stają się zabójcze dla zachodniej kultury. Rozumiemy teraz żywotną wagę refleksji nad duchową istotą i społecznymi wcieleniami maksymalizmu: tam tkwi prawdziwa obrona przed prawdziwym zniewoleniem umysłów; rozumiemy też, że w polskich oczach to zagadnienie kryzysu współczesnej kultury może znaleźć najpełniejsze określenie, będzie to zarazem najistotniejszy wyraz dzisiejszego kształtu polskości.

Zachód odkrył w duchowym maksymalizmie rozgrzeszenie z własnej bezczynności. Płacić musi za to uległością wobec despotyzmu, niewiernością wobec swych założeń. Najpełniejszy obraz maksymalizmu znaleźć można w literaturze rosyjskiej, rozumie się go w pełni dopiero wówczas, gdy uchwyci się kulturową i polityczną rolę tej formy duchowości. Często oczarowanie literaturą rosyjską polega na ślepej fascynacji przedstawionym tam maksymalistycznym widzeniem świata i jego nihilistycznymi konsekwencjami. Uwiedzione umysły płacą zniewoleniem, ono zaś jest triumfem rosyjskiego despotyzmu. Ta literatura może być też głęboko wyzwalająca, jeżeli zrozumie się jej najgłębsze metafizyczne, etyczne i polityczne konsekwencje. Będzie to możliwe wówczas, gdy zanalizujemy polityczno-pragmatyczne podłoże zawartych tam maksymalistycznych koncepcji. Wówczas odsłoni się nam prawdziwie ważne przesłanie literatury rosyjskiej, ukażemy prawdziwe pole walki współczesności.

Możemy szukać odpowiedzi na te zagadnienia, jeżeli wrócimy do rozważań nad znaczeniem literatury rosyjskiej, zastanawiając się nad jej związkami z historią Imperium. Porzuciliśmy te refleksje, gdy do kraju całkowicie despotycznego zaczęły się wdzierać coraz szerzej swobodne prądy. Za Mikołaja I Rosja stała policją, wojskiem i czynowniczym ustrojem. Umożliwiało to trzymanie w karbach ludności: po pierwsze zatajenie grożącej wybuchem kwestii chłopskiej, ujarzmienie całej warstwy społecznej i zepchnięcie jej do pozycji niewolników, oraz po drugie — kwestii polskiej, ujarzmienie całego narodu o zachodniej kulturze i zepchnięcie go do pozycji wasali nieubłaganie wrogiej państwowości. Jednakże te same cechy uniemożliwiały zdrowy rozwój społeczny, obudzenie energii koniecznych dla zachowania imperialnej rangi w świecie, co więcej — wytwarzały jako negatywny produkt trujące toksyny nihilistycznego buntu. Inteligencja rosyjska zajmowała się coraz mniej realnymi zmianami wiodącymi do normalizacji społecznego życia — bo żadne zmiany nie były realne w tym coraz głębiej nienormalnym społeczeństwie. Sytuację utrudniała dodatkowo niekonsekwencja rządzących. Monolityczny despotyzm Mikołaja I stworzył gmach budzący na Zachodzie lęk i podziw, lecz gmach okazał się przegniły i spektakularnie zachwiał się w sewastopolskiej klęsce.

Nowy car Aleksander II pragnął dokonać przebudowy Imperium, zapoczątkował dzieło reform. Jednak czynił to tak chwiejnie, tak drażniąco obiecywał więcej niż dawał, że wywołał skutek odwrotny od zamierzonego: silniej niż ducha reform obudził ducha buntu i zniszczenia. I zginął z ręki buntowników. Przedtem jeszcze nieśmiałe i tragicznie chwiejne próby rozwiązania sprawy polskiej przez reformy Wielopolskiego doprowadziły do branki, do powstania styczniowego, do murawiewowskich szubienic, wreszcie do usymbolizowanego w osobie Apuchtina wysiłku duchowej eksterminacji Polaków. Zaś historycznie od dawna konieczny, o ileż już spóźniony akt uwłaszczeniowy swoją połowicznością obudził nowe żywioły a jednocześnie nie umożliwił im wejścia w organizm państwowości. Cała Rosja podminowana odtąd będzie stadem chłopstwa, pozbawionego wszelkiej podmiotowości, będącego poza systemem społecznym. Wystarczy, aby przyszedł ktoś, kto zdoła pokierować masą chłopską, a będzie mógł kierować systemem, będzie miał w rękach rosyjski rząd

dusz, całą Rosję. Obudzi jednak energie straszne. Kto podejmie to ryzyko, będzie panem sytuacji w Imperium — i znajdą się ludzie, którzy je podejmą: czy to będzie Stołypin, czy Lenin.

Aleksander III, który wstąpił na tron po Aleksandrze II, zahamował proces połowicznych reform. Zaczął od wystawienia szubienic spiskowcom na życie ojca. Jednak tym gestem, który umożliwił na pewien czas zachowanie zewnętrznej fasady Imperium, pobudził tylko do szybszej fermentacji maksymalistyczny ruch buntu. I wreszcie przyszło panowanie ostatniego cara, który na oślep próbował raz despotyzmu, raz reform. Było już za późno. Trzeba było zwoływać i rozwiązywać Dumy, rzucić motłoch przeciw inteligencji, religijny zabobon przeciw podstawom moralności. Były to wszystko kroki po omacku. Jakby ostatni car tej tak mądrej politycznie dynastii już widział jej koniec, jakby chciał, aby wypełniło się, co ma się zdarzyć. Jakby przez swój nihilizm świadomie chciał wydobyć na powierzchnię nowe siły.

Tak skończyły się dzieje caratu. Pisał mądrze i pięknie Jan Kucharzewski:

„Carowie prowadzą Rosję przez zwycięstwa i podboje, przez triumfy i zabory. Dokąd? Dokąd dąży ta rozpędzona trojka rosyjska z wizji Gogola? Wśród łuny pożarów, wśród mordów buntu ludowego, wśród morza krwi ukazuje się parokrotnie ostrzegające widmo z głownią i toporem, jako Bołotnikow, jako Stieńka Riazin, jako Pugaczew. Car ze świecą Kality w dłoni, idzie głuchy i ślepy na te znaki Baltazarowe. 'Nie jestem jeszcze krukiem, jestem tylko pisklęciem kruka — mówił krwawy Jemielka Pugaczow — prawdziwy kruk jeszcze buja w obłokach. — I spadł na ziemię rosyjską w roku pańskim 1917' ".

Ale przecież koniec caratu, to nie koniec Imperium, to nie koniec politycznej siły rosyjskiego maksymalizmu. Trzeba się znów cofnąć do konsekwencji nihilistycznego kryzysu, aby zrozumieć jak nastąpiło przejęcie świecy Kality przez pisklęcie Pugaczowa, jak nastąpiła intronizacja ludowego cara, wniesienie opisywanego przez Herzena, zbrukanego krwią chłopskiego kożucha na tron Romanowych, ostatecznie opuszczony po rzezi w Jekaterynburskiej piwnicy, ale naprawdę już od dawna pusty.

Pisał Marian Zdziechowski:

„Ojcami rewolucji rosyjskiej byli Herzen i Bakunin. 'Niech żyją chaos i zniszczenie: *vive la mort*' — wołał Herzen w jednym z artykułów swoich. Myśl zaś jego precyzował Bakunin, twierdząc, że warunkiem stworzenia nowego ustroju, nowych form życia, jest zupełne zniekształcenie tych, które były, jeżeli bowiem zachowana będzie choć jedna stara forma, to tym samym ocaleje zarodek dawniejszych form wraz z możliwością nowego ich rozkwitu w przyszłości".

Ale przecież naprawdę ojcem rewolucji rosyjskiej był duchowy maksymalizm we wszystkich wcieleniach, tak rewolty, jak despotyzmu: Mikołaj i Aleksander stworzyli osobowość Bakunina, III wydział kancelarii zrodził nieczajewowców i terrorystów. Bo przecież to despotyzm uniemożliwił autoregulację procesów

społecznych, co znowu wywołało bunt, który przybierał formę totalnej negacji.

Wobec tej sytuacji, która była wynikiem totalności systemu, ale zarazem stanowiła dla niego śmiertelne zagrożenie, przybierano w celu ratowania Imperium dwojaką postawę, wypływającą z jednego źródła: z rosyjskiego maksymalizmu. To przejęcie przez inteligencję rosyjską duchowego despotyzmu jako odpowiedzi na nurtujące ją problemy jest zjawiskiem niezwykle ważnym w niniejszych rozważaniach, bo tam ma źródło polityczna ekspansja Rosji w Europie i jej duchowo porażający wpływ na zachodnią kulturę. Między rosyjskim maksymalizmem a zachodnim relatywizmem istnieje umysłowe pokrewieństwo. Jednym z wyników tych powinowactw z wyboru jest obecne położenie Polski, przeto taką ma dla nas wagę analiza dwóch historycznych wcieleń imperialnego maksymalizmu. Jedni usiłowali zbudować prawdziwy carat, odrodzić siłę Prawosławia, stworzyć Trzeci Rzym, drudzy chcieli zburzyć carat, aby stworzyć fundament dla nowej budowli Imperium. Dostojewski i Lenin — oto janusowa twarz rosyjskiego maksymalizmu, dwa oblicza tej samej postawy, która we krwi sowieckiej rewolucji znalazła najpełniejszy wyraz. Iluż to mądrych, niezniewolonych ludzi, nie rozumie jeszcze, że te dwa czynniki zostały w Rewolucji krwawo rozdzielone po to, aby ku pożytkowi Imperium spleść je następnie doskonalej, bardziej despotycznie niż poprzednio.

Pierwsza z tych postaw znalazła najpełniejszy wyraz u Dostojewskiego. Ten pisarz zaczynał życie umysłowe w momencie, gdy rodziła się rosyjska kultura: we wczesnej młodości zachwycał się Puszkinem i jego śmierć odczuł jak odejście kogoś najbliższego. W ostatnim roku życia osiągnie apogeum twórczości mową ku czci Puszkina, będzie ona zarazem znaczyć szczytowy punkt rozwoju tej linii kultury rosyjskiej. Życie Dostojewskiego obejmuje przykładowo całą historię ewolucji pierwszego nurtu maksymalizmu.

Zaczął od oczarowania szlachetnym ogólnoludzkim sentymentalizmem Schillera, przeszedł przez pesymizm niemieckiej filozofii idealistycznej, wreszcie skierował się ku zagadnieniom społecznym: ku utopijnemu socjalizmowi. Razem z gromadką „rosyjskich chłopaków" dyskutowano jak przebudować świat, jak w Rosji urzeczywistnić Nowe Wspaniałe Idee. Utopijno-socjalistyczne marzenia starły się brutalnie z rzeczywistością najpierw w czasie śledztwa i procesu, później na placu egzekucyjnym, gdy już, już miała paść salwa plutonu, wreszcie, po ułaskawieniu, najgłębiej i najdłużej na katordze i zesłaniu. Wówczas Dostojewski zwrócił się z całą siłą ku tak bezlitośnie objawionej rosyjskiej realności: zobaczył, że nie może ona zostać ominięta, aby poza nią budować idealne konstrukcje społeczne, zaczął więc sądzić, że należy rzeczywistość — rosyjską rzeczywistość — wznieść do rangi uniwersalnego ideału.

Współczesna kultura zachodnia jest do głębi przegniła, Rosja-

nie muszą się odciąć od Europy, muszą stworzyć nowy ład. Chociaż w Rosji też krążą demony nihilizmu, to czerpią źródło w zachodnim liberalizmie i sceptycyzmie.

W Europie odwrócono się od prawdziwego porządku, prawdziwej wiary, prawdziwej moralności w imię racjonalistycznych spekulacji, w imię prawdy traktowanej jako sylogistyczna formuła. „Gdyby mi ktoś udowodnił — pisał Dostojewski w liście — że Chrystus stoi poza prawdą, prawda rzeczywiście poza Chrystusem, wówczas wolałbym opowiedzieć się za Chrystusem, nie za prawdą". Tu już widzimy w zarodku całą później w pełni rozwiniętą problematykę, oto pierwszy szkic *Legendy o Wielkim Inkwizytorze*, doskonały manifest rosyjskiego maksymalizmu: albo — albo, albo Chrystus — albo prawda, fałszywa alternatywa, z której muszą wynikać fałszywe wnioski. Fałszywe dla nas, ale interesujące dla Dostojewskiego, niosące za sobą określone konsekwencje dla rosyjskiej rzeczywistości. Z tak ustawionego dylematu wynika wszak przekonanie, że prawdziwy kościół może stać poza prawdą, niech się tylko oprze o prawa miłości; wyjściem z obecnego kryzysu jest odsłonięcie prawdziwego kościoła, powszechnie ważnej tablicy zagubionych, zbawczych praw — tego odrodzenia musi dokonać Rosja: uwielbienie tradycji zachowanych przez rosyjski lud powinno stanowić punkt wyjścia i ramy tak stworzonego idealnego porządku; nie będzie to już socjalistyczna utopia a odrodzenie kościoła na ziemi, powstanie niezwyciężone Imperium, Trzeci — prawdziwy — Rzym. Widzimy więc: wystarczy odciąć się od Zachodu, nawiązać do wielkoruskiej tradycji, uczynić z niej uniwersalne hasła, aby w ten sposób stworzyć prawdziwy kościół, który będzie mógł stać poza prawdą, jak ją zgniły Zachód formalistycznie pojmuje. Wówczas zatopimy się w miłości do ludu, opowiemy się za prawdziwym Chrystusem. A jego ziemskim odbiciem będzie nowy odrodzony Rosjanin. Idealnym obrazem konsekwencji tych marzeń będzie zakończenie *Dwunastu* Błoka: rosyjski Chrystus wiodący bolszewików.

Tego jednak Dostojewski nie przewidywał, choć, jak wynika z tych wywodów, przyczynił się swoją postawą do zrodzenia tej sytuacji. Pokazywał szaleństwo nihilizmu, który powstał, gdy na rosyjską ziemię spłynęły zachodnie prądy, pokazywał szaleństwo rosyjskich socjalistów i terrorystów, oderwanie się inteligencji od ludu. Nie mówił jednak, że podstawy systemu rosyjskiego są złe, despotyczne, dotknięte grzechem maksymalizmu, dlatego rodzić muszą zatrute owoce: nihilizm i polityczny terroryzm. Mówił przeciwnie — że Zachód jest zgniły i fałszywy, że liberalna inteligencja rosyjska jest zbyt butna, zbyt zaślepiona europejskimi wpływami, zbyt oderwana od ludu. W puszkinowskiej mowie wzywał, aby się ukorzyć, wyzbyć dumy i poświęcić pracy, aby odkryć powszechne ideały w rosyjskiej ziemi, w umiłowaniu ludu. Tak zrodzi się przyszła wszechświatowa harmonia, którą zapowiadał Puszkin. Dostojewski uczcił w nim uniwersalnego poetę Rosji; nie chodziło w tej interpretacji o to, że Puszkin otworzył w kulturze rosyjskiej bramę na świat, lecz o to, że odsłonił tej

kulturze możliwości, które pozwolą jej osiągnąć uniwersalne panowanie — podbić świat.

Ciągle jeszcze swoiście interpretowana Ewangelia jest kamieniem węgielnym nowej wizji kultury, więc łagodzi tkwiące tam zapędy rosyjskiego imperializmu: nadaje im pozornie łagodną i uwodzącą szatę. Kiedy jednakże wchodził w grę polityczny interes Imperium, wszystkie konsekwencje tak rozumianego uniwersalizmu stawały się wyraźne. Oto w którymś z pism rosyjskich ukazał się artykuł krytykujący ciągle nieufną wobec Rosji postawę przedstawicieli polskiej kultury. Iluż to pisarzy, malarzy, rzeźbiarzy, iluż wartościowych ludzi błąka się po obczyźnie zamiast powrócić do kraju i tworzyć ku obopólnej korzyści. Tak cenią Polacy swoją kulturę, niech powrócą ci, którzy mają dobrą wolę, niech pokażą, co potrafią. I oto zabiera głos Dostojewski karcąc publicystę w *Dzienniku pisarza* za przesadną ugodowość. Swoiście pojmowany uniwersalizm każe mu wołać: nie ma zgody, nie wpuszczać! Nie można wierzyć Polakom. Nigdy nie wyrzekną się Dawnej Polski, Polski panów i księży, nigdy nie pogodzą się z utratą niepodległości. Żywią nienawiść dla Rosji, co więcej — nawet podbici roszczą sobie prawo do kulturalnej przewagi. Ich literatury, sztuki, myśli politycznej nie można wpuszczać do Rosji, są to zawsze dzieła zatrute.

I następnie Dostojewski określa nasze położenie i obowiązki, rozumiejąc je lepiej od już wówczas zbałkanizowanej inteligencji polskiej. Ciągle jeszcze istnieje Dawna Polska, która chce zająć pierwsze miejsce w słowiańskiej rodzinie, zbrojna w katolicko-liberalne dziedzictwo chce podbić kulturalnie Rosję, i istnieje Nowa Polska wyzwolona i zorganizowana przez cara, która włączy się w słowiańsko-rosyjskie morze, przyjmie zadanie wypełniania uniwersalnego posłannictwa Rosji. Wątpię, czy Dostojewski wierzył w możliwość narodowej apostazji. Organiczna niechęć i nieufność wobec Polaków, którą wyniósł jeszcze z katorgi, gdzie tak butnie nie chcieli uznać, że to duch dziejów wcielił się w ich kajdany, każe raczej przyjąć, że był świadomy nierealności Nowej Polski. Chodziło mu po prostu o unicestwienie Dawnej Polski, bo rozumiał, że cele imperializmu rosyjskiego są sprzeczne z istnieniem Polski, z jej kulturą i posłannictwem. I zwraca się do nas w te słowa:

„Przyjeżdżajcie! Uładźcie wasze serca i ukorzcie się przed Carem, wiedzcie jednak, że nigdy nie będzie Dawnej Polski. Jest nowa Polska, Polska wyzwolona przez Cara, odradzająca się Polska, która niewątpliwie może w przyszłości oczekiwać równego losu z każdym słowiańskim plemieniem, gdy słowiańszczyzna wyswobodzi się i odrodzi w Europie. Ale Dawnej Polski nigdy nie będzie dlatego, że nie może ona współżyć z Rosją. Jej ideałem jest zajęcie miejsca Rosji w świecie słowiańskim. Jej dewizą zwróconą do Rosji: *Otes-toi de là que je m'y mette*".

W głosie tego fascynującego pisarza, który istotę naszego losu rozumiał lepiej od większości Polaków, znajduje najpełniejszy

wyraz nacjonalistyczno-mistyczna wersja politycznego maksymalizmu. Dostojewski chciał odrodzić ideę jedynowładztwa, nadać jej ekspansywną siłę poprzez odkrycie w ludzie rosyjskim mitycznego źródła potęgi Imperium. Żądał ukorzenia się inteligencji przed prawdą ludu, wierzył, że w ten sposób Rosja zyska uniwersalną moc, światowe posłannictwo. I z rzadko spotykaną szczerością formułuje program polityczno-duchowej ekspansji: już nie tylko Polska, lecz cała Europa musi paść u carskich stóp. Rozbiór Polski był pierwszym etapem w wypełnieniu dziejowego posłannictwa Rosji — likwidacji politycznego systemu stworzonego na Zachodzie, gdzie człowiek jest nieludzko miażdżony przez formalistyczne zbiory praw i działanie demokratycznych instytucji. Historia Europy jest dla Dostojewskiego coraz dalszym rozpadaniem się organicznych więzi społecznych, zastępowaniem tradycyjnych związków między ludźmi przez stosunki oparte na konwencji prawnej i przymusie państwowym, przez co ludzie stają się sobie obcy i wrodzy. Europejski racjonalizm stworzył w rezultacie represyjne społeczeństwo, w którym instytucje zorganizowanych swobód demokratycznych są tylko kostiumem, który czyni łatwiejszym do zniesienia totalny brak wolności, podporządkowanie jednostki formalnym prawom, obowiązkom i sankcjom. Trzeba wyjść poza jednowymiarowość zachodniego człowieka, trzeba uciec do rosyjskiej wolności. Dostojewskiego trapiła ta sama problematyka co poniektórych dzisiejszych sprawiedliwych, choć inne nim co prawda kierowały pobudki. I znalazł wyjście z zachodniego modelu społeczeństwa w mitycznej wspólnocie staroruskiego *miru*. Rosja może odwołać się do tradycji *obszczyny*, prawdziwie dobrowolnej i autentycznej organizacji społecznego życia, dlatego potrafi wyjść poza nieprzezwyciężalne trudności zdegenerowanego Zachodu, dlatego powinna zdobyć przewodnie miejsce w świecie.

Dlatego też jeden z politycznych artykułów z 1877 roku Dostojewski zatytułował: *Jeszcze raz powtarzam — Konstantynopol prędzej czy później musi być nasz*. I pisał tam, że Rosja jako dziedziczka Wschodniego Cesarstwa musi się przeistoczyć w Trzeci Rzym — na to musi zawładnąć Konstantynopolem. Wówczas przejmie dotychczasową rolę Europy, przejmie panowanie nad światem. Dotąd było to niemożliwe. Rosja w porównaniu z Zachodem była zbyt słaba, gdyby nawet militarnie zdobyła Konstantynopol, to przewaga elementu bizantyńskiego nad ruskim była tak wielka, że wkrótce Konstantynopol oderwałby się razem z rdzennie ruskimi ziemiami, a małe, czysto etniczne państewko moskiewskie zepchnięte by zostało do bram Azji. Cofnięto by się na wyjściowe pozycje Księstwa Moskiewskiego, zmarnowano tyloletni trud ekspansji, dlatego carowie dotąd tego nie zrobili. Teraz jednak dekadencja Europy poszła tak daleko, a siła Rosji wzrosła tak poważnie, że zdobycie Konstantynopola jest konieczne, jest tylko kwestią czasu, prędzej czy później musi być nasz — rosyjski. Jest etapem trwającej od lat ekspansji. Spod Smoleńska przesunięto się aż po Odessę, aż po Warszawę. To wszystko jednak mało. Rosyjski uniwersalizm musi zatriumfować. Trzeci Rzym musi powstać. Konstantynopol musi być nasz.

Mityczna siła ludu nie była w rzeczywistości wystarczająca, aby zdobyć Konstantynopol. Znów okazało się, że gmach Imperium jest nadgniły, podpierające go siły ciemne i chwiejne. Zdawały się jednak jedynym ratunkiem i nie pogardzono nimi, aby wyładować narastające niezadowolenie stojącego na społecznym marginesie chłopskiego tłumu. Hasła *biej żidow* i *dałoj gramotnoj*, to najwyższe wcielenie ludowej wersji politycznego maksymalizmu: poświęca się w ofierze motłochowi oświecone elementy, aby przez tę ofiarę przebłagać złe bóstwa i uratować despotyzm. Ten mistyczno-nacjonalistyczny nurt myśli rosyjskiej znalazł najbardziej fascynujący intelektualnie wyraz u Dostojewskiego, a najbardziej przerażające polityczne wcielenie w kierowanych przez rząd pogromach Żydów i w systematycznie organizowanej duchowej likwidacji polskości. Nie jest paradoksem, że ukoronowaniem politycznych artykułów Dostojewskiego był rok 1905: wówczas maksymalizm czarny i czerwony doszedł wyjątkowo mocno do głosu. Czym innym mogły się skończyć te inwektywy pod polskim adresem, te oskarżania Żydów o *status in statu*, te imperialistyczne wezwania — niż czarnymi sotniami w 1905, a czerwonymi — w 1917?

Taki jednak musiał być koniec, gdy religię podporządkowuje się despotyzmowi, elitę — motłochowi. Jak głęboko nie sięgałaby nacjonalistyczna miłość do rosyjskiego ludu, będzie miała źródło nie w pragnieniu podniesienia go do godności człowieczeństwa, nie w wysiłku duchowego uszlachcenia, a w nadziei, że w ten sposób wytworzy się nowe siły, choćby nie wiem jak straszne i okrutne, które pomogą w zachowaniu Imperium. Znakomicie zrozumiał to Jan Kucharzewski:

„Godłem tego cara ludowego nie będzie dwugłowy orzeł bizantyjski, którego chłop zgoła nie rozumiał, lecz prędzej — czerwony kogut, *krasnyj pietuch*, piejący pobudkę do mściwej pożogi, tej iluminacji chłopskiej na cześć cara-mściciela".

Jak strojne by nie były mistyczne szaty, w które cezaropapizm przywdziewał polityczną rzeczywistość, w istocie chciał on odebrać Chrystusowi prawdę, zatrudnić Go w Ochranie na większą chwałę Imperium. To także uchwycił Kucharzewski:

„Jeżeli pierwsi nihiliści zastali cerkiew zrujnowaną, to któż przed nimi przyczynił się potężnie do tego dzieła ruiny? Ci, którzy pozbawili cerkiew samoistności i godności, kazali jej błogosławić i kropić wodą święconą akty urzędowego nihilizmu. Traktowano Boga, jako najwyższego opiekuna III wydziału kancelarii carskiej, zespolono religię z dziełem żandarmów, nihiliści rzucili się przede wszystkim na te prawosławne okopy św. Trójcy".

Dostojewski wyrażał najpełniej ten proces powolnej rusocentrycznej pragmatyzacji wszelkich wartości: to jest prawdziwe, co może się przyczynić do rozwoju potęgi Imperium. Zatrudnienie

idei w służbie polityki i policji musiało prowadzić do nihilizmu, i musiało być obojętne czy będzie to służba czarnej czy czerwonej policji. Postulowano rosyjski uniwersalizm: aby się odrodzić, Imperium musi podjąć wielkie hasła; jednak wynikało z tego, że to nie Rosja ma się zeuropeizować, a przeciwnie — Europa powinna zruszczeć. Te maksymalistyczne rojenia chciały uzasadnić własne pretensje do uniwersalnego posłannictwa w oparciu o swoiście interpretowaną tradycję chrześcijańską: w Rosji zachowała się prawdziwa wiara, która na Zachodzie uległa degeneracji — katolicyzm, największy wróg rosyjskiego posłannictwa, zdradził czystość religii, przeto Rosja powinna przynieść światu w darze prawdziwe wyznanie — Nową Wiarę. Jednak przesłanie Chrystusa i tradycja chrześcijańskiej Europy odbierają rację bytu maksymalistycznym postawom. Dostojewski odpowiedział na to z całą konsekwencją: w *Legendzie o Wielkim Inkwizytorze*, najbardziej zakłamanym manifeście myśli maksymalistycznej, odrzucił całą tradycję zachodnią, nazwał ją wcieleniem szatana i stworzył pierwszą wizję rosyjskiego Zbawiciela; pojawiająca się w ikonografii Stalina apoteoza tego Pierwszego na Ziemi Człowieka, Wybawiciela Mas i Odkupiciela Ludzkości ma swoje źródło w tej właśnie postawie i jest jej logiczną choć przerażającą konsekwencją. Proponowana przez Dostojewskiego w zawoalowanej formie przymusowa paszportyzacja Chrystusa była w konsekwencji ostatecznym wyjściem poza chrześcijańską tradycję: teraz już rzeczywiście wszystko było dozwolone, co działało na chwałę Imperium. Dylemat: Chrystus czy prawda, pociąga za sobą równie fałszywy dylemat: czy ofiarować ludziom wolność czy szczęście. Jest to stawianie zagadnień typowe dla rosyjskiego maksymalizmu: rozlewna miłość dla ludzkości i jednocześnie pełen pogardy stosunek do człowieka, moralizujące pretensje względem wszechświata, eschatologiczna analiza losów ludzkich, i jednocześnie odmowa przyjęcia konkretnej odpowiedzialności, konkretnych obowiązków. Wyjście poza tradycję chrześcijańską było logiczną konsekwencją postawy proponującej Chrystusowi jakby stanowisko honorowego oberprokuratora wielkoruskiego synodu, aby swym milczeniem uświęcał polityczną działalność Nowego Ładu. Właśnie to przejście zobrazował w słynnym wierszu Błok. W rezultacie fałszywych dylematów nie ma ani Chrystusa, ani prawdy, ani wolności, ani szczęścia. Będzie jednak ten typ myślenia intelektualną sankcją dla bolszewików, odwrócą tylko trochę dylemat Dostojewskiego: nie jesteście chwilowo wolni? — będą mówili, a więc powinniście być szczęśliwi, inni przejęli za was całą odpowiedzialność; nie jesteście szczęśliwi? — tylko na razie, będziecie przecież najswobodniejszym ludem.

Mistyczno-nacjonalistyczny maksymalizm nie spełnił w Rosji swojej politycznej roli. Nie zdobył Konstantynopola. Nie podbił duchowo Europy. Jego uniwersalistyczne zamierzenia okazały się chybione. Niemniej przygotował grunt pod działanie sił, które podejmą się lepiej i szerzej urzeczywistnić imperialne plany.

Komunizm w bolszewizmie przejął na siebie pełniej i skuteczniej rolę, jaką w cezaropapizmie spełniała cerkiew prawosławna: jest czystym despotyzmem, czystą politycznością, bo nie jest już krępowany przez żadne objawienie. Rozumiemy teraz w pełni dlaczego w sztafecie politycznej odnowy Imperium po Dostojewskim, Pobiedonoscewie czy Stołypinie przyszedł Lenin i Dzierżyński i Stalin.

I tak doszliśmy do wspomnianej już drugiej postawy maksymalistów wobec kryzysu Imperium a zarazem do trzeciej funkcji marksistowskiej ideologii we współczesnym świecie: do politycznej roli bolszewizmu. Stanie się ona zrozumiała wówczas, gdy uchwycimy jej wagę w wielowiekowej historii konsolidacji rosyjskiego despotyzmu i zdobywania przezeń uniwersalnej siły ekspansji. To są decydujące problemy dla zrozumienia współczesnego świata. Zachód przymyka na nie oczy, nie widzi ich, nie chce i nie potrafi widzieć. Ta kurza ślepota przytrafia się także i u nas. A przecież nie stać nas na to. A przecież w polskich oczach te problemy powinny znaleźć najostrzejszy wyraz — i kiedyś znajdowały, na przykład w *Snobizmie i postępie* Stefana Żeromskiego:

„Pomimo uderzającej różnicy między dwiema koncepcjami mistycznego posłannictwa Rosji, pierwszej, opartej na państwie cara, i drugiej, opartej na czynie rewolucji, łączy je przecież jedno: entuzjastyczne a pochodne uwielbienie państwa rosyjskiego i jego poczynań. Zarówno Dostojewskij, jak Andrzej Biełyj, Błok i Jesienin ślepo wierzą w doskonałość tego, co się dokonywuje nad nimi i ponad nimi, co już spełnione zostało przez 'władzę' ".

Nihilistyczno-rewolucyjny kryzys pokazał, że dotychczasowe ramy społeczne nie potrafią zapewnić despotycznej Rosji trwałości i siły, że gmach się wali, że mistyczne marzenia o jedności inteligencji i ludu są jedynie złudzeniem, są pozbawione politycznego znaczenia, nie mogą nadać Rosji uniwersalnej roli. Trzeba przeto dokonać dzieła zniszczenia, utopić w posoce stary świat, aby z tej kąpieli wyszła Rosja odmłodzona, obdarzona fascynującym urokiem. A później stworzyć nowy maksymalizm form społecznych, nowy poprawiony despotyzm, który zlikwiduje w starym świecie nawet te względne swobody, które umożliwiły pojawienie się rozpaczliwego buntu. Społeczeństwo zostanie wstrząśnięte i przeorane, wszystkie różnice zniwelowane, aby tak powstałemu ludzkiemu stadu, zagubionemu w nihilistycznej walce każdego z każdym, narzucić nowe formy, nowe role całkowicie kształtowane przez interes machinerii państwowej.

Różnica między totalizmem a innymi rządami, to różnica między maszyną a żywym organizmem. Państwo powszechnego uspołecznienia, powszechnego planowania, a więc, co za tym idzie, powszechnego despotyzmu, nie potrafi samo znajdować dla siebie mechanizmów autoregulacji, szukać najmniej bolesnej drogi wyjścia z tworzących się trudnych sytuacji, jest zmuszone likwidować te obszary rzeczywistości, które mogą mu sprawiać trudność. Za skuteczność tych operacji płaci się ludzkim nieszczę-

ściem, ale cena ta jest wliczona w funkcjonowanie systemu. Myśliciele francuskiego Oświecenia okazują się poprzednikami bolszewizmu: człowiek maszyna — to człowiek organizujący obozy i wprzęgnięty w obozy. Przecież jednak ciągle żywy człowiek, więc bezustannie kaleczony przez ogniwa machinerii. Tajemnicą rosyjskich podbojów jest to, że despotyczna machineria kaleczy poszczególne jednostki, które się buntują, całość Imperium mimo kryzysów organizuje się doskonale; kalectwo części jest warunkiem i częściowo źródłem mocy całości.

Marksizm jest utopijnym programem, postulującym kastrację człowieczeństwa do jednego wymiaru. Z analizy praw ekonomii politycznej wywodzi się teorię materializmu dialektycznego. Naukowe podstawy tej doktryny dawno już zostały zdementowane przez rzeczywistość. Nie ma potrzeby stwierdzać, że Marks pomylił się w historycznych prognozach, że chybiony z logicznego punktu widzenia jest sam pomysł teorii zarazem dialektycznej i materialistycznej, to znaczy takiej, która wszystko sprowadza do materii a zarazem podporządkowuje ją prawom ducha. Ale właśnie nie interesują nas naukowe pretensje marksizmu, tylko jego ideologiczna skuteczność. Dyskusje logicznej czy moralnej zasadności doktryny, owe dialogi Wschód - Zachód, są stratą czasu; kiedy atakujemy marksizm jako wiedzę, broni się jako wiara, kiedy demaskujemy moralne konsekwencje tej wiary, przykrywa się rzekomym autorytetem nauki. To historyczne niesprawdzenie się systemu paradoksalnie ułatwia dalszą jego egzystencję, dawne hasła i nakazy nie są już krępujące, nikt nie będzie egzekwować ich spełnienia, bo nie odnoszą się do żadnej rzeczywistości, straciły wszelki sens. Pozostaje czysto ideologiczny charakter doktryny, a nie zrozumiemy go, jeżeli nie zobaczymy, że cała jego siła płynie z istnienia komunistycznej Rosji. To nie polityka rosyjska zależy od tez marksistowskiej ortodoksji, lecz płynne wyznanie wiary doktryny zależy od zmiennych interesów Imperium, siła partii komunistycznych nie wywodzi się z boskiej nieomylności *Manifestu Komunistycznego* a z rosyjskiej potęgi.

Ortodoksja marksistowska, jak widzieliśmy, nie odgrywa już większej roli w organizowaniu robotniczych ruchów społecznych na Zachodzie. W bardzo zmienionej postaci stanowi uświęcenie społecznej jałowości i lenistwa progresistowskich intelektualistów. To zjawisko może się stać społecznym zagadnieniem tylko przy istnieniu bolszewickiego despotyzmu, któremu ci ludzie służą; ich intelektualne „problemy" stają się zrozumiałe, gdy potraktujemy je jako bezustanne dostosowywanie się do realnej problematyki Imperium. Bez zewnętrznego punktu odniesienia komunizm byłby wśród europejskich intelektualistów jedynie nieznaczącym statystycznie objawem społecznego niedostosowania: zachodnia kultura wymaga od jednostki podjęcia szeregu konkretnych obowiązków, w dzisiejszych czasach te powinności są coraz bardziej konkretne i zróżnicowane, niektórzy nie potrafią im podołać, wstydzą się własnego kalectwa i szukają usprawiedliwienia w negacji porządku społecznego — tu mają swoje źródło

kontestatorskie ruchy na Zachodzie, są to kryzysy wzrostu i wymagają stworzenia odpowiednich mechanizmów, które pozwolą słabszym jednostkom znaleźć sobie miejsce w społeczeństwie. Gorzej rzecz się przedstawia, gdy dla usprawiedliwienia jałowości i ukrycia wstydu zawiera się sojusz z zewnętrzną potęgą, gdy jej ekspansywnemu nihilizmowi oddaje się do usług własne siły. Wówczas nie tylko (o co najmniejsza) płaci się własnym zaślepieniem i upodleniem, ale stanowi się podwójne zagrożenie: wspomaga się zewnętrzną groźbę despotyzmu, a także utrudnia się funkcjonowanie wewnętrznych mechanizmów demokracji, jak miało to na przykład miejsce w Ameryce McCarthy'ego, co więcej — dzięki psychozie mądrze wytwarzanej przez sprawiedliwych, ich postawa przyciąga ludzi, którzy posiadali już miejsce w społeczeństwie a zostali zwabieni wygodą komunistycznego nihilizmu.

I tak myślący ludzie zostali przechwyceni przez Imperium, aby mu służyli w jego nowym wcieleniu. Carski despotyzm nie potrafił osiągnąć uniwersalnych celów, był zbyt mało despotyczny, cele — zbyt partykularne. Bolszewizm głosił rzeczywiście uniwersalne hasła: zburzenie starego świata i stworzenie nowego, gdzie władza będzie totalnie scentralizowana — nazwano ten dziwny twór „ojczyzną proletariatu" i nie wolno było stawiać pytania jak w ogóle można mówić o robotniczej dyktaturze, szczególnie w chłopskim kraju. Tak powstały despotyzm uzyskał w pierwszej najważniejszej fazie konsolidacji sił niezwykle cennego sprzymierzeńca w postaci międzynarodówki robotniczej. Po pewnym czasie wielu robotników zobaczyło, że ten despotyczny ustrój nie tylko nie może im nic ofiarować, ale stanowi potencjalne zagrożenie dotychczasowych zdobyczy. Pozostało jednak coraz szersze grono sprawiedliwych — a ci zostali przez Imperium znakomicie wyzyskani. Dzięki nim trzecia wolta rosyjska zakończyła się sukcesem, rosyjski despotyzm został zaprezentowany Zachodowi jako najwyższa forma wolności.

Co nie powiodło się Katarzynie, która nieśmiało kokietowała ówczesnych Oświeconych, co nie wyszło Mikołajom i Aleksandrom, którzy rosyjską wolność chcieli nieść Prawosławiu i Słowiańszczyźnie, to Lenin i Stalin zrealizowali w pełni i z olśniewającym sukcesem. Jedna dziesiąta ludności w obozach koncentracyjnych, niezliczone rzesze po więzieniach, poszczególne narodowości eksterminowane, Ukraina czy Gruzja podbite, Polska czy Węgry całkowicie zdominowane — i taką Rosję przedstawiono ludzkości jako ojczyznę międzynarodowego proletariatu, i ten kształt Imperium uznano za najwyższą formę rządów, za wcielenie wolności, która mocą koniecznych praw historii zapanuje nad całą kulą ziemską. „To, co zostało urzeczywistnione w ZSRR — pisał Stalin w *Zagadnieniach leninizmu* — może być w zupełności urzeczywistnione również w innych krajach": stworzony przez bolszewików Chrystus zaprowadzi zwolenników marksizmu do rosyjskiego raju, do komunizmu.

Uniwersalne posłannictwo Imperium osiągnęło apogeum. Od Dostojewskiego idzie linia do Błoka, od Błoka do Majakowskiego

i Stalina. Nie ważne, że Dostojewski ze zgorszeniem przeczytałby wiersz Błoka, że umierający Błok z przerażeniem i wstrętem odwracał się od morza krwi, że Majakowski strzelił sobie w łeb; ale przecież Dostojewski żądał nowych podbojów i chciał pacyfikować niepokornych, ale przecież Błok marzył o zalewającej Europę scytyjskiej dziczy, ale przecież Majakowski opiewał bolszewicki terror i rozlaną krew. To wszystko zrealizowali ich duchowi spadkobiercy: Lenin i Stalin, którzy rosyjskie słowa tamtych oblekli polityczną cielesnością. Przebrano imperialny maksymalizm w komunistyczną frazeologię, przez Rewolucję osiągnięto to, o czym Katkow czy Pobiedonoscew w najpiękniejszych snach nie marzyli — jej straszna cena opłaciła się Imperium. Teraz już wszelkie poczynania despotyzmu można było określić jako wypełnianie się praw historii w ojczyźnie światowego proletariatu, teraz już upodlenie, strach i nędzę ludu rosyjskiego, czarną noc, jaką niósł komunizm krajom podbitym, można było określić jako dialektyczne realizowanie postępu i wolności. Tak stworzona Nowa Wiara nie miała już mankamentów poprzedniej: była zarazem skrajnie idealistyczną utopią przeznaczoną dla sprawiedliwych i skrajnie upragmatycznionym, cynicznym i bezwzględnym narzędziem dla realizowania potęgi Imperium.

Nic nie zrozumiemy ze światowego znaczenia komunizmu, więc także z obecnego położenia Polski, dopóki nie zobaczymy, że Lenin nie był kontynuatorem nierealnych socjalistycznych utopii, zmuszonym przez sytuację do odejścia od pięknych marzeń, lecz był mądrzejszym następcą Stołypina, który wyciągnął konsekwentne wnioski z dzieła Marksa. Od *Co robić* do *Państwa i Rewolucji* przyświeca tym pozornie talmudycznym rozważaniom jeden cel: jak unicestwić wszelką potencjalną groźbę pojawienia się opozycji, pojawienia się choćby cienia swobody. Doktryna marksistowska jest z samej swej istoty despotyczna, jednak przemoc nad unicestwionym człowieczeństwem może tam przybierać różne formy. Bezustanną troską Lenina było, aby tak ujednolicić sprzeczności doktryny, żeby wskazywała na azjatycki zbiurokratyzowany despotyzm jako na jedyną prawomyślną realizację jej postulatów. Kto poza tę interpretację wykracza, będzie potępiony, skazany przez trybunał Nowej Wiary. Poza doktryną nie ma zbawienia — a doktryna wcieliła się w Imperium i ono jej kształt określa.

Lenin walczył z pokusą postaw anarchicznych i socjaldemokratycznych wśród rewolucjonistów, to znaczy z utopijnie idealistyczną interpretacją marksizmu, która przez to nie posiada politycznej wartości dla Imperium, oraz z próbą wyjścia poza frazeologiczną warstwę doktryny, poza jej maksymalizm, poza nieuniknienie despotyczne konsekwencje. Postawa anarchiczna odbierała doktrynie imperiotwórczą siłę, postawa socjaldemokratyczna przekreślała możliwość wykorzystania doktryny do odbudowy despotycznej Rosji. Dlatego Lenin z wielką energią zwalczał obydwie. Dlatego na pytanie „co robić?" odpowiadał, że najbardziej palącym zagadnieniem ówczesnego ruchu komunistycznego jest stworzenie silnej scentralizowanej partii nowego typu, która jednakże nie będzie brać pozytywnego udziału w życiu społeczeństw burżuazyjnych. Dlatego na pytanie o stosunek państwa i rewolucji odpowiadał, że państwo musi zostać obalone, ale przez rewolucję socjalistyczną obalone będzie tylko państwo burżuazyjne. Wbrew socjaldemokratom mówił, że ustrój burżuazyjny musi zostać obalony siłą, przewrotem. Jednak wbrew anarchistom przestrzegał, że tak powstałe społeczeństwo nie będzie zupełnie swobodne. Musi zostać stworzona socjalistyczna państwowość — dyktatura proletariatu — przejściowa faza w rozwoju do komunistycznego raju, dyktatura większości nad mniejszością; trzeba będzie wytworzyć skuteczne formy proletariackiej przemocy, która zapewni socjalistyczną przemianę form społecznych i świadomości ludzkiej. Z połączenia zaś obydwu przesłanek, o roli partii i kształcie państwowości, konsekwentnie wynika, że proletariat jest wyrazicielem woli narodu, scentralizowana partia jest wyłącznym reprezentantem proletariatu, Komitet Centralny reprezentantem partii, zaś Biuro Polityczne reprezentantem Komitetu. Przeto dyktatura proletariatu — to dyktatura elity partyjnej nad całym krajem. Lenin pokazał też jakimi zasadami ma się kierować ta dyktatura, odpowiedział na to pytanie w broszurze o *Dziecięcej chorobie 'lewicowości' w komunizmie*. Ta choroba, to nierozumienie politycznych możliwości ukrytych w milenarystycznej frazeologii doktryny. Lenin widział, że marksizm jest genialnie demagogicznym narzędziem dla stworzenia nowego Imperium. Nie wolno jednak dostosowywać polityki do wskazań doktryny, traci się wówczas władzę, ponieważ zawarta w doktrynie realna wiedza o świecie zwłaszcza o świecie rosyjskim, jest prawie żadna. Trzeba postępować odwrotnie — dostosowywać płynne i mgliste tezy doktryny do potrzeb bolszewickiej polityki; taktyczne nakazy, pokój brzeski, prawo do samostanowienia narodów znajdujących się poza orbitą armii czerwonej, aneksję krajów już podbitych, niewolniczą pracę ludzi, terror jako fundament tego wszystkiego, trzeba przebrać w marksistowski kostium. Wówczas nie tylko uzyska się sankcję dla tych poczynań, ale przedstawi się Rosję jako ojczyznę światowego proletariatu, a partia rosyjska uzyska tytuł dla dominacji komunistycznej międzynarodówki, dla wykorzystania jej do własnych celów. I głosi Lenin, że partia Związku Radzieckiego jest przodującą partią świata: doktryna służy rewolucji, rewolucja — partii bolszewickiej, ta z kolei — Imperium Rad.

Widzimy teraz pełniej leninowskie zamierzenie. Tylko silna partia bolszewicka ma szansę realizacji wielkich celów: stanowi awangardę światowego ruchu robotniczego. Dyktatura proletariatu jest formą ustroju społecznego, która spełnia zamierzenia partii. Radziecka Rosja jest pierwszym krajem dyktatury proletariatu, tam najpełniej można było zrealizować te postulaty. A z całości analizy wynika, że wszystkie kadrowo zorganizowane partie komunistyczne muszą być posłuszne interesom nowego im-

perium rosyjskiego, rządzonego totalnie przez Biuro Polityczne. W tej zdumiewającej historiozofii dzieje świata znalazły zwieńczenie w Matuszce-Rosji. I świat te „naukowe" tezy przyjął, sprawiedliwi wierzyli, oświecone głowy poważnie dyskutowały. Przez to zaczadzenie umysłów despotyczne dokonania Imperium uzyskały sankcję a nawet niespodziewaną nobilitację i siłę fascynacji, zaś Europa zrzuciła z siebie odpowiedzialność za milczące aprobowanie zła. I czyż mógł marzyć Iwan czy Piotr, Katarzyna czy Mikołaj, Karamzin czy Dostojewski o tym, co osiągnął ten genialny człowiek — Włodzimierz Iljicz Lenin?

Dziś ciągle jeszcze nie możemy zrozumieć zachodniego zaślepienia i oczarowania. Raymond Aron dawniej, Robert Conquest ostatnio, próbowali opisać i wyjaśnić to zjawisko — ich cenne prace stanowią jednak analizę nieruchomych i oderwanych od źródeł faktów, zbyt mały nacisk został położony na związek zarówno doktryny marksizmu-leninizmu jak i wynikającej z niej praktyki z kilkusetletnią historią rosyjskiego imperium. A przecież tylko w ten sposób przybliżyć się można do zrozumienia istoty duchowego maksymalizmu oraz swoistej formy polityczno-ustrojowej, która powstała w wyniku Rewolucji 1917 roku i późniejszych wydarzeń. Pełna analiza zachodniego zaczadzenia musi się zająć historią rosyjskiego opętania maksymalistycznym widzeniem zagadnień. Być może zdołamy zrozumieć jak silna była wśród zachodnich intelektualistów żądza niewiedzy, jak wielkie było polityczne dokonanie przedstawione w *Państwie i Rewolucji*, gdy jako tło rozważań o zaniku państwa potraktujemy znane zdjęcie z niesławnej konferencji Jałtańskiej. A jeszcze lepiej — gdy wywołamy z pamięci jedną z niezliczonych imprez „w obronie pokoju", choćby warszawski Kongres. Wszyscy ci intelektualiści organizowali się po to, aby wspólnie nie widzieć tego, co ich otacza. Każdy chłop polski (a i rosyjski, i francuski) rozumiał sytuację polityczną lepiej od nich. Źródło ślepoty oświeconych leży właśnie w braku intelektualnej pokory i społecznej odpowiedzialności: w maksymalistycznym widzeniu zagadnień. Oczywiście jest to tylko formuła, pozwala nam określać raczej niż rozumieć. Jak jednak zrozumieć ludzi, którzy zjechali do wynędzniałej, wystraszonej i podbitej Warszawy, aby w zniewolonym przez Rosjan mieście sławić komunistyczną wolność i walczyć z burżuazyjno-imperialistycznym zagrożeniem pokoju? Czy nie widzieli, że tłumy, które z bojaźnią i ciekawością patrzą na nich, dostrzegają nie kryptokomunistów, lecz przybyszów ze swobodnego Zachodu, którym nie grożą tortury, więzienia, obozy, upodlenie, strach, nędza; którzy mogą prowadzić każdą rozmowę, czytać bezkarnie każdą książkę, swobodnie słuchać radia, chodzić do kina dla przyjemności, porządnie się ubierać bez obawy o zarzut klasowej obcości — tutaj wszystko to było zakazane. W tym czasie, gdy na całym obszarze Imperium „w szkło zastygały trupy stu narodów", oni sławili to jako radziecką wolność, wolność — jak mawiali — konkretną, nie abstrakcyjną i pozorną, jak na Zachodzie. Przyjrzyjmy się formom leninowskiej konkretnej wolności — konkretnemu wcielaniu maksymalizmu w żywą materię społeczeństwa.

Pod osłoną dialektycznie materialistycznej doktryny — gdzie każdy ukaz jest historyczną koniecznością a żadne normy moralne nie ograniczają i nie pouczają władców przy realizacji imperialnych zamierzeń — wprowadzono nieznany w dziejach terror. Władcy uznali, że za cenę totalnego podporządkowania społeczeństwa uda im się stworzyć całkowicie nowy model państwowości o nieznanej dotąd sile. Realizowano to poprzez likwidację wszelkich dotychczasowych więzi społecznych, wszelkich powinności państwa wobec jednostki. Na miejsce tradycyjnych związków międzyludzkich postanowiono wprowadzić racjonalnie skonstruowaną więź między jednostką a państwem: *dążono do całkowitej nacjonalizacji człowieka*. Wówczas będzie można administracyjnie orzekać o jego prawdziwym kształcie, będzie można osiągnąć całkowicie konkretną wolność: w pełni uzależnioną od politycznych interesów despotycznego państwa — spełnione zostanie maksymalistyczne marzenie.

Jeden z pierwszych bolszewickich dekretów, dekret o ziemi, wyjmował faktycznie spod prawa część ludności: ziemiaństwo, oddawał je na łup motłochu. Było to wezwanie do masakry jednych przez drugich. Okazało się, że decyzją władz można uznać życie pewnej kategorii ludzi za nic nie warte, ich krew za nieczystą. Kiedy raz padnie z ust absolutnych władców przyzwalające pytanie: „czyż krew tych ludzi jest tak czysta?", wówczas mamy do czynienia z oficjalną aprobatą ludobójstwa, ze zgodą na dalsze zbrodnie. Likwidacja „krwiopijców" nie wywarła w postępowych kołach na Zachodzie głębszego wrażenia, uznano to za historyczną konieczność. Nie rozumiano, że konsekwentna realizacja marksistowskiego dialektycznego materializmu w żywej materii społeczeństwa prowadzić musi do potencjalnego rozszerzenia kategorii krwiopijców na wszystkich ludzi. Jeżeli życie każdego człowieka nie jest święte, a uświęcony jest jedynie pewien abstrakcyjny stosunek do środków produkcji, i jeżeli ten stosunek określany jest decyzją absolutnej władzy — wówczas każdy może być zaliczony do skazanych wyzyskiwaczy, czy to przez czyny, czy przez myśli. Niemiecki nazizm i rasowo konieczną likwidację Żydów czy innych narodowości uznano powszechnie za zbrodnię przeciw ludzkości, toleruje się moralnie radziecką klasową moralność i historycznie tym razem konieczną likwidację całych warstw ludności, choć ta konieczność pociągnęła jeszcze więcej ofiar niż poprzednia.

Nacjonalizacja jednostki — jej ubezwłasnowolnienie — to uznanie wszelkiej krwi za potencjalnie nieczystą. Każdy powinien należeć całkowicie do państwa; ktokolwiek próbuje stworzyć sobie prywatne życie jest przestępcą, jest nieczystym. Oto dlaczego krwiopijcami okazali się z kolei chłopi czy rzemieślnicy. Powstała nowa konieczność historyczna: fizyczna eksterminacja milionów chłopów. Kraj zapłacił za to nieznanym głodem, terrorem,

chaosem. W ten sposób jednak nowy despotyzm zlikwidował groźbę buntu tkwiącą w carskim despotyzmie. Któż mógłby się buntować, gdy wszyscy są zniewoleni i kontrolowani przez Państwo-Lewiatana? Oto dlaczego państwo musi być nie tylko wyłącznym producentem maszyn, węgla czy stali, ale także sznurowadeł i guzików. Oto dlaczego ekspropriowano i eksterminowano nie tylko ziemian, czy przemysłowców, ale też chłopów i rzemieślników. Właściciel pola czy zakładu szewskiego ma pewien zakres swobody, a więc wymyka się totalnej kontroli — jest nieczysty.

Zawsze mogłaby jeszcze pozostać wewnętrzna niezgoda jednostki na zewnętrzną sytuację. *Otóż totalna nacjonalizacja człowieka* — cel bolszewizmu — *obejmuje też nacjonalizację sumienia.* Musi powstać socjalistyczna świadomość: pawłowowski odruch wewnętrznego wydzielania myśli na określone bodźce dyktatury. Obywatelem Imperium ma być już nie dawny Rosjanin, obdarzony sumieniem poddany cara, a Człowiek Radziecki, odbicie czerpanych z zewnątrz impulsów, klasowo określanych przez władzę. Planowane upaństwowienie sumień jest powodem, dlaczego religia chrześcijańska musiała być całkowicie wytępiona. Cerkiew była pierwszym wrogiem, bo cerkiew, choćby nie wiem jak podporządkowana władzy carów, głosić musi niezmienne nakazy: nie zabijaj, nie dawaj fałszywego świadectwa; jest więc klasowo nieuwarunkowana, jest nieczysta. Ktokolwiek głosi wiarę w podmiotowość człowieka, w niepodległe sumienie, ten jest nieczysty, obdarzony ujemnym znakiem klasowej świadomości, skazany na zagładę — bo jest potencjalnym wrogiem totalnego Imperium. Trzeba dokonać nie tylko ubezwłasnowolnienia, uzależnienia czynów od woli państwa, nacjonalizacji międzyludzkich więzi, ale też ubezwłasnomyślenia, uzależnienia poglądów od decyzji partyjnych, nacjonalizacji sumienia.

„Bij ich i drwij z nich, i kpij z nich, i drwij z nich, / A myśl jest wolna!" — śpiewano w „Burzy" Szekspira. Nieprawda, zapewniają komuniści i ich maksymalistyczni sprzymierzeńcy, to jest pozorna, abstrakcyjna wolność, prawdziwy kształt wolności my znamy i on tylko zapewni szczęście człowiekowi. Trzeba zmusić nieświadomych ludzi, aby nie mogli uciec od koniecznej i zbawczej wolności. Należy stworzyć mechanizmy społeczne — a raczej państwowe — które wszystkich wprowadzą do bram Nowego Wspaniałego Świata, choćby wbrew woli opornych i ciemnych. Nie tylko jednak mechanizmy zewnętrzne są niezbędne, trzeba się wedrzeć w głąb duszy, stworzyć wewnętrzne mechanizmy, policję myśli. Trzeba przekreślić dotychczasowe tradycje i wartości, nie tylko religijne — wszelkie, które są klasowo nieuwarunkowane. Dlatego komuniści przez kilka lat po dojściu do władzy popierali rewolucyjną sztukę, to znaczy taką, która wyrasta z buntu przeciw zastanej tradycji. Słowa musiały stracić dotychczasowy sens, niezależny od polityki partii, związany z pogardzanymi obecnie wartościami, przeto formalistyczne zabawy, nadawanie znakom takiej deformującej plastyczności, aby wszystko mogło wszystko oznaczać, było najbardziej aprobowaną postawą wobec

języka. Teraz już bezwolnym słowem można było sławić bolszewickie dokonania, bowiem tamtejsza nowoczesność doprowadziła do zawężenia sfery znaczeń, do relatywizacji wszelkich wartości, aby donikąd nie można było się odwołać w poszukiwaniu ratunku przed coraz bardziej konkretnym upaństwowieniem świadomości. Nowoczesna sztuka w Rosji wprowadzała formalizm i relatywizm, przez co osłabiała tradycyjne więzi między grupami społecznymi, podważała tradycyjnie ukształtowaną semantykę, była pomocna przy zdobywaniu władzy: można było czarne określić jako białe i odwrotnie, można było dawne cnoty nazwać przesądami a nowe akty terroru — historyczną koniecznością. Jednak z tego samego powodu, gdy władza usadowiła się mocno, ta sztuka stwarzała przez swój relatywizm niebezpieczne możliwości eskapizmu, wewnętrznej swobody, osłabienia więzi łączącej jednostkę z państwem. Relatywizm języka już nie wystarczał, trzeba było stworzyć nowe znaczenia wyrazów, nowe pola semantyczne, których zakres zależałby od każdorazowej polityki partii. Przeto dialektycznie zlikwidowano sztukę rewolucyjną, a na to miejsce wprowadzono jej kontynuatorkę, sztukę socrealizmu. Sama nazwa jest znakomitym wyjaśnieniem: realizm socjalistyczny czyli maksymalistyczny nadrealizm. Literatury równie oderwanej od rzeczywistości nie było chyba nigdy. Był to świat fikcyjny, ale ściśle wyznaczany przez dyrektywy partii. Uprzednio doprowadzono system znaczeń do olbrzymiej plastyczności, obecnie odgórnie skodyfikowano język, aby spełniał cele praktycznej polityki: istnieje to, co powinno istnieć. Była to próba stworzenia komunistycznej semantyki; ostrzegał przed nią Żeromski, a opisał ją później Orwell. Komuniści usiłowali dokonać całkowitego wynaturzenia języka: pole semantyczne określane jest ukazem tajnej policji. Tu droga prowadzi bezpośrednio od Marksa i Lenina do Majakowskiego czy Babajewskiego. Chodziło o to, aby stworzyć ramy dla konkretnej wolności, ubezwłasnowolnić nieczyste sumienie: przekreślić wszelką możliwość pojawienia się suwerennej myśli.

Nie tylko religia i sztuka zostały poddane korupcji w celu pełnej nacjonalizacji sumienia. Próbowano uderzyć głębiej i boleśniej, upaństwowić podstawową a ciągle jeszcze istniejącą więź społeczną: rodzinę. Próba likwidacji rodziny doprowadziła do powstania niebezpiecznego zjawiska bezprizornych: wzdłuż i wszerz całej Rosji włóczyły się bandy tysięcy i tysięcy dzieci bez żadnego nadzoru. Byli poza kontrolą, poza systemem, byli podejrzani, nieczyści. Trzeba było stworzyć taki wzór więzi rodzinnej, która by spełniała jeszcze lepiej niż państwo funkcję nadzoru, która by nie była schronieniem uczuć i więzi prywatnych, a więc klasowo obcych, podejrzanych i niebezpiecznych. Tutaj osiągnął apoteozę radziecki system ukonkretniania wolności, tu wprowadzono najdalej wewnętrzną policję myśli: synowie strzegą ojców, bracia — sióstr; tego nawet Orwell nie napisał, co wyczytać można w radzieckiej encyklopedii.

Kilkunastoletni chłopak, Pawlik Morozow, dostrzegł w myślach ojca zachwianie klasowej stanowczości. Jego ojciec, małorolny

chłop, był wójtem we wsi. Były to straszne czasy kolektywizacji. Pawka podsłuchał rozmowę ojca, z której wywnioskował, że jego czujność wobec okolicznych chłopów zmalała. Natychmiast doniósł o myślowej zbrodni. Ojciec został aresztowany. Mimo nacisków ze strony klasowo nieuświadomionej rodziny Pawka na procesie odważnie powtórzył oskarżenie. Ojciec został skazany i zniknął. To jeszcze nie koniec triumfów młodzieńca. Spragniony dalszej sławy, niesyty politycznej czystości, zorganizował drużynę komsomolców; wspólnie poszukiwali, kto z chłopów ukrył ziarno, aby mieć co jeść na zimę i wiosnę. W owych czasach była to zbrodnia klasowa numer jeden, wykryty chłop bywał zsyłany do obozu lub likwidowany, pozbawiona jedzenia rodzina najczęściej umierała z głodu. Doprowadzeni do skrajnej rozpaczy chłopi zwabili donosiciela do lasu i zabili. Sprawcy zostali wykryci i rozstrzelani (lub też prawdopodobnie pewną ilość mieszkańców uznano po prostu za sprawców). I na tym nie koniec: kołchoz został nazwany imieniem Pawlika Morozowa. Wystawiono mu we wsi pomnik. Wystawiono mu pomnik w Moskwie. Wiele innych kołchozów zostało nazwanych jego imieniem. To jeszcze nic, bo jest to być może znakomita nazwa dla wszelkich kołchozów, określająca w pełni ich zadania i istotę, ale imię Morozowa otrzymała nieskończona ilość Domów Pioniera, szkół, czy ogródków dziecięcych. Tak oto wychowawczym wzorem Radzieckiego Człowieka został delator własnego ojca, niestrudzony poszukiwacz zbrodni myśli, dziarski komsomolec-donosiciel — Pawka Morozow.

Oto po leninowsku konkretne wcielenie człowieka idealnie wolnego, bo wyzwolonego z wszelkich tradycyjnych więzi, oto ukoronowanie opisywanych tu maksymalistycznych pragnień, które w konieczny sposób wcieliły się w polityczną realność Imperium, oto pisklęcie Pugaczewa, gdy w pełni rozwinęło skrzydła, prawdziwy kształt kruka, który spadł na ziemię rosyjską w roku pańskim 1917, a przygotowany został ciężką pracą Romanowów i Bakuninów, Leninów i Aksakowów, Murawiewów i Azefów, Tiutczewów i Błoków. Odsłonięcie pomnika Pawki Morozowa — oficjalne ustawienie na piedestale znacjonalizowanego sumienia, upaństwowionej myśli, przekreślenie tradycyjnego poczucia godności ludzkiej i apoteozę klasowo-policyjnych odruchów — uznać można za punkt szczytowy bolszewizmu. Podporządkowano doktrynalno-politycznym nakazom Partii-Imperium już nie tylko strukturę państwowości, prawną sytuację obywatela, ale także wewnętrzny kształt człowieczeństwa.

Oryginalność dziejowa komunizmu uwieńczona została w tej próbie stworzenia socjalistycznej świadomości. Symbolizuje ją chyba najlepiej nie pogoń za terytorialnymi podbojami, co zawsze leżało w rosyjskiej tradycji, nie procesy moskiewskie, gdzie jedni zbrodniarze dla politycznych celów byli oskarżani przez innych o fikcyjne przestępstwa, nawet nie policyjny terror o niebywałym natężeniu, ale stan powszechnego zagrożenia i upodlenia, wewnętrzna korupcja duszy ludzkiej wcielona w postać obdarowanego pomnikiem delatora myśli własnego ojca. Istniały despotyzmy inne, ale kiedyż na oczach cywilizowanego świata udało się wprowadzić policję wewnątrz rodziny ludzkiej, kiedyż udało się postawić przed oficjalnym trybunałem myśl i żądać, aby była biernym odbiciem cynicznej polityki? I wszystko w imię obietnicy przyszłego szczęścia, którego kształt był aż nazbyt widoczny w postulacie obalenia wszystkich dotychczasowych nieczystych wartości: w haśle zerwania z tradycyjnym wizerunkiem człowieczeństwa. Kongresy Pokoju, które miały bronić świat przeciw zachodnim podżegaczom wojennym, przeciw zniewoleniu przez burżuazyjne koncepcje abstrakcyjnej wolności, powinny nad prezydium obok portretów Marksa, Lenina czy Stalina, powiesić wizerunek innego jeszcze patrona, bardziej konkretnego symbolu ich poczynań: zdjęcie świętego młodzianka Nowej Wiary — Pawki Morozowa.

Pełna nacjonalizacja rosyjskiego sumienia okazała się nieosiągalna. Ustrój radziecki jest już dość silny, aby pozwolić sobie na enklawy wewnętrznego buntu. Gustaw Herling-Grudziński słusznie określił nowopowstały gatunek tamtejszego obywatela: wolny niewolnik. Dlatego jednakże należy się spodziewać, że pozbawiony już komunistyczno-rewolucyjnej frazeologii wielkorosyjski nacjonalizm znów odsłoni się w czystym kształcie. Przeto ze zdwojoną uwagą i czujnością musimy się przyglądać Rosji: czy powróci mniej krwawy a bardziej przemyślany i skuteczny Wielki Terror, czy też nacjonalizm wielkorosyjski obudzi rikoszetem nacjonalizmy w krajach podbitych: na Litwie i na Węgrzech, w Gruzji i w Polsce? Obecnie w państwie ludzi powszechnie ubezwłasnowolnionych takie oddolne uwłaszczenie myśli jest tylko potencjalnym zachwianiem równowagi. Nie wolno się mylić i łudzić pozbawionymi wszelkich organizacyjnych możliwości objawami marginalnego buntu. Można wówczas spowodować niepotrzebną daninę krwi. Takie objawy kryzysu byłyby groźne i znaczące w liberalnej strukturze Zachodu. Totalna władza Imperium sięga tak daleko, że unicestwia kumulujące właściwości ludzkiego buntu. Widzieliśmy jednak, że wbrew okrutnym wysiłkom udaje jej się tylko bardzo powierzchownie upaństwowić człowieczeństwo. A przecież na tym miała się opierać niezwyciężalna budowla komunizmu. Jak każde ludzkie dzieło i to — dzięki Bogu — okazało się chwilowe. Jednakże maksymalistyczny system społeczny trwa, choć zmienia się jego oblicze. A wraz z nim nieubłaganie trwa jego deprawujące oddziaływanie na ludzkie serca i umysły. I tu tkwi najgłębsza szkodliwość komunizmu: niechby zewnętrzne więzy zostały nawet zerwane, to wyprowadzić poza ten system mieliby ludzie podlegający od dawna jego korumpującej presji. I cóż wytworzy z siebie społeczeństwo, w którym wszelkie tradycyjne wartości były systematycznie niszczone lub przywłaszczane w karykaturalnym kształcie? Dlatego tak wielka odpowiedzialność leży na polskiej myśli, bo jest jedyną integralną i niepodległą tradycją wewnątrz dzisiejszej orbity rosyjskiego maksymalizmu, dlatego zarazem tak dojmujący jest widok jej duchowej martwoty, czy — co gorsza — apostazji.

Wstrząs potrzebny dla stworzenia nowego ulepszonego despotyzmu osłabił chwilowo Imperium i pozwolił na powstanie niepodległej Polski. Rozpadnięcie się w ciągu roku wszystkich trzech rozbiorowych mocarstw, wysiłek części oświeconych warstw narodu, a przede wszystkim czyn zbrojny Piłsudskiego, te czynniki pozwoliły na stworzenie państwowości, która po niespełna roku istnienia była w stanie stawić czoła działającemu już militarnemu organizmowi Imperium. Rok 1920 przytwierdził rację istnienia Polski i jej rolę w europejskiej kulturze. Tam tkwi początek naszej współczesności, nasza dziejowa oryginalność, w zbrojnym wysiłku całego narodu, który walczył z idącą na Europę bolszewicką armią, osamotniony przez czeską i niemiecką blokadę.

Była to wojna nie tylko przeciw polskim planom przymierza z niepodległą Ukrainą, ani też nie wyłącznie przeciw państwowości polskiej, ale przeciw całej ówczesnej Europie. Bolszewicy chcieli za pomocą nowych haseł zrealizować odwieczne rosyjskie marzenie: przez trupa Polski wedrzeć się do serca Europy. W książce pod znamiennym tytułem *Pochód za Wisłę* zupełnie otwarcie mówił o tym Tuchaczewski:

„Walka zapowiadała się na śmierć i życie. Było zupełnie jasne, że nawet w razie całkowitego rozgromienia Polski 'panów', wojna klasowa nie mogłaby być przerwana i musiałaby stanowczo przelać się żywiołowo do krajów Europy Środkowej". „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdybyśmy byli zwyciężyli nad Wisłą, wówczas rewolucja ogarnęłaby płomieniem cały ląd europejski".

Tuchaczewski jest świadomy, że bez Czerwonej Armii „rewolucja" na Zachodzie nie ma szans, jest jednocześnie przekonany, że wystarczy, aby czerwonoarmiejcy wkroczyli do danego kraju i przynieśli ze sobą demagogiczne hasła maksymalizmu, aby stało się to zapłonem dla ludowego buntu, który zniszczyłby wszystkie zastane struktury społeczne, a wówczas wkroczyłby zapewne polityczno-policyjny aparat Imperium i nowa Republika zgłosiłaby dobrowolny akces do Związku Rad.

„Rewolucja z zewnątrz była możliwa, Europa kapitalistyczna była wstrząśnięta do głębi, i gdyby nie nasze błędy strategiczne, nasza przegrana na polu walki, to być może wojna polska stałaby się ogniwem, które by rewolucję październikową złączyło z rewolucją zachodnioeuropejską".

Najdotkliwszą w „polskiej wojnie" okazała się jednak całkowita klęska polityczna. Łudził się Tuchaczewski, łudzili się nieliczni polscy komuniści, że pozbawiony od ponad stu lat politycznego bytu naród polski łatwo przechwyci maksymalistyczne hasła godzące w młodą państwowość. Sądzili oni, „że wystarczy nam dojść do etnograficznych granic polski, aby rewolucja proletariatu w Polsce stała się nieuniknioną i zupełnie pewną". Pomyłka okazała się dotkliwa: premierem walczącej Polski był przywódca chłopski, Naczelnikiem Państwa i Wodzem — współtwórca ruchu socjalistycznego, a wojskiem — całe społeczeństwo.

„Osobiście prowadziłem wojnę nie o co innego — odpowiedział Tuchaczewskiemu Piłsudski — jak o to, aby ta rewolucja z zewnątrz przez sowieckie bagnety do nas przyniesiona nie była".

Był to też cel walki całego społeczeństwa. Dlatego w starszych klasach gimnazjalnych musiano przerywać naukę, bo całe klasy szły na ochotnika na front. Polacy pierwsi intuicyjnie zrozumieli kim naprawdę jest nowowyklute pisklęcie Pugaczowa. W roku 1920 dokonano rzeczy ważniejszej niż Odsiecz Wiedeńska; wysiłkiem całego narodu, mocą woli wcieloną w jednego człowieka, powstrzymano bolszewicki pochód za Wisłę. Józef Piłsudski opierał się wówczas nie tylko czerwonej armii, ale także najznakomitszym politykom europejskim, także niektórym mężom stanu w Polsce, nie rozumiejącym jak należy postępować. W tej samotnej postawie tkwi fascynująca siła legendy Piłsudskiego: kierował się interesami ważniejszymi niż czysta gra politycznych układów, wierzył, że w polskich oczach problemy Europy mogą znaleźć naprawdę ważkie i oryginalne rozwiązanie, bo czerpiące źródło w kulturalnej nośności idei Rzeczpospolitej. Dlatego obecnie tak aktualna jest legenda Piłsudskiego, należy zapomnieć oczywiste kalectwa rządów pomajowych, a ożywić samotną postać człowieka, który jeden stanął naprzeciw wielkiego odnowiciela Imperium, pierwszego cara bolszewickiej Rosji — Włodzimierza Lenina. A był w owym momencie wcieleniem najlepszych tradycji swojego narodu.

Za Piłsudskim nie stała myśl polityczna na jego miarę. Polska broniła europejskiego dziedzictwa a była krajem od ponad stu lat wyłączonym z tej kultury. Z chaosu może wyłonić się despotyzm, ale praworządny ustrój wymaga długiej politycznej tradycji. W 1920 roku obok zbrojnego wysiłku całego narodu powinienby się pojawić myślowy wysiłek twórczej elity. Czyn Piłsudskiego musiałby być powtórzony przez polskich pisarzy i myślicieli. Na przeciw doktrynalnej działalności Lenina powinna by się pojawić atrakcyjna myśl polska. W odpowiedzi na *Państwo i rewolucję* stworzyć należało *Państwo i praworządność*, w odpowiedzi na *Dziecięcą chorobę 'lewicowości' w komunizmie*. należało przedstawić opis pasożytniczej choroby bolszewizującego maksymalizmu w europejskiej kulturze. Jednakże większość polskich pisarzy zamknęła się w ciasnych ramach. Niektórzy udawali, że żyją w normalnym kraju, jakby w większej Danii, zapominając o coraz bardziej oczywistym zagrożeniu przez maksymalizm, najpierw tylko rosyjski, później także niemiecki. Inni w pocieszny sposób udawali paryżan, niepomni że nad Wisłą dzieją się obecnie rzeczy ważniejsze i straszniejsze niż nad Sekwaną. Co gorsza, jeszcze inni nie tylko nie potrafili stworzyć dzieła na miarę maksymalistycznego zagrożenia, ale ulegli fascynacji tą myślą. Despotyczny rozmach przy stawianiu zagadnień olśnił niektórych pisarzy polskich. Tak powstało agresywne wcielenie polskich Rosjan — olśnił ich rozmach literatury sławiącej zbrodnie. Tych ludzi gromił swym autorytetem Stefan Żeromski, on jeden

z pierwszych zrozumiał groźbę zniewolenia umysłów i wskazywał na jego prawdziwy kształt.

„Polsce zawsze śmierdział topór i pniak Iwana Groźnego — napominał w *Snobizmie i postępie*. — Tak samo dziś śmierdzą jej moskiewskie krwawe piwnice i moskiewskie poezje sławiące mordowanie".

Była też i inna wersja maksymalistów, która chciała przeszczepić na rodzimy grunt doświadczenia zagranicznych ruchów nacjonalistyczno-faszystowskich. Zapominali, że radykalnie nacjonalistyczna postawa jest sprzeczna z polską tradycją, z najistotniejszym przesłaniem kultury ojczystej, jest przeto w Polsce postawą antynarodową w najgłębszym sensie tego słowa. Przestrzegał przed tym zniewoleniem Marian Zdziechowski:

„Po mesjańskich marzeniach epoki romantycznej — cytuję z *W obliczu końca* — wchodzimy w okres 'polskiej narodowej dzikości': dzikość bolszewicko-komunistyczna i dzikość bolszewizująco-'narodowa'. Z dwojga złego to drugie, choć mniejsze, pozostaje mimo to obrzydliwszym".

Byli oczywiście i tacy, którzy widzieli zbliżające się nieuchronnie niebezpieczeństwo. Ostrzegał Żeromski, ostrzegał Kucharzewski czy Zdziechowski. Rozumiał Piłsudski, że udało mu się jedynie odsunąć groźbę, wstrzymać koło historii.

Wojna wybuchła we wrześniu 1939 roku w wyniku zakwestionowania prawa do istnienia Polski przez dwa maksymalistyczne mocarstwa. Skończyła się zwycięstwem zachodnich aliantów Polski, lecz wynikiem jej była nie restytucja granic Rzeczypospolitej, a przesunięcie stanu posiadania Imperium daleko na Zachód przez włączenie w jego orbitę terytoriów, w skład których wchodzą także ziemie byłej Rzeczpospolitej. Wynikiem tych przemian było — mówiąc ogólnie — przekreślenie powersalskiego układu sił w Europie Środkowo-Wschodniej, a co za tym idzie — likwidacja niepodległej państwowości polskiej. Myliłby się jednak ten, kto określiłby rok 1920 jako mechaniczne odroczenie upadku niepodległej Polski. Tamta zbawienna zwłoka spowodowała, że nie spotkał nas los Ukrainy czy Litwy, że inkorporacja nie mogła mieć miejsca. Po 25 latach komunistycznych rządów ich wpływy okazały się minimalne, całe pokolenie młodzieży okazało się prawie nietknięte tak przez bolszewizm państwowy, jak narodowy, jak i przez hasła odnowy „prawdziwego" komunizmu. Wszystko to było możliwe, bo 15 sierpnia 1920 roku, gdy w Białymstoku urzędował już rząd Radzieckiej Polski, wojska bolszewickie zostały odrzucone od Warszawy.

Jedynie polska inteligencja twórcza poddała się komunistycznym wpływom, nie spełniła spoczywającego na niej zadania. A właśnie literaturze i humanistyce nie wolno było zawierać żadnych kompromisów. Ci ludzie przystąpili najpierw, po dłuższych lub krótszych namysłach, do umacniania Socjalistycznej Ojczyzny, później zaś do różnego rodzaju błazeństw, w najlepszym razie żałosnych epigramatów, usprawiedliwień minionych flirtów z władzą. Najpierw radosna twórczość, później radosne przekomarzanie się, wszystko po to, aby uniknąć obowiązku rzetelnej pracy, aby uchylić się od podjęcia jedynie realnej problematyki. A tymczasem przed inteligencją polską stoją zadania i problemy o niespotykanej dotąd wadze. Musi odpowiedzieć na pytania, wobec których Zachód pozostaje najczęściej obojętny i bezradny. A jest do podjęcia tych kwestii zmuszona, bo na Zachodzie są one wynikiem intelektualnej ciekawości, tutaj zaś warunkiem dalszej egzystencji: w momencie utraty niepodległej i praworządnej państwowości podjęcie przez elitę analizy sytuacji jest konieczne dla zapewnienia przyszłego odrodzenia; wszelka inna działalność może zawierać polityczne kompromisy z rosyjskim maksymalizmem — jedynie polskiej myśli nie wolno jest tego czynić. W rzeczywistości zaś minione 25-lecie dało nam dowód daleko posuniętej bałkanizacji polskiej kultury: nie tylko nie potrafiono odeprzeć przedsięwziętego przez rosyjski maksymalizm duchowego „pochodu za Wisłę", ale nawet nie stworzono uczciwego obrazu własnego zniewolenia, który mógłby stanowić ostrzeżenie i pomoc na przyszłość. Pamiętna książka Miłosza była z pewnością wyrazem tylko połowicznego ozdrowienia, była dowodem głębokości i trwałości fascynacji maksymalizmem, bo demonizowała ludzi i doktrynę, których prawdziwa demoniczność polegała na płytkim i tchórzliwym usprawiedliwieniu własnej małości, podłości i zdrady — ale przecież *Zniewolony umysł* ze wszystkimi brakami jest j e d y n ą książką na najbardziej interesujący nas temat. Nie kalectwa tego dzieła są wstydliwe, przerażający jest fakt, że od tylu lat nikt nie dał na nie odpowiedzi. Za niepodjęcie obowiązków kara jest natychmiastowa, choć nie od razu widoczna: polska inteligencja została porażona jałowością myśli. Nie należy się łudzić pozornymi sukcesami na światowych rynkach: ich dzieła są martwe. Wiedział o tym Miłosz. Przestrzegał:

„Zamiast ręki, którą gorąca krew płynie od serca do palców — dano by mi protezę dialektyki. Wiedząc, że w człowieku jest światło, nigdy nie mógłbym po to światło sięgnąć, bo światło to nie jest, jak wierzę, równoznaczne ze świadomością socjalistyczną i przebywa również w głupcach, zakonnikach, chłopach. Wiedząc, że w człowieku jest zbrodnia, nie mógłbym wskazać jej palcem, bo, jak wierzy mój przyjaciel, jest ona dziełem historii, a nie ludzi. Zamilczmy, nie umiejąc zapomnieć, o zbrodniach minionych, o setkach tysięcy deportowanych Polaków w roku 1940-1941, o tych, których zastrzelono czy zatopiono w barkach na Oceanie Lodowatym. Trzeba uczyć się wybaczać. Idzie mi o zbrodnie, które są i które będą. I zawsze w imię nowego wspaniałego człowieka i zawsze wśród dźwięku orkiestr, wśród pieśni, krzyku megafonów i deklamacji optymistycznych poematów".

Przestrzegał Miłosz jeszcze wyraźniej:

„Oczy, które widziały, nie powinny być zamknięte, ręce, które dotknęły, nie powinny zapominać — kiedy trzymają pióro".

Oczy polskie nie widziały, bo z tchórzostwa, tępoty i małości zamknęły się na polskie sprawy, bo kurczowo usiłowały ratować

nie własne życie, nic im bowiem naprawdę nie groziło, ale sytuację w dworskiej hierarchii. Ręce, które dotknęły, usiłowały o tym zapomnieć, zwłaszcza gdy trzymały pióro. Toteż spływają z tych piór słowa, które trafiają w pustkę. Nikogo nie obchodzą, nikt o nich nie pamięta — a strojący się w wieszcze szaty pisarze próbują jak najszybciej zapomnieć o poprzednich utworach, o chwili, gdy ręce ich najmocniej dotknęły — bo dusiły polskie słowo.

Przerażająca ślepota trwa nadal. Pojawiają się nawet próby odnowienia maksymalistycznych miraży: jedni usiłują z polityczno-policyjnej perspektywy spojrzeć na „kryzys w literaturze polskiej" (w ten sposób denuncjują wątłe głosiki bezradnego buntu przeciw policyjnej wizji ujednoliconej jałowości w sferze myśli), inni zaś w idealistyczną szatę próbują przybrać marzenia o maksymalistycznym raju, mówią o „regresie w literaturze polskiej". Moralizująco narzekają, że Polska odstąpiła od uniwersalnych problemów, od prawdziwie głębokiego nurtu europejskiej myśli. Miało się to stać w roku 1918, gdy poddano się ułudzie zgodnej Polski, gdy oddalono się od istotnych i prawdziwie cennych zagadnień, jakie odsłoniła naszemu krajowi rewolucja 1905 roku. Wówczas powiał nad Polską prawdziwie wielki duch — możemy dodać od siebie, że to duch rosyjskiego maksymalizmu tak zachwyca podobnie myślących ludzi. Opowiedzieć się za rokiem 1905, nie 1918 — to naprawdę opowiedzieć się za rokiem 1917, nie 1920, opowiedzieć się za terrorem bolszewickiego maksymalizmu, nie za niepodległą Polską. Kto dziś wzywa do powrotu do roku 1905 czy 1917, kto mówi, że trzeba odrodzić prawdziwego ducha rewolucji, który źli biurokraci zagubili i zdradzili, ten z punktu widzenia politycznego jest chwilowo utopistą, bo nie stoją za nim żadne realne siły, niech jednak znów wytworzy się sytuacja kryzysowa, niech znów motłoch zostanie rzucony, aby stworzyć nowy despotyzm, wówczas słowa utopistów nabiorą krwawej realności; w każdym jednak wypadku są to poglądy dla polskiej myśli szkodliwe, bo są opowiedzeniem się po stronie rosyjskiego maksymalizmu, wezwaniem do zamknięcia oczu na polskie obowiązki.

A przecież to nie komunistycznym zarządcom a niewiernym własnemu powołaniu przeszłym, obecnym i przyszłym pisarzom polskim zostanie wystawiony najstraszniejszy rachunek. Kto dar talentu i myśli zmarnował, kto wchodził w duchowe układy z wrogiem, kto nie spełnił podstawowego obowiązku, temu śnić się będą po nocach słowa, które skierował Żeromski do ciągnących za czerwoną armią Marchlewskich, Dzierżyńskich, Konów, a które dziś czy jutro skierować może „młode narodu pokolenie" do wiarołomnych pisarzy polskich za to, że przez swą postawę sprowadzili na ziemię ojczystej literatury jej odwiecznego wroga — maksymalistyczny nihilizm:

„Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego sprowadził, zdeptał ją, stratował, splądrował, spalił, złupił rękoma cudzoziemskiego żołdactwa, ten się wyzuł z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem, ni miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla tych ludzi już ani tyle miejsca, ile zajmą stopy człowieka, ani tyle, ile zajmie mogiła. Złoty róg Polski trzyma w ręku z przepotężnej swej siły młode narodu pokolenie. I zadmie weń lada dzień, lada godzina pobudkę nową, nową pieśń życia, od której rozradują się kości pradziadów, dziadów i ojców, rozraduje się młoda krew, co z tej burzy sierpniowej spłynęła w biedną polską ziemię".

Dziś sytuacja wygląda tragiczniej niż w chwili, gdy Żeromski pisał tamte słowa. Dlatego tym gwałtowniej trzeba wskazywać na najgłębszą społeczną szkodliwość umysłowej drzemki, w jakiej tkwią polscy humaniści. Refleksja nad duchową istotą i społecznymi wcieleniami maksymalizmu pokazuje prawdziwy kształt rodzimego zniewolenia umysłów. Przetoczy się wówczas przed nami korowód polskich Rosjan w przeróżnych przebraniach: rządowo-policyjnych, nihilistyczno-przyziemnych, czy utopijnie-buntowniczych. W każdym wypadku tak myślący pisarze dobrowolnie sprzeniewierzyli się powierzonemu obowiązkowi — dlatego trzeba o nim przypominać: te wywody miały na celu nie tylko zgodnie z uchwałami IV plenum uczcić 100-lecie urodzin Włodzimierza Lenina, nie tylko także ukazać związek tej daty z 50-tą rocznicą Cudu nad Wisłą, ale zarazem skłonić polskich humanistów, aby wzorem wybitnych poprzedników podjęli przypisane im obowiązki — bo czymżesz będą się mogli tłumaczyć, gdy przyjdzie zdać rachunki?

„Kiedy świat wyjdzie z kataklizmu zwanego Sowietami..." — tak zaczął niegdyś Kazimierz Wierzyński szkic o Borysie Pasternaku. Nie wiemy, czy w historycznie przewidywalnym terminie nastąpi wyzwolenie z tej maksymalistycznej organizacji społeczeństwa, ani też nie wiemy, jeżeli system runie, czy pozbawione wszelkich organicznych więzi społecznych Imperium nie pogrąży się w ogromnym morzu krwi — w każdym razie jest naszym obowiązkiem patrzeć na rosyjskie zjawisko z punktu widzenia polskich wartości, zastanawiać się nad jego kształtami, w miarę możliwości wpływać na korzystną ewolucję, a w każdym wypadku próbować ochronić rodzime wartości przed niszczącym działaniem tego systemu. Kierowani przy tym prostym przeświadczeniem, które niegdyś umierającemu Mochnackiemu kazało kończyć polityczny wywód ostatecznym argumentem: „bo przecież kiedyś jakaś Polska musi być". Wspierani tym przekonaniem musimy robić to, co jest w naszej mocy, a czego nikt za nas nie uczyni: musimy patrzeć jak nasz los rysuje się w polskich oczach.

Tomasz STALIŃSKI

Szkic Tomasza Stalińskiego porusza jeden z najważniejszych problemów, stojących przed nami. Nie zgadzając się ze wszystkimi tezami autora będziemy wracali do tej sprawy w najbliższej przyszłości. Redakcja.

Rione Terra

„W lipcu 1883 roku znajdowałem się od kilku dni z ojcem, matką i siostrą Marią w Casamicciola (Ischia), w pensjonacie *Villa Verde* w górnej części miasteczka, gdy wieczorem 29 miało miejsce straszne trzęsienie ziemi. Pamiętam, że tuż po kolacji siedzieliśmy w pokoju wychodzącym na taras: ojciec pisał list, ja czytałem naprzeciw niego, matka i siostra rozmawiały szeptem w kącie; nagle rozległ się przeciągły i ponury huk, i w tej samej chwili zwaliły się na nas mury budynku. Ujrzałem w okamgnieniu ojca zrywającego się z krzesła i siostrę rzucającą się w objęcia matki. Je wyskoczyłem instynktownie na taras, który otworzył mi się pod nogami, i straciłem przytomność. Ocknąłem się późną nocą zagrzebany po szyję, nad moją głową migotały gwiazdy, dokoła widziałem tylko żółtawą ziemię, nie mogłem pojąć co się stało, zdawało mi się że śnię. Po jakimś czasie zrozumiałem i ogarnął mnie spokój, jak bywa w wielkich nieszczęściach. Wzywałem pomocy dla siebie i dla ojca, którego głos słyszałem niezbyt daleko; mimo gwałtownych wysiłków, nie zdołałem się wydobyć o własnych siłach. Nad ranem odkopali mnie, jeśli dobrze pamiętam, dwaj żołnierze i ułożyli na noszach pod gołym niebem... Ojca, matkę i siostrę odnaleziono w parę dni potem martwych pod gruzami: siostrę w objęciach matki".

Jest to fragment z wydanego w niewielkiej ilości egzemplarzy tomiku Crocego *Memorie della mia vita*. W roku tragedii w Casamicciola przyszły filozof neapolitański miał szesnaście lat, przeżył ją ze złamaną prawą ręką i zmiażdżoną kością udową, obrażeniami których późniejszy ślad bliski był częściowego niedowładu. O obrażeniach psychicznych, nawet po utracie całej prawie rodziny (ocalał nieobecny na letnisku brat), nie zwykło się mówić żyjąc w wulkanicznym od wieków rejonie i chodząc po tak niepewnej

skorupie ziemskiej, wpatrując się codziennie w stożek Wezuwiusza i ocierając się wciąż o Pompei, o Herkulanum, o dymiące *fumarole* Solfatary pod Pozzuoli. Istnieje w tych stronach coś w rodzaju atawizmu klęsk żywiołowych. Pierwsze kroki we Włoszech stawiałem w roku 1944 przy blasku erupcji Wezuwiusza, w deszczu popiołu i pod pociemniałym złowróżbnie niebem; nigdy nie zapomnę skamieniałych w wyrazie rezygnacji i nawyku twarzy mieszkańców wiosek, które uznano za zagrożone strumieniem lawy i pośpiesznie ewakuowano. Kto się tu urodził lub zdecydował osiedlić, musi mieć wrodzone czy nabyte poczucie kruchości i ziemi i życia ludzkiego.

Ale w swoim krótkim opisie trzęsienia ziemi na Ischii Croce pomija szczegóły, znane z innych relacji. Tubylcy przeczuwali czające się niebezpieczeństwo, nie mówili o nim w nadziei że w ostatniej chwili się cofnie, i żeby w pełni sezonu nie spłoszyć letników i turystów. Mimo pięknej słonecznej pogody, morze było od paru dni groźnie wzburzone i z dala od brzegu, kotłując się jak wrzątek, wyrzucało co pewien czas na powierzchnię ławice martwych ryb. To jest omen najbardziej nieomylny: ugotowane żywcem w gorących głębinach ryby, który po wypłynięciu spieniona fala niesie niby powłokę białych liści różnych form i formatów.

Tak było i tym razem, na początku marca, w Pozzuoli; a przynajmniej wydawało się, że tak było. Wulkanologia uważa się sama za wiedzę nie zanadto ścisłą, sama podaje swoje hipotezy i przewidywania *cum grano salis,* sprowadzając często — oczywiście wbrew własnym intencjom, lecz siłą rzeczy w oczach zainteresowanej bezpośrednio ludności — praktyczną wartość pomiarów i diagnoz do obrządku wróżenia z wulkanicznych fusów. Dopóki groźbę wiszącą nad Pozzuoli wyceniały z dnia na dzień ze zmiennym humorem igły obserwatorów wulkanologicznych, mieszkańcy sześćdziesięciotysiącznego miasta nie byli skorzy do masowego *exodusu*. Szalę przeważył rybak. Któregoś dnia o świcie, dobiwszy do brzegu z nocnego połowu, nie zadbał nawet o przymocowanie łodzi i ruszył pędem przed siebie w stronę zamkniętego jeszcze *Municipio*. Po drodze budził śpiących krzykiem, archekrzykiem o archeznaku: sieć z jego zaciągu okazała się pełna martwych ryb. Dopiero wtedy zaczęło się pakowanie dobytku. Dokładnie połowa mieszkańców (trzydzieści tysięcy ludzi) opuściła Pozzuoli. Z tego dwadzieścia pięć tysięcy dobrowolnie, a pięć tysięcy przymusowo. Ewakuacja przymusowa dotyczyła Dzielnicy Ziemia — *Rione Terra,* — aglomeratu najstarszych domów położonego na wzgórzu, na najbardziej w morze wysuniętej ostrodze półwyspu. *Rione Terra* wygląda na dystans jak ogromna kamienna masa gniazd jaskółczych, przylepionych ciasno jedno obok drugiego do skały. Tutaj zauważono rysy od dołu do góry w niektórych fasa-

dach, tutaj wstrząs sejsmiczny silniejszy nieco niż notowane tylko przez czułe sejsmografy zamieniłby w kilka minut siedzibę pięciu tysięcy osób (głównie rybaków i ich rodzin) w grobowiec w kształcie kopca usypanego z gruzów. Zagrodzono zaułki wlotowe i wylotowe, zabito deskami okna, w opustoszałych murach pozostawiono jedynie trochę bezpańskich kotów i patrol policji na straży rzeczy, których nie zdążyły unieść ręce ewakuowanych.

Położone w odległości około piętnastu kilometrów od Neapolu (w kierunku na Rzym drogą Domiziana), Pozzuoli jest w wulkanicznym rejonie zatoki neapolitańskiej strefą tak wrażliwą i potencjalnie czynną, że prócz portu dla statków przewożących samochody na Ischię, miejsca dekapitacji Świętego Januarego (ze śladami krwi na kamieniu) i miejsca urodzenia Sofii Loren (bez żadnych szczególnych śladów), turystów przyciągały tu zawsze dwie osobliwości: dymiące i bulgoczące „paszcze" Solfatary, oraz *Monte Nuovo*, góra wypchnięta czy raczej wypluta w ciągu jednej nocy trzęsienia ziemi w roku 1538, dziś zarośnięta zielonymi piniami na brzegu swego wygasłego krateru. Fenomen nagminny w Pozzuoli i okolicach nosi po włosku nazwę *bradisismo*, od greckich słów *bradis* (powolny) i *sejsmos* (wstrząs). Polski odpowiednik brzmiałby zapewne bradisejsmizm, a samo zjawisko polega na powolnym wznoszeniu się i opadaniu skorupy ziemskiej. Według jednej szkoły wulkanologów chodzi o działanie napierających i ustępujących na przemian gazów podziemnych, druga głosi że odpowiedzialne jest rozpychające się na wszystkie strony ognisko magmy pod Wezuwiuszem. Tak czy owak węzłem newralgicznym procesu jest Pozzouoli jako obszar wyjątkowo „plastyczny", chociaż w wypadku słuszności drugiej teorii gwałtowna reaktywizacja wulkaniczna nie mogłaby po drodze do Pozzuoli ominąć zbudowanego na tufowej gąbce Neapolu. W zasadzie bradisejsmizm nie daje powodów do przesadnego niepokoju, jeśli ruch skorupy ziemskiej odbywa się istotnie powoli i równomiernie. Natomiast jego zakłócenia bądź przyśpieszenia zwiastują możliwość kataklizmu. W Pozzuoli zarejestrowano przyśpieszenie i to niezwykłe. Termometrem wulkanologicznym miasta jest od zamierzchłych czasów Serapeo, świątynia Serapidy zbudowana poniżej poziomu morza w II wieku przed Chrystusem. Zapis bradisejsmiczny odczytuje się na zalanych u podstaw wodą kolumnach. W przeciągu dwunastu stuleci, do X wieku po Chrystusie, skorupa ziemska w sumie podniosła się o sześć metrów i opadła o tyleż, co dawało metr bradisejsmizmu na stulecie. Ostatnie miesiące zapisały na wynurzonych z wody kolumnach Serapeo też metr ruchu wzwyż. Jasne że co innego metr na stulecie, a co innego metr na parę miesięcy. Stąd alarm wśród wulkanologów. Ale gdyby nie podsycił go alarm rybaka, mieszkańcy Pozzuoli zachowaliby swoją atawistyczną obojętność na unoszącej się w górę pod ich stopami ziemi.

Jak sprawa przedstawia się w miesiąc później? Znajduję w Pozzuoli osobliwą sytuację psychologiczną — „trzęsienia ziemi którego nie było". Rzecz nie w tym nawet, że większość ewakuowanych wróciła (wyjąwszy zamurowaną Dzielnicę Ziemia), że dwa słynne rynki miejskie: rybny i jarzynowo-owocowy prosperują w najlepsze, że tłumno jak zawsze na ulicach i w barach, że odżył znowu port w którym widać robotników wyrąbujących w kamieniu podwyższonego o metr mola wnęki dla pomostów okrętowych. Symptomatyczna jest, w rozmowach, nuta pretensji i podejrzliwości: właśnie „urządzono nam tu trzęsienie ziemi którego nie było?". Kto urządził? Wzruszenie ramion i znaczące przymrużenie oka. Sekret wyjaśnia się do pewnego stopnia, gdy młody rybak zamieszkały przed przymusową ewakuacją z żoną i dwojgiem dzieci w *Rione Terra* godzi się mnie tam zaprowadzić potajemnym przełazem.

Pusto jest w *Rione Terra,* tylko w *Vescovado* został na posterunku duchowego opiekuna nieobecnych, i sam pod opieką niebios, biskup w asyście małej gromadki księży i zakonnic. Na bruku zaułków tłuczone szkło szyb, w opróżnionych mieszkaniach niedodarte ze ścian tapety i pogięte żelastwo zbytecznych przedmiotów w kątach, co krok koty skulone bojaźliwie w załomach murów. Mój przewodnik, może dlatego że policja przemocą musiała go wyciągać ze starego domu rodzinnego w Dzielnicy Ziemia, jest uosobieniem powszechnego w Pozzuoli sceptycyzmu. *Ma che terremoto, ma che terremoto* — powtarza ciągle, — jakie tam trzęsienie ziemi... A ta pęknięta fasada, przed którą stoimy? Uderzyła w nią kiedyś z całej siły ciężarówka w czasie manewru. A ten rybak z siecią pełną martwych ryb? Zełgał psubrat, przekupili go, trzy doby trzymał daleko od brzegu pod wodą swoją sieć więc jak miały w jej okach nie wyzdychać wszystkie ryby, skuliśmy mu za to mordę. Kto go przekupił? Trudno powiedzieć kto, ale to fakt że wałęsają się tu teraz jacyś faceci oferując dobre ceny za domy w Dzielnicy Ziemia. Po co im domy na zagrożonym gruncie? Otóż to, po co? Nigdy dotąd nie udało się wyburzyć *Rione Terra,* a jakaż gratka dla spekulantów budowlanych, jeden z najpiękniejszych widoków nad zatoką! Może zatem (przymrużenie oka) nie taki znów zagrożony ten grunt, po trzęsieniu ziemi którego nie było...

Należy naturalnie odnosić się co najmniej sceptycznie do sceptycyzmu Pozzuoli po „trzęsieniu ziemi którego nie było", gdybym jednak był reżyserem nakręciłbym tu film *Terremoto all'italiana,* wzorowany na świetnym filmie Germiego *Divorzio all'italiana.* Na gruzach wyburzonej wreszcie Dzielnicy Ziemia powstaje wspaniały

hotel panoramiczny *Albergo Monte Nuovo,* w jakiś czas potem zaostrza się zjawisko bradisejsmizmu, ekipa wulkanologów bije w wielki dzwon alarmowy, ryby gotują się w zatoce jak w wielkim rondlu, w fasadach starych domów pojawiają się liczne rysy, nikt już obecnie nauczony doświadczeniem nie zwraca na to uwagi, którejś upalnej nocy letniej Pozzuoli zapada się pod ziemię ze swoim biskupem w *Vescovado* i ze swoim arcydziełem panoramicznej architektury hotelarskiej w *Rione Terra.* Byłaby to nowoczesna wersja bajki o pastuszku i wilku, dla wtajemniczonych i co bystrzejszych widzów nie pozbawiona aluzji do włoskiego życia politycznego.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

3 kwietnia 1970

Byłe wychowanki S.S. Niepokalanek, oraz Jazłowiacy ze wszystkich kontynentów są serdecznie wezwani o nawiązanie kontaktu z „Kołem Jazłowieckim" w Montrealu.

Adres: J. Jełowicka
4119 Decarie, apt. 15
Montreal 260, p. Que.
Canada.

Baskijski diabeł

Powie ktoś: coś się tu autorowi poplątało. Przecież Salomea Wiśniowiecka, ihumena Panien Benedyktynek Przemyskich, sam autor to już napisał, zmarła jeszcze w 1716 roku, więc gdzież tu znowu? A tu nagle, ni stąd ni zowąd, wydziwia że ustrzeliła go z przeciwpancernej rusznicy, porzuconej gdzieś u wstępu drugiej wojny światowej. Jeszcze by brakowało żeby kazał Pannie Ksieni i płeć zmienić, kiedy już tak mu się wszystko pomieszało.

A bo naprawdę ustrzeliła mnie z przeciwpancernej rusznicy. Był taki wynalazek, patent pono podpatrzony u Szwajcarów, kb ppanc wzór 35, o dwumetrowej lufie, zamek ryglowany systemem Mausera, broń niepowtarzalna, bo gdzie tu, nabój jak szparag o zdolności przebijania pociskiem dwudziestopięciomilimetrowego pancerza, straszliwie kopie i po jednym wystrzale w uszach dzwoni przez parę dni. Broń będąca najskrytszą tajemnicą wojskową, pod przysięgą przechowywana w magazynach mob w zaplombowanych skrzyniach. Strzelców wyborowych w pułkach szkoliło się po kryjomu, pod ślubowaniem, za specjalnym ustnym tylko rozkazem i wyszkolenie to nie było dostateczne kiedy broń tę wydano dopiero w chwili mobilizacji, trzy przeciwpancerne rusznice na kompanię piechoty. Taki jeden z tych cudów wojskowych, broń cudowna i ostateczna, mająca zapewnić przewagę i zwycięstwo.

Bo naprawdę Panna Ksieni ubiła mnie z tej właśnie rusznicy, i był to bodaj że jedyny pożytek jaki na tej wojnie broń ta przyniosła. O, mogę państwu pokazać, o tu, blizna, ślad po kuli. Tyle że historia ta miała pseudokomiczne zakończenie. Otóż po klęsce, uciekinierzy i internowani tak przechwalali się, a zwłaszcza przed Anglikami, wspaniałymi osiągnięciami tej tajemniczej a doniosłej broni-wynalazku, że jakiś tam attaché wojskowy dał się nabrać i ustanowił premię, patriotyczną premię na zdobycie i przy-

wiezienie, przeszmuglowanie z jakiegoś pobojowiska tej rusznicy. Bo jakoś żaden egzemplarz w żaden jakiś sposób nie zawędrował na Węgry gdzie rozbrajano oddziały przechodzące przez Pantyr Pass. I tu zrobiła się heca. Ambicja! To ja! Ja pierwszy! I poszli przez granicę, już w śnieg i przez góry, odmrażając sobie palce u nóg, i szukali, bojąc się nie tyle Gestapo, czy NKWD, czy łapsów Sigurancy czy Abwehry ale kolegów z konkurencyjnej paczki.

Mnie samego natomiast prześladowali po większej części ci w uniformach, zawsze chodzący w dwójce, torby, karabinki na pasie, parami. Na Węgrzech, dla kogucich piór noszonych u kapelusza nazywało się ich „bażantami", w Turynie takich dwu doprowadziło mnie dla indagacji do budynku, na którym wypisane było: *Carabinieri Reali.* W Paryżu wpadłem w łapy dwu żandarmów na Gare d'Orléans, gdzie mnie wyłuskali z tłumu *permissionaires* i odstawili do koszar Bessières, w których nad bramą powitał mnie napis: *Navarre sans peur!* Ale o tym, o Navarze będzie później. (Powinno być tam jeszcze wypisane, jak podobno stoi to zawsze na koszarach w Chinach: Bójcie się, tu mieszkają żołnierze!).

Jak mnie wzięli już tak na oko to ledwie zziajany mogłem im się wymknąć. Już z daleka poznawali moją sylwetkę, podejrzane buty wojskowe z wypuszczonymi na ich cholewy nogawkami cywilnych spodni i w cudzej, ciasnej pod pachami marynarce.

Jak mnie wzięli już tak na oko, zawsze we dwu, zawsze parami, za każdym rogiem ulicy albo obstawiają już jakieś bistro: *„Identité?"* to ani nie popasałem w cieniu platanów Tuluzy, ani też, gdzie tam, miałbym czas na oglądanie murów i baszt Carcassonne, bo miałem ich wszędzie na piętach.

Zapędziłem się aż po Bayonne, ale spóźniłem się. Tłumy uciekinierów, to przenocowałem w jakimś pomieszczeniu przy jakimś boisku sportowym, które w dzień okazało się stajnią dla byków, bo miejsce to było areną do ich walk. A rano, raniusieńko wpadłem już nie na parę ale na cały batalion, hełmy, mauzery, pistolety maszynowe Schmeissery wpoprzek przez pierś, u pasa granaty ręczne. Zakurzeni zdobywcy, już są tu, wcale nie jakieś *Panzers* ale na rowerach, cały ich batalion, *Radfahrerbataillon,* pompki i wentyle rowerowe już tu ich przyniosły, aż tu dojechali, taki *Tour de France.* No to ja chodu, gdzie? W góry.

Autostopem, podebrany przez kogoś, w rozklekotanym Citroënie, wciąż w górę i w górę, wzdłuż szumiącej po kamieniach Bidassoa, takiej tamtejszej Czeczwy. Ale u szlabanu *douane* po drugiej stronie stała już jednak znajoma para, tym razem w pelerynach, lakierowane, czarne stosowane kapelusze z podpinką pod brodą, karabiny na pasie, twardo, nieprzychylnie-pytająco-wyczekująco patrzą na mnie: *Guardia Civil.* No to ja z powrotem, ale po paru kilometrach znów para żandarmska, Castor i Pollux, tym razem w skórzanych kurtkach, hełmy motocyklowe, pasy, karabiny, już ustawiają motocykle na podpórce i do mnie ze stereotypowym: *„Vos papiers? M'sieu?"* Znalazłem się jak szczur w pułapce.

Działo się to w górach, ale nie w górach jakie znałem tylko obcych, o których nic mi nie było wiadomo, tak obcych że nawet o nich nigdzie nie czytałem ani mi nikt nie opowiadał. Oczywiście wszelkie góry są do siebie jakby podobne, tchną taką samą surowizną i tak samo nas zaskakują nagle otwierającymi się perspektywami dolin, stoków, takie same garby podnoszą się i podnoszą, jakieś „Płeczi" czy Maryszeska czy jak szło się na Sywulę, widać jak zwarty las na garbie zaczyna rzednąć, robi się tam przestronniej, świerki rozsypują się tyralierą, już stoją pojedynczo, smagane wiatrem ich „chorągiewki", szarpane wiatrem w jedną stronę, po czym geofizycy poznają którędy to wieją tu stałe wiatry, wyglądają jak chorągiewki na mapie, znaczące pochód wojsk nieprzyjacielskich. Tak samo w Gorganach, tak samo w Alpach Savoie czy szkockich Cairngorm.

Nie znałem tych tu gór i nie chciałem ich znać, czułem do nich rankor i już. A przyszło mi dobrze posiedzieć, w tej Dolinie Bez Wyjścia. Leżała gdzieś między departamentem Garonny i Navarrą, odcięta od świata, jakiś zabytek z zamierzchłych czasów, rzeczpospolita z własnym parlamentem a jakże, a że takie ambitne kraje nazywają je po swojemu, Lietuva z Tarybą, Irlandia ma dla swych dwu Izb miano *Oireachtas,* w Hiszpanii jak to nazywa się? *Cortezy,* a w Izraelu *Knesset,* to tutaj po baskijsku nazywał się ten parlament *Batzar.* Rzeczpospolita rządziła się sama ale jurysdykcję miał tu z jednej strony prefekt departamentu Garonny a z drugiej Biskup z Urgel. Autochtoni żyją z hodowli owiec, turystyki i przemytu, mrukliwi górale w ich wywróconym na wierzch runem kożuchu, z czarnym beretem nasuniętym na brwi, z wielkim parasolem chroniącym przed tygodniowymi słotami-deszczami górskimi.

Z okna mego pokoju w hoteliku, w którym znalazłem schronienie mogłem ich widzieć grających w pelotę, kiedy wielkim szponem zakładanym zamiast rękawicy na dłoń miotali piłki o ślepą ścianę absydy kościoła wznoszącego swe mury przy tym samym placyku miejskim. Mój gospodarz, właściciel hotelu, który był także syndykiem parlamentu, a także zdaje się dygnitarzem syndykatu przemytników tutejszych, tolerował mnie przyjaźnie, pewnie z sentymentu dla jedynego w owych czasach turysty w rzeczypospolitej.

Przepraszam że opowiem tu historię jedną z tysięcy innych

takich jakich nasłuchałem się w tychże czasach, jedną z tysięcy perypetii, wędrówek, naszych anabazis. A do tego będzie to przede wszystkim historia nudy.

Bo proszę, cóż tu do opowiadania. Przyszła jesień i wiatry, ten sam ogieniaszek trzeszczy na palenisku kiedy schodzę co rana na śniadanie, ten sam kieliszek cienkusza kiedy się czeka na *déjeuner,* ta sama jedyna płyta gramofonowa skrzypi porysowana:

„Voulez-vous que je sois, madame, vôtre amant...”

Te same złowrogie garby, szczyty zaśnieżone i urwiska gór piętrzących się wokół Doliny Bez Wyjścia, ich nazw tamtejszych nigdy nawet nie nauczyłem się wymawiać czy poznać, a i tak z jesienią zakrywał je parawan pędzonych wiatrami chmur. Do czytania jakiś stary, sprzed tygodni numer *L'Éclaireur du Midi.* Nie nasuwałem się ludziom na oczy, po co, jeszcze mnie kto zadenuncjuje i albo wydadzą mnie Biskupowi z Urgel, inkwizycja, *strappado, garrotte,* albo odstawią do prefektury departamentu Garonny, i tu znowu *juge d'instruction* i już za uszy ciągną mnie pod, co to u nich? nóż gilotyny. To już lepiej uszy po sobie i sza. Nie ma to jak nasza własna wyobraźnia żeby napędzić nam stracha.

Przed grozą tych gór, przed piętrzącymi się poza nimi niebezpieczeństwami uciekałem we wspomnienia, tam gdzie było tak swojsko, a przede wszystkim płasko.

.....

Do naszego tak zwanego Tamtego Ogrodu przylegało wielkie płaskie pole dworskie. Raz kiedyś w myśl gospodarki płodozmianowej zasiano je grochem, a że to niezwyczajnie w tamtych stronach by poza ogrodami groch zasiać na tak olbrzymim płaskim łanie to od owego płodozmianowego roku nosiło ono już na zawsze nazwę Grochowiska. Pamiętam nawet jak po zbiorze tego grochu pastuchy tamtejsze mogły nazbierać jeszcze wiele jego wysianych strąków i przy ognisku pastuszym na kawałku błachy przypiekali sobie te ziarna grochu.

Ale pole to przechodziło także wiele innych zmian i przy swej pustce i przestrzenności pozwalało dziać się na nim ustawicznie różnym sprawom. Albo przecinały je okopy przeznaczone dla ćwiczeń piechoty, ośrodka wyszkoleniowego wojsk rosyjskich w czasie pierwszej wojny, który zwał się Uczebna Komanda. Okopy były bardzo solidnie wyrobione, nie ryte na prędce, jak to już w pierwszych tygodniach tej wojny zaczęto robić, kiedy to od razu, pod ogniem karabinów maszynowych uczyniła się tak zwana „pustka pól bitewnych”, miały plecenia faszyny z chrustu, poprzecznice, zygzakowate rowy dobiegowe i przedpiersia fachowo jak należy kamuflowane kładzionymi na nich badylami ostów. Nigdy tu bitew nie było i okopy te zostały tak jak je wykopano,

tyle że parapety rowów strzeleckich zaczynały zasypywać się same, a także służyły za cmentarz dla padłych sztuk inwentarza, ścierwa końskiego.

Potem ukośnie przez Grochowisko poprowadzono drogę, skrót transportowy dla trenów wojskowych, i pozwalało to omijać miasteczko. Do wykonania tej drogi okupanci spędzili przymusowo ludzi ze wsi, wytyczyli jej profil i kazali kopać i w czasie suszy droga ta była nawet twarda i solidna, ale nie daj Boże gdy spadły deszcze. Dla jej przeprowadzenia spędzili cierpliwą tamtejszą ludność, nagle, do bezpłatnej przymusowej roboty, i ludzie ci zginali nad nią grzbiety i robili łopatami, wzwyczajeni od setek lat, od pokoleń że ktoś przychodził, stał nad nimi, poganiał puhą, batem, kijem, pałką, nahajem i uważał by przykładali się do tej roboty, a pomimo tego wszystkiego była w tych ludziach jakaś godność której żadna przemoc nie odbierze.

Aha, jeszcze w pobok Grochowiska biegła w wyrwie, inna, stara polna droga, wyrobiona kołami wozów w wąwozik, jego urwiska zarosłe burzanami, i tam wielokrotnie z Nietotą braliśmy ten wąwóz Samosierra, w galopie, cwałując z Kozietulskim na czele czwórek szwoleżerów, aż kurz podnosił się spod naszych bosych stóp i ścinaliśmy szablami głowy ostów tam rosnących, hiszpańskiej piechoty broniącej wstępu przez wąwóz w Górach Guadarrama, wiodący na kopyczyniecki cmentarz. Jedyna tu rozegrana prawdziwa bitwa.

Tamże na tym Grochowisku ustawiono o jakimś czasie dwa działa przeciwlotnicze i kiedy pojawił się wysoko, wysoko na niebie, prawie nieruchomy na tej wysokości punkcik Taube czy Fokkera to „zenitówki” jak to się wtedy nazywało, skierowane prostopadle prosto w zenit odzywały się, jedna po drugiej, i wysoko, wysoko ubierały krzyżyk samolotu w girlandę z kłaczków szrapneli, raz na tle błękitnego nieba białych, innym razem na tle białej chmury śniadych.

I tam także pewnego czasu wybrano miejsce na ubój bydła jakiegoś polowego szlachtuza wojskowego. I tam także z Nietotą byłem świadkiem straszliwej śmierci wołu. Uczestniczyłem tam w obrządku, *misterium taurobolium,* krwawej ofierze, jakby wprowadzany, wtajemniczany w misterium Mitry. Któż to byli ci kapłani namaszczeni do tej ofiarnej funkcji? Dokąd ich widzę, w rozchełstanej rubaszce, z furażką przekrzywioną na głowie, samych przestraszonych dokonywanym przez siebie mordem, sołdatów z tego wojennego szlachtuza, kiedy uwieszeni u rogów, zapierający się butami w ziemię naciągali powróz mający powstrzymać rozszalałe zwierzę, niewprawni rzeźnicy z morderczym błyskiem oczu. Źle ogłuszony obuchem topora potężny, siwy wół podolski poderwał się z klęczek i z gardłem rozerżniętym, wlokąc

uczepionych powrozów ludzi wyrwał się, rozstrącił ich olbrzymią lirą rogów i runął przed siebie, wydzierający się okrutnej i przerażającej śmierci, nie chcący się jej dać. I odtąd na zawsze będę pamiętał z dzieciństwa strach przed śmiercią, panikę przed nieznanym, przed czymś co jest przed nami zakryte, czemu przecież idziemy od urodzenia na spotkanie, jedyny, pewny, nieunikniony cel życia. Tylko zgraja, paka psów, wygłodzonych, złych, zaślinionych, parszywych, z pomierzwioną sierścią i poszarpanymi uszami i o wystających żebrach, psów, suk, kundli najrozmaitszego autoramentu, szczerzący zęby i skowyczący pomiot tej wojny czeka na rzeź, na zlizywanie gorącej krwi, na śmierć.

Masz tobie, zapatrzyłem się wstecz gdzie sielsko-anielsko, płasko, bezpiecznie i już pole to stało się areną przerażającego *taurobolium* śmierci. A widzisz, a nie trzeba było tak samolubnie zamykać się, uciekać przed innymi, trzeba było zostawić drzwi otworem. Przyjdą. I przychodzili.

Z odwiedzających mnie stale gości pozwolę sobie wymienić następujące osoby: Pan Kasztalewicz, mistrz fryzjerski, Tadzik Patryn, inżynier chemik, Fryderyk Koffler, poeta, Dziunek Fisz apasz lwowski czyli batiar. I wreszcie, jak Boga kocham! odwiedziła mnie raz para kochanków.

Pan Kasztalewicz przychodził nieregularnie, rano, ażeby mnie ogolić. Był to mały zabiedzony człeczyna o czerwonym szpiczastym nosie. Pod pachą nosił małe etui z przyborami golarskimi, wecował brzytwę na pasku, namydlał mi twarz i zabierał się do golenia. Taki bankrut-golibroda który zaprzepaścił własny warsztat czy balwiernię i trudnił się domokrążco goleniem młodych ludzi, którzy po przepitej nocy nie potrafili by utrzymać brzytwy w ręku, a także dlatego że młodzi ludzie są dobrego serca, i co komu szkodzi wydać kilkanaście groszy ażeby mógł przytym jakiś biedaczyna wyżyć.

Tadzik Patryn był typem nałogowego pijaka. Było nawet w tym coś strasznego, człowiek w cęgach nałogu, o jakiejś drugiej naturze. Bo wiem od innych że był technikiem, naukowcem pierwszej wody. Ale wódka była mu potrzebna do życia tak jak dla innych oddychanie. Przychodził, nawiedzał mnie wtedy tylko gdy był pod alkoholem. Upodobał sobie coś we mnie, może to że słabego charakteru nie dawałem się zostawić w tyle, że mogłem coś mieć przy sobie z gotówki, a więc czy posłać po wódkę czy przejść się samemu do najbliższego szynku było mi bagatelą. Nieraz zarzygał mi pokój w niemożliwy sposób. Był asystentem profesora Pilata, naftowca, był potrzebny i ceniony, chociaż nie mogę sobie wyobrazić jak mógł zebrać myśli do prac nad jakąś analizą czy frakcją i że mogli mieć zaufanie do jej wyników. Czasem po pijanemu, kiedy go przycisnąłem to próbował powiedzieć mi coś o swej pasji, specjalności którą były sadze. Tak, sadze, i jak o tym wspomniałem jakimś innym znajomym chemikom to z uszanowaniem powtarzali, mówili, „tak, tak, sadze", a mnie aż śmiesznie było że można tak poważnie i z takim uszanowaniem oceniać czyjeś poszukiwania nad sadzami, które znałem tylko z kopcącej lampy, albo kiedy trzeba było wołać kominiarza.

Oczywiście że bardziej była mi zrozumiałą pasja innego z mych gości, Fryderyka Kofflera, bo ten był przecież poetą. Jak każdy poeta używał sobie na mnie, kazał wysłuchiwać swych wierszy spisywanych na luźnych kartkach papieru. Oczywiście uwielbiał Heinego, ale osobiście skłaniał się ku awangardzie i swoje asonanse umiał wysmakować. Ale cóż, był najwyraźniej stuknięty, miał chyzia, i jego rodzina, zamożni hotelarze w Stryju opiekowali się nim jak mogli ale trzymali go na dystans, utrzymywali, to prawda, był takim typowym *remittance man,* kochali go pewnie, tak jak zawsze kocha się zapóźnione, niedorozwinięte dziecko w rodzinie, ale trzymali go na dystans, ażeby im nie dokuczał czy ambarasował, dlatego trzymali go zdala. Miał typową manię prześladowczą, zapomniałem jak to się w psychiatrii nazywa, był pełen bojaźni i podejrzeń że chcą go otruć. Kto? A no, jak zawsze, „oni", i przynosił do mnie ze sobą słoik z mlekiem, które gospodyni podała mu na śniadanie, a mleko oczywiście było zatrute.

O Dziunku Fiszu była już kiedyś mowa. Przychodził kiedy brakowało mu papierosów, pytał: „Nie ma pan szluga, panie mistrzu?".

A oto jednego dnia odwiedziła mnie para kochanków, jak Boga kocham! Nie, nie chcę naśmiewać się z nich, chociaż cudze sprawy tego rodzaju mają dla nas posmak jakby komizmu. A tu ja sam, niewiele co od nich starszy, byłem porzuconym kochankiem i znalazłem się w przedziwnej sytuacji niby speca, mentora, niby filozofa miłości, który jakże to już zmądrzał i jak to wie już wszystko. A tu dwoje, zakochanych, znaleźli do mnie jakoś drogę, doszukali się mnie i jakby wiedzeni przeczuciem, że niby ten co to już zaznał, co już wiedział, to im opowie, to im wyklaruje jak to się te sprawy mają.

Nawet sam nie wiem jak do mnie trafili, co ich skierowało, jakim instynktem byli wiedzeni, czujnością zakochanych. Pewnie koło byłych zakochanych roztacza się jakaś aura, wyczuwa się ich jakimś zmysłem, no i cóż, znalazłem się nagle niby jakiś ekspert od spraw, pożal się Boże, miłosnych, że to niby do mnie puk! puk! jak do chatki pustelnika, a tenże wyjdzie i jakże się rozpromieni, i jakże to wyłoży i doda otuchy i będzie poradą. Cóż to niby za pustelnik, eremita ze mnie, taki sam szczeniak, ale coś im podpowiedziało i naprowadziło, tych dwoje beztroskich a tak zakochanych, podpowiedziało im że tu właśnie sięgną prawdy.

Więc wcale się nie nasrożyłem, i owszem, byłem niezmiernie przyjacielski i trochę mnie to nawet połaskotało, w każdym razie, teraz, po latach nawet jest to łaskoczące, ale prawdę powiedziawszy tych dwoje, jakże niewinnych, jakże zakochanych, jakże beztroskich, ci dwoje niechcący dotknęli we mnie, naruszyli straszliwą drzazgę, rozdrapali niechcący coś we mnie i chociaż byłem dla nich miły i gościnny to nie wiedzieli, nie wiedzieli...

.....

Tak więc Panna Ksieni dobrze się na mnie uwzięła. Kiedy zrobiłem unik przed poświęcaną kulą to rozpuściła za mną sfory żandarmów, nasadziła na mnie w górach z jednej strony Biskupa z Urgel a z drugiej prefekta departamentu Garonny, napuściła na mnie zmory wspomnień. Wreszcie nasłała na mnie, kiedy już sama nie mogła, nasłała na mnie diabła, baskijskiego diabła.

Ten diabeł był zresztą już sam raz dobrze przegrany, czytałem gdzieś o tym, w jakimś uczonym dziele z lingwistyki. Bowiem w tych górach dogadać się ledwie mogłem, przy mojej kulawej francuszczyźnie, bo górale tamtejsi mówili przeważnie po katalońsku a reszta po baskijsku. Ten baskijski to wedle lingwistów jest najbardziej różnym od wszelkiej ludzkiej mowy. Różnymi są inne języki z rodziny ugrofińskich i uralskich i wpośród Madziarów, Łotyszy, Estończyków, zawsze u Mordwinów, u Zyrian, u Czeremisów pokutuje jakaś historia o takim co poszedł o zakład z diabłem, zakład o duszę, w którym warunkiem było że zły duch ma nauczyć się i posiąść któryś z tych języków. I zawsze oczywiście kończyło się to jego przegraną. Baskijski bije wszystkie inne. Lingwiści spekulują na ten temat, domyślają się że baskijski był mową człowieka przedhistorycznego, troglodytów, z epoki kamiennej, neolitu, i że w tej postaci przetrwał i zachował się do naszych czasów w tych górach. I tutaj ten faustowski pakt z diabłem powtarza się raz jeszcze, powtórzył się w każdym razie w moim wypadku.

W salce jadalnej na dole w hotelu, gdzie jadałem i gdzie był także stary gramofon z jedyną ocalałą płytą (*„Voulez-vous que je sois, madame, vôtre amant...”*) stał także stół bilardowy i w czasie wielomiesięcznych nudów w braku jakiegoś partnera rozgrywałem sam ze sobą partie.

Kiedy za młodu, jak to w młodości, oddawałem się takim różnym młodzieńczym pasjom, żeby nie powiedzieć nałogom, to między innymi także grałem i w bilard. Co prawda nie miałem specjalnych do tego sportu czy gry zdolności ale szczęście sprzyjało mi w tym że miałem dwu mentorów, prawdziwych mistrzów w „karambola”. Taki Ignac umiał wyciągnąć pięćdziesiąt „od

kija”, a już Kossonoga, mityczny Kossonoga, produkt jednego z gimnazjów w Samborze (w Samborze były dlaczegoś aż cztery gimnazja, dwa polskie, jedno z językiem wykładowym ukraińskim i jedno gimnazjum żeńskie, i produkowały te gimnazja takich abiturientów na kopy corocznie, i ci już niezdolni do czegokolwiek innego, a dla braku środków nie mogący iść na wyższe studia dusili się bezczynnie w tymże Samborze, naznaczeni tą maturą gimnazjalną, która odebrała im wszelką zdolność, męskość, do parania się czymkolwiek w życiu), otóż ten Kossonoga był mistrzem nad mistrzami, to on wykształcił Ignaca także na mistrza, a ja zostałem z kolei ich pupilem, ale bez talentu i już.

Czemu o tym tu opowiadam? A no, z kolei ja sam, niedołężny bo niedołężny byłem mentorem Nietoty, uczyłem ją grać w bilard. Skąd się wzięła w Dolinie Bez Wyjścia? Nie wiem, byłem dyskretny, nie pytałem. Udawała że przynależy tutaj, była zdaje się dla niepoznaki, uchodziła za córkę patrona, hotelarza, owego syndyka parlamentu tutejszej rzeczypospolitej, jej trudniących się szmuglem obywateli. Dla zachowania pozorów nawet się jej zbyt nie przypatrywałem, nie dopytywałem, a zresztą w myśl diabelskiego paktu ja przecież po baskijsku „ani be ani me”. Lekcji gry w bilard, kiedy zjawiała się wieczorem na salce gdzie był stół bilardowy, udzielałem po swojemu. Nie bardzo była pojętna, ale też znalazła sobie profesora! Ale znakomicie wypełniało to czas, długie miesiące jesieni i zimy w górach.

„Uważaj”, mówiłem, „tak się kreduje koniec kija bilardowego. W pozie eleganckiej, ale i odpowiednio nonszalanckiej, tylko ma być to naturalnie, bez sztucznej nonszalancji. Ludzie przy innych stolikach patrzą. Niewiele tu klientów o tej późnej porze, światło lamp odbija się w pół czarnej na stoliku obok i zaspany „markier” kawiarni lwowskiej opiera się o ścianę, znudzony. Teraz uważaj! Na tym przykładzie pokażę ci jak w tej sytuacji nie należy zagrać, to nazywało się u bilardzistów „świnią”. A tak się „ściąga”. Nie bardzo mi to wyszło, ale żebyś to zobaczyła jak Ignac to robił. Ignac miał zawsze pogardę dla mych najgorliwszych wysiłków, mówił mi, nie sil się, nie sil się, najważniejsze to styl! styl! A to znowu nazywało się *massé*, ale gdzie mnie tam!”

Uważnie celowałem, suwając na wykwintnie rozstawionych palcach kijem, pochylony nad zielonym prostokątem sukna, by w odpowiednim celnym momencie uderzyć, pchnąć białą, pożółkłą kość słoniową kuli, a ta wdzięcznie, lekko tym wprawiona w ruch toczy się po zielonym krajobrazie stołu bilardowego, i oto stuk! i energię swą przekazała drugiej, czerwonej, a sama toczy się, kręci, leci ku bandzie bilardu i pod kątem dokładnie jednakowym odbija się i już stuk! dotknęła trzeciej.

A jak się nam to znudziło to zabawiałem Nietotę rozmową. Właściwie nie była to rozmowa, ale mój monolog, odpowiadałem na jej nieme zapytania. Czemu tu się znalazłem? Jak to jest gdzie indziej? Skąd ci ludzie co mnie nachodzą, z którymi rozprawiam w samotności tak że się ze mnie w kuchni śmieją? A ci zakochani, jak wyglądali, jakiej to rady szukali? Czy pobrali się wreszcie? Czy byli szczęśliwi? I w ogóle, jak to jest z małżeństwem?

Zawahałem się. Jak to opowiedzieć? Jak nie zgorszyć, jak odrzeć to z marzeń, przybrań, zmyślania. Czy zrobić z tego bajkę, kiedy się nie da, kiedy nawet sienkiewiczowska bajka o Kniaziównej ma swoje wpakowane mimochodem zakończenie u początków Potopu, wzmianką że Kniaziówna „się roztyła". I bardzo prawdopodobnie. A powinno być tylko jak w bajce: „... i żyli szczęśliwie długie lata".

No, no, Pannie Ksieni-Kniaziównej nic z tego nie groziło. Co prawda dogadzali jej, mówiła mi Nietota że w refektarzu podawali jej na stół kwiczoły, owe kwiczoły co to same w poświęceniu nadziewają się jagodami i nie musi się ich patroszyć, upieka się je tak jak są, tyle że oskubane i same wpadają do gąbki. Ale Panna Ksieni była chudej, nikczemnej postaci, „garbatego ciała", przypominała raczej modliszkę, „lou Prègo-Diéu".

„Ciekawaś Nietoto to ci opowiem, posłuchaj. Kiedyś, było to w niedzielę, we wczesne rano, przed południem, kiedy to ulice miasta są tak puste świątecznie, a już zwykle tak gwarna Ulica Akademicka, z jej wystawami sklepów, z ich zaciągniętymi w dół żaluzjami, jak wymieciona. I wtedy to, bo akurat wypadłem od siebie by kupić w budce papierosów, natknąłem się na idący jej chodnikiem orszak weselny. Niedużo tego, owszem pan młody w przepisowym czarnym ubraniu, jacyś pewnie krewni, drużbowie i druhny, ubogi ślub z przedmieścia, dla fasonu brany wczesną porą, przed mieszczańską „dwunastówką", ale żeby to było w śródmieściu, może w Katedrze, czy u Bernardynów, u Sakramentek czy Klarysek. A potem już ciągnęli do domu, do siebie, może nie stać ich było na dorożki. Otóż z tego wszystkiego zapamiętałem tylko Pannę Młodą. Miała na sobie oczywiście białą suknię ślubną i welon oczywiście z mirtowym przybraniem, a dlatego ją zapamiętałem sobie bo rzadko kiedy widzi się w życiu taki tryumf osiągnięcia jak u tej Panny Młodej. Nawet puściła rękę pana młodego i była jakby sama, jeszcze dziewicza, a kto ją tam wie, pewnie i niebardzo dziewica, bo nic to wszystko nie znaczy, miała swoje wesele, swój ślub, swój dzień jedyny w życiu i od tego tryumfu, szczęścia osiągnięcia, apogeum życiowego twarz miała rozpromienioną, ropryskiwała się jej ta twarz w uśmiechu i oczy miała po prostu w słup, niewidząca, ale i tak widziała,

znalazła sobie we mnie zaprzysiężonego, nieproszonego świadka swego ślubu, swego szczęścia i osiągnięcia i tak do mnie uśmiechała się ślicznie w słoneczny, letni, lwowski poranek owej niedzieli której był jej! jej! jej! ślub! To nic że zaraz po tym miała przyjść nędza, urywanie się za złotówką, pewnie balia z brudną bielizną w cudzym domu, nad którą miała się pochylać, pewnie pijany w sobotę po wypłacie mąż, albo tłukący ją i bez wódki bezrobotny, robiący jej dzieci jedno po drugim, od których to porodów miała zestarzeć się przed trzydziestką, z obwisłymi, workowatymi piersiami i powykrzywianymi obcasami pantofli, w kamienicznym podwórzu z jedynym zlewem-kranem, jazgotliwe sąsiadki i deszcze i mgły i śniegi i upały miejskie i nowy poród z komplikacjami w wyżebranej klinice Kasy Chorych i kaszel po nocy i pluskwy gnieżdżące się za obiciem nad skrzypiącym łóżkiem i niezapłacony miesięczny rachunek w sklepiku gdzie nie chcą więcej dać „na kredę" i jazgot i kłótnie z innymi tak jak ona, co drugie słowo wymyślające sobie od kurw, a po latach niewdzięczne dzieci znęcające się nad zniedołężniałą matką, i na pociechę pozostaje jej kruchta z zapachem święconej wody i świec i zawodzący nieszporami chór. Ale teraz w słoneczne rano niedzielne to był jej dzień, jej, nie do odebrania, jej tryumf i gloria i to dla tego była taka jaką była i patrzyła mi w oczy wyzywająco, tryumfująco, dumna, zuchwała, pyszna, roześmiana, wyższa nad patrycjuszki Rzymu, bazylissy bizantyjskie, księżniczki Gotów i Wandalów, kniaziówny halickie, principessy biponckie, baronówny żydowskie i „królewny smalcu". Gotowa mi się oddać wpierw przed nowopoślubionym mężem, mnie obcemu, bo przecież to wszystko jedno, bo był to jej dzień, oblubienicy, tej której wolno, która oddaje się każdemu, symbolicznie. W dniu jej własnego tryumfu, Panny Młodej, panny nie będącej już więcej panną, żony, newistki, bo to jej dzień, dla którego warto było przyjść na świat, znieść jego szorstkie, bolesne, drapiące dotknięcia już od rachitycznego przeżywanego w głodzie, niedostatku, brudzie nędzy, potrącanego dzieciństwa, pełnego strachów i przekleństw i zalęknionej, „macanej" dziewczęcości, z jej jadami zazdrości, krzywd, popychania, jej niepokojami dojrzewania, nudą i upokorzeniami szkoły, domu, kaplicy, dniówek („podaj wapno!"), w tym jedynym jej dniu, jej wesela!

I ja tam byłem, miód i wino piłem...".

Tak to przekładałem Nietocie w długie samotne wieczory nad bilardem, a było to gdzieś daleko, za światami, w Dolinie Bez Wyjścia, wspośród groźnych, ponurych gór, w Pirenejach w których nigdy nie byłem.

Zygmunt HAUPT

Wiersze

Endokrynologia i Esseńczycy

Leszkowi Kołakowskiemu

Przymykam oczy i czekam w przedśnieniu.
Teraz właśnie rozpocznie się od-mistyfikowanie realiów,
rzeczy przemiana i czasu przetworzenie.

Tak wiele ostrych drzazg,
miejsc uczulonych,
zwęźleń bolesnych,
skoncentrowanego cierpienia —
muszę przetworzyć — by żyć.

Pozornie oderwany od spraw rzeczywistych,
spragniony form doskonałych,
uczę się rzeczy brać lżej:
„Take it easy" —
Lecz uparcie wiem: Tylko śmierć wymazuje cierpienie.

Jakże to okrutne pojmować materialnie:
— fizjologia — biochemia — endokrynologia —
Być tylko z mięsa, kości, nerwów,
z pierwiastków wiążących w trwały związek z ziemią,
przyrodą, kosmosem —
Jakież to okrutne — wiedzieć:
Wszystko tranformacją materii tkniętej świadomością.
Tu narodziny tragedii.

Czymże wiedza wszelaka: gdy bezsilni
wobec przemian, stajemy się żaglami swawoli.
I oto, nie wierzący w magię, nie jestem już
u zbiegu Alej Jerozolimskich i Nowego Światu.

Chodzę po najprawdziwszej biało-kamiennej
Jerozolimie, zanurzonej w mrocznym świecie Starego
Testamentu.
I nic się nie dzieje w przenośni, nie jest poetycką wizją.
Wszystko to proza, nawet gdy przystaje znużony przy
Stacjach Męki. — Mój Boże! któż to myślał! ja i Via Dolorosa
Niepojęte!
Więc u końca Jerozolimskich nie ma już Mostu Poniatowskiego?
więc to nie Wisła pode mną, lecz odmęt wieków pięćdziesięciu?
Jakże dźwignąć Światowidowi tę górę stuleci?

Wtopiony w słodką dostałość bursztynu,
w czystosłowiańskość, tak czuję, jakbym nagle
z Orlej Perci, przeleciał jednym skokiem w wadi i kaniony,
w rozwartą, jak rana, dolinę Izraela — Emek Israel,
w gorejący Synaj, księżycowy Ejlat.

A może przyszedłem tutaj by szukać śladów
ukrytych w Qumran, w jaskiniach nad Morzem Martwym?
w Pustyni Judejskiej, w skałach z czerwonego kamienia
wśród koczowniczych Beduinów-Ta'amire?

Nawet upadek na samo dno świata,
w depresję Morza Martwego nie wtrąci mnie
w zamroczenie, nie sprawi bym utracił poczucie
sensu rządzącego chaosem.
U podnóża Gładkiej Skały, na północ od Kohlit,
dostrzegam z przerażającą wyrazistością
nietrwałą ulotność, niezrozumiałą naturę
ludzkiej rzeczy. Nauczali Esseńczycy i On uczył:
Błogosławieni mali. Nauczali:
„... pokornie odpowiadać wyniosłym
i uniżenie ludziom małego rozumu,
którzy wyciągają palce, wypowiadają słowa wzniosłe
gromadząc dobra".

Może jedyny ślad człowieka — gdy opadnie pył atomowy —
odnajdą na znieruchomiałym księżycu,
gdzie żaden wiatr go nie zetrze,

◆

Tutaj nad Morzem Martwym nic mnie nie przeraża.

Nawet eschatologia rozpadu atomów,
nawet apokalipsa roztrzaskanego globu.

Każdej nocy zanim sen przychodzi zaczyna się wstępowanie
w nierzeczywisty wymiar niebytu —
prawdziwą ojczyznę ludzi.

Filip ISTNER

Jerozolima, styczeń-marzec 1970

Archiwum polityczne

Może zdarzyć się i tak (II)

W poprzednim artykule rozpatrzyliśmy wariant sytuacyjny — wychodząc z założenia, że Chiny w najbliższych dekadach staną się potęgą militarną i gospodarczą i że ów fakt wywrze wpływ na rozwój stosunków politycznych i narodowościowych w Europie Wschodniej. Wychodziliśmy również z przesłanki, że Niemcy przestały być potęgą militarną i że zjednoczonych Niemiec typu Trzeciej Rzeszy już nigdy nie będzie.

Wariant sytuacyjny, który pragnąłbym rozpatrzyć w niniejszym artykule dotyczy w pierwszym rzędzie Niemiec. Federalna Republika nie jest potęgą militarną, lecz niewątpliwie jest potęgą gospodarczą. Wydaje się prawdopodobne, że im bardziej napięcie na granicy rosyjsko-chińskiej będzie rosło — tym Kreml coraz uporczywie będzie szukać porozumienia z Niemcami.

Europa Zachodnia to nie jest ani NATO ani „wspólny rynek" ani dziesiątki komitetów urzędujących w Brukseli. Europa Zachodnia to są Niemcy. Kto zdobędzie — względnie pozyska — Niemcy — zdobędzie automatycznie Europę Zachodnią nie wystrzeliwszy ani jednego naboju.

Rosja nie może prowadzić ofensywy na dwóch frontach, to znaczy na granicy chińskiej i w Berlinie. Bezpieczeństwo od strony Zachodu zapewnić mogą Rosji tylko Niemcy. Jest również rzeczą bardzo istotną, by w razie konfliktu z Chinami — Niemcy nie dostarczali po cichu Pekinowi skomplikowanych produktów nowoczesnej technologii — nie mówiąc o doradcach i ekspertach.

Argumenty, które przemawiają — z punktu widzenia Rosji — za porozumieniem z Niemcami można by mnożyć w nieskończoność. Dlaczego więc tego typu porozumienia jeszcze nie ma — skoro wydaje się oczywiste, że leżałoby w interesie obu stron?

Anglia i Francja nigdy nie dopuszczą do powtórnej dominacji Niemiec w Europie. Niemcy mogliby przeciwstawić Anglii i Francji tylko Rosję. Porozumienie rosyjsko-niemieckie — bez względu na formę prawną jaką by przyjęto — stanowiłoby najpotężniej-

szą „kombinację" militarno-przemysłową jaka kiedykolwiek istniała w Europie. Wydaje się, że Niemcy tylko na tej drodze mogliby odzyskać status wielkomocarstwowy. Niemcy zachodni są narodem zbyt licznym i gospodarczo zbyt potężnym, by groziła im „satelizacja". Przeciwnie, mieliby wszelkie szanse stać się pełnoprawnym partnerem Rosji i ciągnąć z owego partnerstwa wielkie zyski polityczne i gospodarcze.

Dlaczego więc tak się nie dzieje? W mojej opinii Stalin popełnił błąd tworząc NRD. Gdyby nie istniała Niemiecka Republika Demokratyczna — porozumienie rosyjsko-niemieckie byłoby już dawno faktem dokonanym. Stalin powinien był oddać sowiecką strefę okupacyjną rządowi w Bonn i postawić sobie za cel zdobycie całych Niemiec.

Ulbricht — z punktu widzenia zachodnioeuropejskiego — spełnia niezmiernie ważną i pożyteczną funkcję. Uniemożliwia bowiem zjednoczenie Niemiec, a tym samym uniemożliwia zbudowanie systemu hegemonii rosyjsko-niemieckiej w Europie.

Ideologia nie zawsze jest służbą polityki. Gdyby Chinami rządzili demokraci — być może daleko łatwiej porozumieliby się z Rosją niż marksiści. Gdyby nie było NRD jako komunistycznego państwa — Rosji byłoby daleko łatwiej porozumieć się z Niemcami i narzucić Europie Zachodniej hegemonię rosyjsko-niemiecką.

Ani Anglicy ani Francuzi nie chcą zjednoczenia Niemiec. Europa boi się zjednoczonych Niemiec. Stalin tworząc odrębne państwo niemieckie spełnił „polityczne zamówienie" Europy Zachodniej i równocześnie oddalił widmo grożące zawsze Europie w postaci porozumienia rosyjsko-niemieckiego.

Jak wiadomo oba państwa niemieckie mają ustroje nie tylko różne lecz antagonistyczne. Ów antagonizm ideologiczny wyłącza możliwość zjednoczenia. Rosja ze względów prestiżowych i politycznych nie może w takiej czy innej Jałcie „sprzedać" Ulbrichta. Upadek komunizmu w NRD pociągnąłby za sobą poważne konsekwencje w Europie Wschodniej.

Koncepcja Stalina zmierzała do stworzenia komunistycznego państwa niemieckiego, które byłoby w sojuszu z Sowietami. Gdyby Stalinowi powiodło się zagarnąć 80 % Niemiec i gdyby dziś NRD była tym czym są Niemcy zachodnie — hegemonia rosyjsko-niemiecka w Europie byłaby od dawna zrealizowana. Jednak w oparciu o Ulbrichta i jego państewko można robić rozmaite rzeczy, lecz nie panować nad Europą Zachodnią. Równocześnie Rosjanie muszą sobie zdawać sprawę, że bez Niemców jako partnerów nie ustalą nigdy swojej hegemonii w Europie.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że dzięki Ulbrichtowi — jego nazwiska używam tu symbolicznie — problem niemiecki w rosyjskiej perspektywie jest dosłownie kwadraturą koła. Istotnie dla polityków kalibru Breżniewa czy Kosygina tak to się musi przedstawiać. Lecz kiedyś może pojawić się w Rosji polityk o dużej imaginacji, który pokusi się o rozwiązanie problemu niemieckiego. Należy podkreślić jeszcze raz, że korzyści, które płynęłyby z porozumienia rosyjsko-niemieckiego — dla obu stron zainteresowanych byłyby tak duże, że proces historyczny w obu mocarstwach będzie parł ku temu rozwiązaniu mimo wszelkich przeszkód.

Zjednoczyć Niemcy mogą tylko Rosjanie. Zjednoczyć w pewnym sensie. Za ustępstwa, za długo-terminowe kontrakty, za stopniowe podporządkowywanie się politycznym koncepcjom Moskwy — politycy na Kremlu mogą wydać następcom Ulbrichta polecenie zlikwidowania berlińskiego muru oraz przyznania obywatelom NRF specjalnych przywilejów.

Innymi słowy porozumienie rosyjsko-niemieckie musi oznaczać porozumienie między Moskwą a Bonn kosztem NRD. Jeżeli rozwój sytuacji poszedłby po wyżej naszkicowanych liniach — NRD nie zniknęłaby z mapy lecz uległaby całkowitej deklasacji.

W naszym wariancie zakładamy, że uległa zmianie ogólna orientacja narodu niemieckiego w tym sensie, że tradycyjny *Drang nach Osten* zastąpiono *Drang nach Westen*. Niemcy ponieśli na wschodzie totalną klęskę — natomiast na Zachodzie niezmiernie szybko przedzierżgnęli się z wrogów w sojuszników i budowniczych nowej Europy. Dziś Niemcy są znacznie bardziej zainteresowani Brukselą, wspólnym rynkiem i szukaniem dla siebie nowej pozycji pomiędzy Francją a Anglią — niż Warszawą i Pragą. Tysiącletni *Drang nach Osten* leży w gruzach i Niemcy uświadomili sobie, że mocarstwową pozycję odbudować będą mogli tylko na Zachodzie a nie na wschodzie Europy.

Jeżeli *Drang nach Osten* uznamy za pogrzebany — należałoby zadać pytanie czy nie powinniśmy postulować orientacji pro-niemieckiej? Niemcy nie są wprawdzie Słowianami — lecz są narodem zachodnim i kto wie czy w wielu punktach nie mają więcej z nami wspólnego niż Rosjanie. Gdyby w przyszłości doszło do porozumienia polsko-niemieckiego — byłoby to potężne zgrupowanie w Europie Środkowej o wielkich możliwościach politycznych i gospodarczych.

Drang nach Osten jest reliktem przeszłości — nie widzę również w najbliższych dekadach... niemieckich czołgów pod Leningradem. Niemniej nie jestem zwolennikiem orientacji pro-niemieckiej. Należy rozważać i analizować warianty sytuacyjne — nie oznacza to jednak, że przed każdym narodem istnieje ta sama różnorodność możliwych rozwiązań politycznych. Rosjanie czy Niemcy mają niepomiernie więcej wariantów do wyboru niż my.

Rosjanie — być może — będą szukali w przyszłości porozumienia z Niemcami. Lecz każda polska orientacja pro-niemiecka byłaby zawsze oceniana w Moskwie jako ruch polityczny antyrosyjski. Rosjanie może zgodzą się na polsko-niemieckie szersze układy handlowe, na wyrównanie stosunków polityczno-dyplomatycznych lecz z całą pewnością nie zgodzą się na *partnership* polsko-niemiecki.

Musimy również pamiętać, że Niemcy zorientowane są ku Zachodowi. Gdyby doszło kiedyś do *partnership*'u niemiecko- rosyjskiego — to tematem owego porozumienia byłby Zachód a nie

Wschód. Rosjanie nie potrzebują Niemców jako partnerów na wschodzie Europy — potrzebują ich poparcia, by dominować nad Europą Zachodnią. Podobnie Niemcy porozumienia z Rosją nie inkasowaliby politycznie w Pradze czy w Warszawie, lecz w Brukseli, w Paryżu i w Londynie.

Choć wydać się to może dziwne a nawet paradoksalne — właśnie *Drang nach Osten* stwarzał możliwości porozumienia polsko-niemieckiego. Mogliśmy iść z Niemcami przeciwko Rosji, mogliśmy szukać niemieckiej gwarancji przeciwko Rosji — mogliśmy wreszcie w sojuszu z Niemcami przebudować Wschodnią Europę, wyzwolić Ukrainę itd. Do przebudowywania Zachodniej Europy Polska Niemcom nie jest potrzebna. Nasze poparcie Niemców w Paryżu czy w Londynie nie byłoby ani efektywne ani skuteczne. Polska jest wyobcowana z systemu zachodniego i w stolicach zachodnich polskie wpływy po prostu nie istnieją. I punkt ostatni, najistotniejszy. W wariancie sytuacyjnym, który rozważamy — Niemcy zorientowane ku Zachodowi mając do wyboru porozumienie z Polską czy z Rosją — wybiorą zawsze Rosję. Należy jeszcze raz podkreślić, że Niemcy nie zamierzają wyzwalać Ukrainy czy przebudowywać europejskiego wschodu. Polacy popełnili w przeszłości wielkie błędy na Ukrainie i w stosunku do innych narodów, które oddzielają nas od rdzennej Rosji. Niemniej zbrodnie i błędy popełnione przez Niemców w tym rejonie Europy są nieporównywalnie większe niż nasze. Niemcy zdają sobie obecnie sprawę, że *Drang nach Osten* upadł nie tylko militarnie, lecz przede wszystkim upadł jako koncepcja polityczna. Bezprzykładna klęska Niemiec w Rosji była w całości spowodowana bezsensowną polityką Trzeciej Rzeszy. Niemcy nie mają czego szukać na wschodzie Europy i wydaje mi się, że większość współcześnie żyjących Niemców zdaje sobie z tego sprawę.

Lecz mimo klęsk i błędów Niemcy mają zawsze przed sobą więcej możliwości niż my. *Drang nach Osten* odłożyli do muzeum i zabrali się z zapałem do organizowania „brukselskiej" Europy Zachodniej. Ci sami Anglicy, którzy 30 lat temu równali Niemcy z ziemią a następnie wraz z Rooseveltem i Stalinem decydowali o ich losie — dziś zabiegają o poparcie Bonn w sprawie przystąpienia Wielkiej Brytanii do wspólnego rynku. To nie jest przykład ilustrujący przysłowie, że „fortuna kołem się toczy". To jest tylko przykład ilustrujący fakt, że nawet pobite Niemcy mają przed sobą więcej politycznych możliwości niż my. 1000 lat niemieckiej *Ostpolitik* legło w popiołach. *Drang nach Osten* został odrzucony dosłownie na punkt wyjściowy sprzed 10 wieków. Niemcy zwrócili się ku Zachodowi i są dziś wzorowymi Europejczykami. Dla Niemców klęska ich polityki wschodniej oznaczała konieczność zdynamizowania programu zachodniego. Dla nas klęska naszej polityki wschodniej oznaczała historyczną katastrofę, z której nie zdołaliśmy się podnieść przez dwieście lat. Ponieważ w przeciwieństwie do Niemiec, Polska nie ma alternatywy zachodniej.

Czy to wszystko co powiedzieliśmy powyżej należy podsumować w stwierdzeniu, że orientacja pro-niemiecka już nigdy w polskiej polityce nie odegra najmniejszej roli?

W wariancie, który analizujemy — wyszliśmy z przesłanki, że Rosja zagrożona od strony Chin szukać będzie porozumienia z Niemcami. Przez Niemcy Moskwa rozumie NRF — bo tylko porozumienie z NRF pozwoliłoby Rosji zainkasować Europę Zachodnią bez wystrzału. Nie byłoby oczywiście inwazji — ponieważ inwazja byłaby całkowicie zbędna. Tego typu plan musiałby być realizowany nie tylko ponad głową rządu NRD — lecz kosztem NRD jako państwa. Niemcy wschodni czuliby się zdradzeni, sprzedani, upokorzeni — ponieważ panowie z Bonn znaczyliby w Moskwie znacznie więcej niż towarzysze wschodnioniemieccy.

Jeżeli Rosja pragnęłaby porozumienia z NRF nie miałaby innego wyjścia jak zgodzić się na degradację NRD — ponieważ owej degradacji domagaliby się Niemcy zachodni. Domagaliby się przede wszystkim Berlina. To byłaby cena, którą Kreml w końcu musiałby zapłacić za zdobycie nowego potężnego alianta.

Łatwo sobie wyobrazić, że w takiej sytuacji pro-rosyjskich Niemców byłoby daleko więcej w Republice Federalnej niż w NRD. Nastąpiłoby powszechne rozczarowanie reżymem stalinowskim, który Niemcy wschodni obwinialiby za degradację NRD.

Wielu Polaków na emigracji sądzi, że Niemcy wschodnie marzą o wyzwoleniu i o połączeniu z macierzą, tj. z Republiką Federalną. Przez ubiegłe lata wśród Niemców wschodnich wyrobiło się silne poczucie odrębności i choć nikt nie lubi komunizmu w wydaniu Ulbrichta — ludzie cenią służby społeczne, zabezpieczenia na starość itp. — co wszystko funkcjonuje niepomiernie sprawniej w NRD niż w innych państwach bloku wschodniego. Dziś NRD zależy od Rosji, ale istnieje. Gdyby Niemcy wschodnie jutro przyłączono do Republiki Federalnej — NRD po prostu przestałoby istnieć. Niemcy z Zachodu zajęliby wszystkie ważniejsze stanowiska i podjęli z energią proces integracji.

Wydaje mi się, że gdyby w Niemczech wschodnich można było przeprowadzić rzetelne referendum — większość mieszkańców wybrałaby niezależną NRD z socjalizmem o ludzkim obliczu a nie przyłączenie do NRF z kapitalizmem o nie zawsze ludzkim obliczu.

Rozważamy problem polskiej orientacji pro-niemieckiej. Sądzę, że gdyby wypadki potoczyły się w powyżej naszkicowany sposób — gdyby zdegradowana NRD zaczęła upodabniać się do Czechosłowacji z okresu Dubczeka — wówczas powstałaby możliwość zacieśnienia stosunków pomiędzy Polską a Niemcami wschodnimi. Pragnę przez to powiedzieć, że tylko zliberalizowane Niemcy wschodnie mogłyby być w przyszłości naszym prawdziwym sojusznikiem a nie Republika Federalna.

Powyższy wariant jest oczywiście mało prawdopodobny, zwłaszcza, jeżeli oceniamy go z perspektywy 1970 r. Jeżeli jednak NRD przetrwa jako odrębne państwo — jeżeli w przyszłości NRD rządzić będą ludzie typu Harricha a nie Ulbrichta — wówczas zyskalibyśmy Niemców kandydatów na naszych przyjaciół.

Lecz głównym celem wprowadzenia do tych rozważań wątku niemieckiego — była chęć uwypuklenia faktu, że Polska nie ma przed sobą wyboru i w przyszłości to się nie zmieni. Możemy realizować tylko program wschodni ponieważ programem wschodnim Polska stoi i upada. Na Zachodzie będziemy tyle znaczyli ile znaczyć będziemy na Wschodzie — a nie odwrotnie. Trudno przychodzi nam pojąć, że nie możemy wziąć przykładu z postępowania Niemiec i program wschodni zastąpić programem zachodnim. Nasze położenie geograficzne wyłącza tego typu rozwiązanie.

W moim przekonaniu wcześniej czy później dojdzie do wojny rosyjsko-chińskiej. Wojna w różnych fazach może trwać kilka lub kilkanaście lat. Nacjonalizm — choćby przybrany w romantyczną formę („za wolność naszą i waszą") — wówczas nie wystarczy. Przez program wschodni, który byłby zdolny dokonać wielkiej przemiany — rozumieć należy ideę socjalną. Nie ma rewolucji bez idei socjalnej. Polska w sprzyjającym momencie winna podnieść twardo i wysoko sztandar socjalizmu z ludzkim obliczem i stać się Piemontem rewolucji społecznej, która przekształciłaby Wschodnią Europę a z czasem i Związek Sowiecki.

Ludziom na Zachodzie wydaje się, że wiek ideologii dobiegł kresu, że wszyscy mają dość socjalizmu, komunizmu itd. itp.

Nikt nie mówi o chlebie tam gdzie chleba jest pod dostatkiem. Nie ma powodu wiecznie dyskutować o socjalizmie w państwie, w którym panuje ład i sprawiedliwość społeczna. Lecz w bloku wschodnim wszelkie zło płynie z wadliwie rozumianego i wadliwie wcielanego w życie socjalizmu. W Czechosłowacji gdy w okresie rewolucji Dubczeka zniesiono cenzurę — ludzie o niczym innym nie mówili jak tylko o socjalizmie. Wadliwego socjalizmu nie można niczym innym zastąpić tylko prawidłowym socjalizmem. Zastąpienie wadliwego socjalizmu dyktaturą wojskową czy rządami nacjonalistyczno-faszystowskimi — jest zawsze krokiem wstecz a nie naprzód.

Rewolucja musi mieć nie tylko dynamikę burzącą — lecz również unifikującą ideę, dla której rewolucję się podejmuje. Tą unifikującą siłą, która byłaby zdolna dokonać wielkiej przemiany w Polsce, w Czechosłowacji, w NRD, na Węgrzech i na Ukrainie — jest socjalizm z ludzkim obliczem.

Jaka jest alternatywa? Zakładamy, że dojdzie do wojny rosyjsko-chińskiej. Zakładamy dalej, że na skutek konfliktu na dalekim wschodzie kontrola sowiecka nad państwami satelickimi zwiotczeje. Nie można wyłączyć, że w takiej sytuacji kryzys narodowościowy w Sowietach osiągnie punkt wrzenia.

Alternatywą rewolucji są narodowe powstania. Wyobraźmy sobie szachownicę nacjonalistycznych państw, które prowadziłyby wojnę między sobą o Lwów czy Wilno czy dziesiątki innych miast. Rosja — nawet uwikłana w konflikcie dalekowschodnim — miałaby jeszcze dość sił by te państwa wygrywać jedne przeciwko drugim dążąc do całkowitej bałkanizacji Europy Wschodniej. Moskwie przyświecałaby uzasadniona nadzieja, że gdy upora się z Chinami opanuje z powrotem zwaśnioną Europę Wschodnią.

I jeszcze jeden punkt bardzo istotny. Powstania wymierzone byłyby przeciwko Rosji — rewolucja wymierzona byłaby nie przeciwko Rosji lecz przeciwko stalinizmowi i totalizmowi. Inteligencja rosyjska i rewizjoniści rosyjscy poparliby rewolucję lecz nie poparliby nacjonalistycznych powstań. Inteligencja rosyjska w znacznym procencie była za Dubczekiem i, jak wiadomo, kilku nie polskich lecz sowieckich oficerów popełniło samobójstwa w okupowanej Pradze.

Zasadniczym problemem w tej całej sprawie jest Rosja. Celem rewolucji byłoby objąć Związek Sowiecki i dopomóc postępowym kołom rosyjskiego społeczeństwa w nadaniu rosyjskiemu socjalizmowi ludzkiego oblicza. Przebudowa Związku Sowieckiego w *commonwealth* niezależnych państw byłaby do osiągnięcia wyłącznie w konsekwencji zwycięskiej rewolucji.

Polska polityka wschodnia winna postulować rewolucję socjalistyczną we wszystkich państwach bloku z Rosją włącznie. Oczywiście w ramach wariantu sytuacyjnego który omawiamy — rewolucja socjalistyczna w sprzyjającej koniunkturze winna zacząć się w Polsce względnie w Polsce i w Czechosłowacji równocześnie. Ponieważ analogiczna koniunktura panowałaby wówczas w całej Europie Wschodniej — jest wielce prawdopodobne, że przy poparciu Polski i Czechosłowacji rewolucja objęłaby szybko wszystkie państwa satelickie. Gdyby tak się stało — sukces programu wschodniego byłby zapewniony. Rosja w danej sytuacji nie mogłaby sobie pozwolić na zbrojną interwencję w większości państw satelickich. Nie potrzebuję dodawać, że zwycięska rewolucja socjalistyczna w państwach bloku wschodniego — wywierałaby przemożny wpływ na narody wchodzące w skład Związku Sowieckiego a przede wszystkim na Ukraińców. Tak oto zostałaby ustawiona scena dla ostatniego aktu wielkiej przemiany, tj. rewolucji w Rosji i przebudowy Związku Sowieckiego.

Nie twierdzę, że tak się stanie. Twierdzę natomiast, że jeżeli narody dziś satelickie — nie wykorzystają w przyszłości sprzyjającej koniunktury w celu dokonania rewolucji socjalistycznej — program wschodni — tak jak go rozumiemy — upadnie. Winniśmy zawsze pamiętać, że Rosji nie można ani pobić ani narzucić jej bardziej postępowego ustroju. Rosję można natomiast w sprzyjających warunkach otoczyć pasem państw socjalistycznych — co umożliwiłoby potężne oddziaływanie, które z całą pewnością doprowadziłoby w Rosji do przewrotu.

Wreszcie uwaga końcowa:

Ludzie, którzy nie są gotowi zapewnić triumfu socjalizmowi z ludzkim obliczem w swojej własnej ojczyźnie — nie mają moralnego prawa domagać się przemian w Rosji.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Greczko ante portas

Sfera życia politycznego w stolicach świata wschodniego jest, jak wiadomo, otoczona murem głębokiej konspiracji. Ukochani przywódcy nie mają, jak również wiadomo, życia prywatnego i ostra cenzura chroni ich przed niezdrowym zainteresowaniem gawiedzi. Nigdy nie chorują, są zawsze uśmiechnięci i nie używają chusteczek do nosa. Dlatego, każda grypa urasta do rozmiarów wydarzenia politycznego, a doniesienia zachodnich korespondentów na temat gorączki na Kremlu wywołują oficjalne dementi ze strony wydziału propagandy KC partii.

Kreml stanowi najbardziej tajemniczy kompleks gmachów, przy którym Pentagon to szeroko oszklone przedszkole. Moskwa należy dlatego do najtrudniejszych placówek dziennikarskich na świecie i to co w Paryżu czy Brukseli należy do abecadła zawodowego, w Moskwie czy w Warszawie przekształca się w sztukę wróżenia z fusów, kojarzenia plotek, analizowania domysłów. W tych warunkach największa brednia trafi czasem do poważnych gazet, a prawdziwa bomba może pozostać niezauważona.

Nic dziwnego więc, że w obawie przed przegapieniem szlagiera, a także ze zwykłych względów konkurencyjnych, prasa zachodnia notowała ostatnio wszystkie poruszenia, obecności i nieobecności przywódców sowieckich, wysnuwając z nich wnioski na temat rzekomej rozróby personalnej na Kremlu. Doniesienia te zrobiły ogromną karierę w Belgii, gdzie poddani króla Baldwina nauczyli się poważnie traktować każdą rewelację z Kremla. Co prawda tylko z trudem odróżniają oni Woronowa od Susłowa, ale od kiedy popularny tutaj Nikita Siergiejewicz najniespodziewaniej w świecie odszedł na własne żądanie, gotowi są uwierzyć we wszystko.

Rozpatrzmy niektóre *pro* i *contra* tego rozumowania. Sytuacja gospodarcza w ZSSR jest niezwykle trudna. Tempo przyrostu produkcji przemysłowej i rolnej pozostaje poniżej planu. To samo, w jeszcze większym stopniu, dotyczy stopy życiowej. W grudniu 1969, na plenum KC, Breżniew wygłosił dramatyczną krytykę sytuacji w kraju. W ślad za tym poszedł apel do narodu, wzmocniony nowym projektem ustawy o dyscyplinie pracy. W warunkach gospodarczego kryzysu i napięcia, trzeba było skończyć z niesfornymi intelektualistami i naukowcami, z galopami Sacharowa, Amalrika, z anarchizmem Sołżenicyna itd. Padł na posterunku Twardowski.

W dziedzinie spraw międzynarodowych bilans także niewesoły. Na granicy z Chinami napięcie nie słabnie; toczące się od pół roku rokowania w Pekinie utkwiły w martwym punkcie. W Czechosłowacji normalizacja w pełni, ale interwencję i jej skutki trudno

uznać za ideologiczny i polityczny sukces. Rumunia nadal podskakuje, a Jugosławia sieje truciznę, atakując — z przyczyn, o których kiedyś porozmawiamy — neostalinizm na bardzo szerokim froncie i dogadując się z Chinami i nawet Albanią.

Pozostaje Zachód. Tu nareszcie — same sukcesy: miodowy miesiąc z NRF, przyjacielskie przekomarzania się z USA, nieustanne *dolce far niente* z Francją. Paradoksalnie jednak sukcesy wyłącznie zachodnie, przy kryzysie w kraju i w obozie, nie umacniają aktualnych lokatorów Kremla. Umacniają natomiast jedynych możliwych konkurentów, to znaczy marszałków. Dlaczego? Ano dlatego, że aby skutecznie i spokojnie współistnieć, aby jak równy z równym rozmawiać o redukcji rakiet i atomów, trzeba samemu być silnym. Jest to rozumowanie bezbłędne, a oznacza ono, że trzeba na wojsko przeznaczać sporo grosza. Ponieważ kasa jest pustawa, więc niewykluczone, że doszło do sporu między marszałkami a cywilami o podział bochenka. Wojskowi powiedzieli prawdopodobnie, że można z braku forsy, choć i tego szkoda, przegrać wyścig na księżyc, ale nie można osłabić parasola atomowego. Równocześnie wojskowi mogli powołać się na swoją dojrzałość polityczną, ujawnioną w ratowaniu dla socjalizmu zagrożonej Czechosłowacji w sierpniu 68 czy też w usunięciu Dubczeka w kwietniu 1969 i mogli poprosić o przywrócenie stanu rzeczy sprzed niełaski marszałka Żukowa, który był ostatnim wojskowym w Biurze Politycznym.

Jest jednak rzeczą wątpliwą czy wprowadzenie do Politbiura np. marszałka Greczki załatwiłoby cokolwiek w sferze spraw gospodarczych. I wojskowi chyba o tym także wiedzą, w związku z czym, choć mogą, to do formalnej władzy się nie pchają. Tym bardziej, że wszechobowiązująca w polityce doktryna o ograniczonej suwerenności i tak zakłada bezwzględny prymat kryteriów wojskowych.

W tej sytuacji, wszelkie niewykluczone przecież zmiany personalne mogą mieć obecnie jedynie drugorzędne znaczenie. Likwidacja Berii, usunięcie Mołotowa i tych co się do niego przyłączyli, przyjście Chruszczowa i XX Zjazd oznaczały ogromne zmiany w ZSSR — i na świecie. Wyrzucenie Nikity i nastanie „najsmutniejszego triumwiratu w historii" zmieniło już właściwie niewiele. Likwidacja obecnej władzy kolektywnej i narodziny kultu jednostki np. tow. Breżniewa nie wniesie zupełnie niczego, poza pogorszeniem efektywności zarządzania i ośmieszeniem do końca „socjalistycznej praworządności".

Rzecz jest bowiem znacznie bardziej skomplikowana i trudności wzrostu, trwające od 50 lat, nie znikną w wyniku zamiany tow. Kosygina na tow. Szelepina. Obecnie nie chodzi już o osobę przywódcy czy nawet garnitur przywódców. W ZSSR nie widać w tej chwili żadnej rezerwy ludzkiej, która by w ramach istniejącego porządku społecznego potrafiła wyłonić z siebie ekipę zdolną do zmiany stylu władzy, do wprowadzenia koniecznych reform w zarządzaniu gospodarką i zdemokratyzowania stosunków wewnętrznych.

Niektóre elementy koniecznych zmian zawarte są w słynnym już i znanym wszędzie — poza obozem socjalistycznym naturalnie — memoriale Sacharowa, Medwiediewa i Turczyna. Jest to dokument ogromnej wagi i niemniejszej naiwności. Choć pozbawiony jest aktualnie szans realizacji i choć jego autorzy ryzykują spotkanie w którymś szpitalu z gen. Grigorenką lub w którymś obozie z Jakirem czy Siniawskim, pozostanie ten dokument w historii ZSSR jako ważniejsze świadectwo czasu niż kolejne, znowu zmienione wydanie Historii WKP(b). *Toute la verité*, książka ogłoszona w Paryżu w roku 1970 oznacza rozgłos dla autora i pożytek dla społeczeństwa. Część prawdy ogłoszona w Moskwie w tym samym roku — to ryzykowny akt odwagi i głębokiego patriotyzmu.

Grypa ministra Gromyki

Żadnej odwagi nie wymagała natomiast decyzja min. Gromyki udania się do Pragi w marcu tego roku. Zgodnie z szalenie do niedawna modną w Moskwie epidemią grypy, w piątek, na kilka dni przed spotkaniem w Erfurcie, min. Gromyko poczuł się źle. Musiał więc odwołać przewidzianą na sobotę, ważną — bo ostatnią w bieżącej rundzie — rozmowę z przedstawicielem Brandta, Egonem Bahrem. W sobotę natomiast, dzięki przodującej medycynie i aspirynie „Bayera" — poczuł się zupełnie dobrze i pojechał na rekonwalescencję aż do Pragi, aby parafować tam projekt układu o wieczystej przyjaźni i wzajemnej pomocy między ZSSR a Czechosłowacją. Rzecz nie cierpiała zwłoki, jakoże układ ma być podpisany już w dwa miesiące później, 9 maja, w 25 rocznicę zwycięstwa.

Dziwny zbieg okoliczności sprawił jednak, że to właśnie w czasie pobytu min. Gromyki ogłoszony został komunikat o ostatecznej czystce w partii p. Husaka. Wydaleni zostali ostatni nie skompromitowani działacze „praskiej wiosny". Ambasador Dubczek został na razie tylko zawieszony (to i tak lepiej niż ambasador Morawski, który w podobnej sytuacji w Londynie został po prostu wyrzucony). Los sprawia, że w grupie zawieszonych Dubczek spotka niejakiego Novotny'ego, którego sam zawiesił przed dwoma laty, nie za porywy wiosenne co prawda, a za fabrykowanie procesów politycznych. W ten sposób kółko się zamyka, z tym, że emeryt Novotny ma szanse pozostania w stanie zawieszenia przez długi czas, natomiast ambasador Dubczek zostanie wyrzucony z partii na następnym zakręcie w lewo.

Obecność zakatarzonego ministra Gromyki w momencie proklamowania czystki nie może nie przypominać obecności innych emisariuszy sowieckich w ważnych chwilach w Pradze. Zorin był w 1948 roku, przypadkiem tuż przed zamachem stanu z lutego owego roku. Mikojan przybył w 1951 roku — przypadkiem tuż przed ostatecznym zdemaskowaniem syjonistycznego szpiega Slansky'ego, Greczko w kwietniu 1969 za pomocą jednego ultimatum

odmownie załatwił Dubczeka i posadził na jego miejscu Husaka. Takie byłoby skojarzenie pierwsze.

Po drugie — czystka ta jest początkiem znanej skądinąd akcji tzw. wymiany legitymacji partyjnych. Ok. 500.000 osób, czyli 1/3 obecnego stanu szeregów, ma zostać przy tej okazji wyrzucona z partii. Usunięcie Smrkovsky'ego i towarzyszy nadaje tej kampanii wzór do naśladowania przez wszystkich. Wiemy więc już kto wyleci. Wiemy również z jednego z najbardziej cynicznych komunikatów w historii „socjalistycznej demokracji", że „usunięcie z partii nie będzie oznaczać automatycznego usunięcia z pracy". Chyba, naturalnie, że chodzić będzie o stanowiska zastrzeżone dla prawdziwych komunistów. Będą więc w Czechosłowacji komuniści prawdziwi i prawdziwsi, równi i równiejsi. Czy ktoś z Państwa potrafi wyobrazić sobie ten radosny wybuch delatorstwa, jakie ogarnie szerokie rzesze prawdziwych komunistów, dla których czystka stanie się okazją dla awansu, do załatwienia niektórych porachunków osobistych.

Atrakcyjnych w tym kontekście Żydów w Polsce w roku 1968 było tylko kilka tysięcy, a ile było krzyku i radości w aparacie partyjnym i policyjnym. A tu 500.000. To są perspektywy!

Po trzecie wreszcie — postać samego Husaka. W chwili obejmowania fotela po Dubczeku, Husak miał poparcie elementów postępowych. Ludzie „wiosny" widzieli w Husaku, byłym więźniu stalinowskim, człowieka mogącego i chcącego ratować resztki „ludzkiego oblicza" socjalizmu, a przede wszystkim mogącego uchronić ich samych przed zemstą Indrów, Bilaków i innych sierot po Novotnym. Oczywiście, taka polityka nie mogła się udać. Doświadczenie Gomułki jest pod względem przekonywające, podobieństwa są tu wprost uderzające.

Proces dojrzewania Gomułki trwał kilka lat, Husak dojrzał w rok, niemniej analogie pozwalają na sformułowanie twierdzenia o nieuchronności i prawidłowości przejścia ustroju demokracji ludowej od wolnościowego skoku (wiosennego w Pradze, październikowego w Polsce) ku policyjnej dyktaturze konserwy. Dość trafnie opisał to, szkoda że w szalonym skrócie, Bieńkowski, przeanalizował Garaudy. Ta naukowa teoria wymaga jeszcze poważnych studiów, ale materiał faktograficzny jest wystarczający. Zresztą niektórzy amerykańscy socjolodzy podjęli już próby badania faszystowskich elementów w rozwoju niektórych krajów Europy Wschodniej.

Jednym z załączników do tego *dossier* jest sam Husak, który jest dziś więźniem i zakładnikiem w ręku elementów dogmatycznych lub też wręcz agenturalnych. Źródeł obecnych wydarzeń w Pradze należy bowiem poszukiwać również w sferze podporządkowania interesów Czechosłowacji strategii ZSSR. Albo więc, jak Gomułka, Husak postanowi sam kierować satelizacją swego kraju i wtedy pozostanie jeszcze na stanowisku. Albo zostanie po prostu usunięty. Nie będzie zresztą już wtedy potrzebny, brudna robota będzie zakończona

Po pierwszym pobycie w więzieniu Husak został zrehabilitowany. Kto go zrehabilituje po następnym wyroku?

Tramwaj zwany gniewem

Do znanych nam już kalendarzy: babilońskiego, egipskiego, żydowskiego, mahometańskiego, słowiańskiego, majów, rewolucyjno-słowiańskiego, wiecznego itd. itp., dochodzi obecnie jeszcze jeden kalendarz — niemiecki albo sowiecki albo sowiecko-niemiecki. Spójrzmy:

wizyta Brandta w USA — 5-11 kwietnia
rozmowy Polska-NRF w Warszawie — 21 kwietnia
rozmowy NRD-NRF w Kassel — 21 maja.

Dodajmy, że Brandtowi w USA towarzyszy jego negocjator z Moskwy, Egon Bahr, że trwają konsultacje „czterech" w sprawie Berlina, że trwa pogoń demoludów, a zwłaszcza Węgier, za zachodnioniemieckim pociągiem, że toczą się nieustannie jakieś rokowania gospodarcze i kooperacyjne, gdzie w centrum pożądliwego zainteresowania znajduje się kasa z west-markami, aby z całym przekonaniem stwierdzić, że cała zachodnio-europejska inicjatywa wobec Wschodu staje się powoli ulubionym *hobby*, zastrzeżonym dla kanclerza z Bonn.

Oczywiście, polityczna Bruksela — to ogromne targowisko próżności, gdzie krzyżują się najrozmaitsze interesy — pilnie a czasem nawet z niepokojem, śledzi ten recital zachodnioniemiecki. W kołach tzw. poinformowanych — a pośrednio i w druku — próbowano nawet przycinać nieco cugli zbyt samodzielnemu kanclerzowi, przypominając niedwuznacznie odpowiedzialność wielkich mocarstw za sytuację w Niemczech i wyrażając obawy co do wysokości ceny, jaką Brandt skłonny byłby zapłacić za odzyskanie niemieckiej *Salon-faehigkeit*.

Obawy te były tym głębsze, że fachowcy, tylko pozornie nudzący się w ogromnych gmachach „Europy i Atlantyku", zdają sobie sprawę, iż na tak wielu instrumentach Brandt nie gra solo. Rosjanie, mianowicie, są bardzo muzykalni i w rzeczywistości grają z Brandtem na cztery, powiedzmy, ręce.

Wróćmy bowiem do zacytowanego „kalendarium" (to szalenie modne słowo) i sformułujmy narzucający się wniosek. Oto wszystkie ważne spotkania mają swoje daty, z wyjątkiem tego jednego: między ZSSR a NRF. Rosjanie wolą oczywiście poczekać na rezultaty innych konfrontacji i rozmów, aby potem, jako odpowiedzialni za kraje, których suwerenność ograniczona jest przez proletariacki internacjonalizm, móc podsumować każdy kolejny etap przetargów. Taktyka ta pozwoli zarazem uniknąć komplikacji, które towarzyszyły marcowym rozmowom z Bahrem. Trzeba je było — jak już wiemy — przerwać pod pretekstem grypy ministra Gromyki, aby umożliwić odbycie ostatniego spotkania *po*, a nie przed spotkaniem w Erfurcie.

Rosjanie postąpili nad wyraz słusznie. Już bowiem pierwsze

spotkanie dwóch premierów narodu niemieckiego przyniosło wiele refleksji i wzruszeń. Po Erfurcie prasa zachodnia wzdychała: „ach, gdybyż to zależało tylko od Niemców", a co bardziej sentymentalni nasi koledzy na klęczkach — jak Styka — kreślili sylwetki obu mężów stanu: obaj Willi, obaj mówią po niemiecku, obaj antyfaszyści, obaj walczyli z Hitlerem za granicą, obaj szalenie uczciwi osobiście. Brandt urósł w tych relacjach do skrzyżowania Bismarcka z Albertem Schweitzerem, a Stoph nabrał cech erudyty, technokraty, przyjaciela biednych, mecenasa uczonych i artystów etc. Ich uścisk dłoni fotoreporterzy przenieśli do historii, a zawołanie „oni by to szybko załatwili" — trafiło na czołówki gazet.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie wmieszała się do tego publiczność. Na Niemców zawsze można liczyć, z wyjątkiem dziedziny humoru. Naród NRD-owski nie zrozumiał dowcipu i w Erfurcie rzeczywiście powitał Brandta jak swego człowieka i niemieckiego autentycznego przywódcę. Po raz pierwszy w historii tego państwa jego lud chciał i mógł powitać niemieckiego polityka z niekłamanym entuzjazmem i szczerą radością, zapominając o VOPO, dumie narodowej, o Ulbrichcie. Jeżeli wziąć pod uwagę okoliczności, to powitanie Brandta przez Niemców w Erfurcie można porównać tylko z powitaniem Nixona w Bukareszcie, de Gaulle'a w Warszawie i Tito w Pradze (tuż przed inwazją). Zachodni świat (wschodnia prasa nie pisnęła naturalnie słowa) ze zdumieniem oglądał przerwanie kordonów policji przez tak normalnie zdyscyplinowanych Niemców, z rozbawieniem oglądał „balkonowe sceny" na Bahnhofsplatzu w Erfurcie, no i z niesmakiem asystował przy głupiej próbie odizolowania kanclerza przy pomocy tramwaju i samochodów policyjnych. Do historii, razem z uściskiem dłoni obu Willi, przejdzie bezprecedensowe przerwanie transmisji NRD-owskiej TV w momencie przerywania kordonu, a przede wszystkim zupełnie komiczna próba kontr-uderzenia, polegająca na wysłaniu specjalnego *Komando* wiwatującego w parademarszu na pustym, jak z Kafki, placu na cześć ukochanego Waltera. Niesfornych gapiów, których trzeba było z placu usunąć, nazwano później w prasie — zupełnie jak w Polsce w marcu 1968 — „małą grupą prowokatorów", po czym — *Ordnung muss sein* — zostali oni najzwyczajniej w świecie aresztowani. Zażenowany kanclerz musi teraz uprzejmie zabiegać o to, aby jeszcze przed Kassel „prowokatorzy" odzyskali wolność.

Erfurcki fajerwerk oszołomił dziennikarzy, ale otrzeźwił polityków, przede wszystkim w Moskwie i Berlinie. Zrozumieli oni natychmiast, że spotkanie erfurckie odbyło się albo za wcześnie albo za późno, i że naród NRD-owski nie jest gotów do zbliżenia, lub też wprost przeciwnie — nazbyt tego zbliżenia pragnie. I dlatego, mimo że data drugiego spotkania, w Kassel, jest już ustalona, największym jego sukcesem będzie ustalenie daty i miejsca trzeciego spotkania. Wszelkie poważniejsze plany zbliżenia dwóch państw niemieckich należy na razie między bajki włożyć. Trudno liczyć w tych warunkach na choćby mały sukces w dziedzinie zhumanizowania stosunków w dziedzinie zerwanych przez *furor*

teutonicus połączeń telefonicznych, pocztowych etc., nie mówiąc już o kontaktach ludzkich i rodzinnych.

Krwawą „kropkę nad i" postawił ów żołnierz *Volksarmee*, który na swój sposób uczcił kanclerza Brandta, mordując nazajutrz po jego wyjeździe, ich wspólnego rodaka, usiłującego przebić „mur hańby".

I dla odprężenia — pewna propozycja. Premier Stoph wystawił Brandtowi w Erfurcie rachunek na 100 miliardów marek za wyprowadzenie z NRD przed postawieniem muru ok. 13 milionów obywateli. Nie wiem ile to wypada na jedną niemiecką głowę, ale proponuję, aby Brandt dołożył jeszcze 100 miliardów marek i wykupił następnych 13 milionów Niemców z NRD. W ten sposób za niewielkie stosunkowo pieniądze, problem dwóch państw niemieckich zostanie ostatecznie rozwiązany. Europa odetchnie i nawet dołoży nieco grosza.

Cały pogrzeb na nic...

Jeżeli nie liczyć Erfurtu, Targów Lipskich i sportu, to na łamy prasy światowej NRD wraca głównie przy okazji kolejnych ofiar przy murze hańby. Nie jest to ogromny sukces propagandowy, ale niektórzy twierdzą, że lepiej tak, niż wcale. Jeżeli ta teoria jest prawdziwa, to władzom z Warszawy należy złożyć gratulacje. Proces „taterników" pozwolił mianowicie na dość uporczywe trwanie tematu warszawskiego na dobrych miejscach zachodniej prasy. Naturalnie, nie udała się lansowana z Warszawy próba przekonania świata o solidarności polskiego społeczeństwa z władzami, nie udała się próba rozciągnięcia światowego odium na cały naród polski. Wbrew usilnym naleganiom prasy polskiej, nikt rozumny na świecie nie utożsamia bowiem obecnych przywódców z Polską, czy jej społecznością. Kraków leży co prawda niedaleko Tatr, ale żaden przytomny Belg nie kojarzy chóru Filharmonii Krakowskiej czy Jerzego Katlewicza z organizatorami procesu „taterników", podobnie jak nikt nie kojarzy znakomicie tu wykonanej przez polskich solistów i miejscową orkiestrę „Pasji św. Łukasza" Pandereckiego z jakimś plenum KC, wystąpieniem np. tow. Kępy czy karną ekspedycją przeciw wiernym z Chodkowa. Żaden student brukselski nie wierzył też w nagłą epidemię w zespole polskiego teatru studenckiego, mającą wytłumaczyć przyczyny jego nieobecności na niedawnym festiwalu w stolicy Belgii. Także sukces pani Demarczyk, która śpiewała „Pejzaż" i „Czarne anioły" w telewizji... flamandzkiej, nie potrafił przysłonić ujemnych skutków tej nagłej nieobecności.

Zresztą nawet wtedy, gdy wydaje się, że nasi przywódcy słyną tutaj nie tylko z procesów, ale i z pisarstwa, dochodzi do nieporozumień. Bo oto do żenująco skromnego polskiego stoiska na ogromnych Targach Książki w Brukseli podchodzi pewna starsza pani i wskazując palcem prosi o dzieło Zenona Kliszki na temat Powstania Warszawskiego. Wzruszona obsługa nabożnie

wręcza książkę, na co owa pani z uśmiechem pyta: „A czy to na pewno ten sam Kliszko co napisał „Judaizm bez maski", bo to ostatnio sporo się o tym pisze, słyszałam jednak, że to Rosjanin, więc niby skąd na polskim stoisku...". Powiało lodem, pani została odesłana do stoiska towarzyszy sowieckich, gdzie dzieł Kiczki też zresztą nie dostała. Nasi sprzedawcy stracili iluzje, i stracili klienta, nie mogli bowiem zaspokoić zainteresowania starszej pani dziełami choćby Walichnowskiego, Sidora czy Dziedzica. Nie przywieźli, towar widać nie chodliwy. Walichnowski zresztą — jak wynika z zapowiedzi wydawniczych — przerzucił się ostatnio na tematykę Górnej Adygi. *Sic transit...* a tak się dobrze zapowiadał.

Popularność dziwnymi chadza więc drogami, o czym można się przekonać na przykładzie paryskiej *Kultury*. Nagły skok rangi i poczytności tego miesięcznika należy zawdzięczać połączonym wysiłkom polsko-czecho-słowackich towarzyszy, którzy — dla celów jeszcze niezupełnie jasnych — postanowili spreparować „taterniczy" proces. Szczegóły tej ponurej imprezy są naszym czytelnikom znane, przejdźmy więc od razu do próby wniosków czyli podsumowania, które — jak to mawiał pewien sekretarz od ideologii — „będzie dobrze, ale nie beznadziejnie".

Po pierwsze więc — popularność *Kultury*, jej pozycja wśród intelektualistów nie tylko przecież polskich, znacznie wzrosła. Nie mogło zresztą być inaczej. Z jednej strony — cały aparat policji państwa polskiego, Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, cała prasa wielkiego kraju. Z drugiej — 5-ciu młodych polskich intelektualistów oraz skromny emigracyjny miesięcznik. Panowie, kto to wymyślił? Opisywałem już przed miesiącem katastrofalne skutki tego pomysłu dla jego autorów. 30 dni później na Zachodzie — i na Wschodzie — *Kultura* zyskała czytelników i sojuszników. I za to wam, panowie, brawo i *merci!*

Po drugie — ponownie nie udała się próba traktowania polskiej opinii publicznej jak stada baranów. Nikt nie uwierzył ani w to, że Kozłowski w sojuszu z Baumanem chciał oderwać Tatry od Polski i przyłączyć je do Izraela ani w to, że aby się buntować, polska młodzież musi czerpać siły z zagranicznej inspiracji („korzenie z Tel Aviwu"). Jest coś patologicznego i zawstydzającego w tym upartym powracaniu polskiej prasy do syjonistów i Izraela w kontekście marca, Tatr itp. Ponieważ zabrakło Żydów na ławie oskarżonych, to włączono do sprawy Baumana, Laptera, kilku świeżych emigrantów „po czerwcowych", znowu pojawił się przy tej okazji tajemniczy Szin Bejt czyli wszystkowidzący wywiad jednookiego p. Dajana. Całość wypadła zresztą bardzo śmiesznie, bo najbardziej kompletną listę starych, nowych, prawdziwych i urojonych pracowników pana Giedroycia z Paryża czy pana Nowaka z Monachium, ogłosiła... czechosłowacka *Tvorba*. Za tę chwilę zabawy, także, wam, panowie, brawo i *merci*.

Po trzecie — proces, okupiony tak wielkimi cierpieniami młodych, dobrych Polaków, zakończył się całkowitą klapą. O fatalnym echu na świecie już mówiliśmy. Teraz, jeżeli wierzyć dobrze

na ogół poinformowanej gazecie, jaką jest *Le Monde*, to w Warszawie ktoś zmądrzał i rozpoczął częściowe przynajmniej łagodzenie terroru i naprawianie ogromnych szkód wynikłych z procesu. Według *Monde*'u wyszli już z więzienia czekający na swoją procesową kolejkę świadkowie z procesu „taterników". W połączeniu z doniesieniami o wydrukowaniu Andrzejewskiego, wypuszczeniu za granicę Mycielskiego itp., daje to obraz charakterystycznej dla stosunków w Polsce pewnej odwilży, towarzyszącej zawsze niewielkiemu — i niekoniecznie postępowemu — przesileniu na szczycie partyjnym. Moczar i Kliszko też popijali w Spatifie z pisarzami i aktorami (niby koledzy przecież), co nie przeszkadzało im nasyłać chuliganów na Kisielewskiego itd. Znacznie od nich sprytniejsi Tejchma czy Olszowski (czy inni z tzw. młodych sekretarzy) chcą, być może, jakoś się odciąć od pałkarskiej schedy po dogmatykach i w swej drodze po całą władzę, zneutralizować koła intelektualistów. Machejek, Lenart czy, *pardon*, Dobrowolski („Głupia sprawa") prawdziwych pisarzy oczywiście nie zastąpią. Takie są być może źródła obecnej ofensywy uśmiechu. I za to, naprawdę, wam, panowie, także brawo i *merci*.

Po czwarte — mimo klapy procesu i być może częściowego *happy-end*'u, trudno o promienny uśmiech na twarzy. Po Żydach, rewizjonistach i taternikach, musi przyjść kolej na „cyklistów". Taka jest bowiem dialektyka rozwoju socjalistycznego totalitaryzmu, że musi on cyklicznie, co jakiś czas, bić własne dzieci. Przed sądami stają już nie agenci Izraela (to się teraz robi w ZSSR), wyrzucani z pracy nie są rewizjoniści, którzy przed laty proponowali reformę, jaką teraz stara się nieudolnie przeprowadzić Jaszczuk z nieboszczykiem Kuleszą. Teraz przyszła kolej na młodzież czysto polską, w Polsce urodzoną i w Polsce socjalistycznej za pieniądze górnika i chłopa wykształconą.

I to jest wniosek najstraszniejszy. Cyniczna i prymitywna zależność sprawia bowiem, że za nieuniknione odprężenie Zachód musi płacić rezygnacją z zasad, a Wschód — zaostrzeniem terroru. Nie wdając się w zawiłe rozważania, stwierdzimy, że dlatego właśnie inwazja Czechosłowacji była dla Francji tylko *accident de parcours*, a odwilży w stosunkach z USA i NRF, towarzyszą w ZSSR aresztowania pisarzy, Tatarów, Grigorenki i polowanie na syjonistów. Oczywiście, nie jest to korelacja prosta, ale to ona sprawia, że słaba i rozdarta wewnętrznie władza w Polsce uzupełnia współistnienie z Zachodem kneblowaniem opinii w kraju. Koszty płaci naród naturalnie, który ulega wymuszonej neutralizacji na oczach niemego i bezradnego Zachodu. Tym się właśnie charakteryzuje polski — i nie tylko polski — neostalinizm.

I — po piąte — tym ważniejsza i cenniejsza dla zdymisjonowanej opinii publicznej w kraju, staje się opozycja polska za granicą. W tym równoległym wzroście terroru w kraju, a opozycji za granicą także tkwi jakaś prawidłowość. Świadczy o tym powstanie w Rzymie czeskiej siostry paryskiej *Kultury*. *Literarni Listy* — to wspaniałe pismo, tak zrośnięte z „praską wiosną" jak „Po prostu" z polskim Październikiem — wychodzi znowu. Pelikan, Vaculik i inni mają znowu trybunę. Społeczeństwo Czechosłowacji ma swoje pismo, a policja z Pragi będzie zwolniona z konieczności korzystania z archiwów MSW w Warszawie i ze spartolonych dowodów „taterniczych". Odetchnie także wspomniana już *Tvorba*, która dla celów policji w Pradze musiała poświęcić paryskiej *Kulturze* specjalny i ogromny dodatek, w którym niejaki pan Hajn nieudolnie streścił cały dorobek naukowy p. Kolczyńskiego. Już, już MSW chciało prosić o rewanż ze strony bratniej policji z Pragi, kiedy w Pradze także klapa. Co prawda śledztwo trwa, ale Jiri Lederer, aresztowany przed trzema miesiącami za udział „w syjonistycznym spisku" kierowanym przez paryską *Kulturę*, został także wypuszczony na wolność.

Tak więc sumując wstępne wyniki tak mozolnie i brutalnie kleconego procesu, można tylko westchnąć za zawiedzionym żałobnikiem ze znanego dowcipu: „No i cały pogrzeb na nic".

Ale, niech MSW nie traci nadziei. Już niedługo rozpoczną się procesy syjonistów w ZSSR. Poczekajcie — i uczcie się — tam się wszyscy do wszystkiego przyznają.

BRUKSELCZYK

P.S. Z dużym opóźnieniem dotarł do nas numer *Życia Warszawy* z 15 marca br. Pod tytułem „Polityczny kameleon" znajdujemy tam utwór poświęcony osobie byłego sekretarza tej redakcji. Ów osobnik nazwiskiem Leopold Unger, obecnie — według *Życia* — pisuje pod pseudonimem Pol Mathil w prasie belgijskiej. Otóż, Leopold Unger napiętnowany jest przez *Życie Warszawy* za to m.in. że: jego komentarze są szczególnie jadowite, że odnalazł ojczyznę dopiero po wojnie sześciodniowej w 1967 roku, że kala własne gniazdo, że reprezentował polskie dziennikarstwo od Hawany aż po Chamonix, że był w pierwszych szeregach po zaszczyty, że grymasił w doborze mieszkań, że w ogóle miał zły charakter, a przed zemstą zespołu ratowała go tylko znajomość sztuki dziennikarskiej i że o neo-faszystowskich prądach w Polsce pisze w kraju, który wydał Degrelle'a i SS „Walonie".

Zwróciłem się do Leopolda Ungera, który po naradzie z Pol Mathil'em, przekazał mi następujące uwagi:

1) Inkryminowany utwór *Życia Warszawy* jest znamiennym wydarzeniem w karierze autora, p. Leszka Kołodziejczyka. Ów asceta dawno już zajmował się — skutecznie skądinąd — pisaniem na temat Leopolda Ungera. Nowość polega jednak na tym, iż po raz pierwszy utwór swój wydrukował w gazecie, zamiast, jak dawniej, zanieść go wprost na Rakowiecką.

2) To prawda, że Belgia wydała Degrelle'a i SS „Walonie". Tylko, że już 25 lat ich w Belgii nie ma. Natomiast Moczar, Hrabyk, Piasecki, Walichnowski, no i Kołodziejczyk w Polsce są.

3) Bolesnym i trafnym ciosem jest zarzut dotyczący fatalnego poziomu jazdy „kameleona" na nartach. Wyrafinowana celność tego uderzenia dorównuje jedynie decyzji władz celnych PRL,

które, w chwili kiedy Leopold Unger, ochoczo i z pieśnią na ustach opuszczał kraj „zaopatrzony — jak to eufemistycznie określa p. Kołodziejczyk — w papiery emigracyjne", skonfiskowały mu „w imię bezpieczeństwa państwa" srebrny żeton za zajęcie II miejsca w turnieju brydżowym w Jabłonnie. Widać, w sporcie sukcesy „kameleona" podejrzane są w ogóle.

4) W zjadliwej „pisaninie" Pola Mathila znaleźliśmy tylko jedno zdanie poświęcone redakcji, która „z Leopolda Ungera zrobiła dziennikarza". W komentarzu mianowicie do procesu „taterników" napisano, że: *Życie Warszawy* słynie z uporu w tropieniu spisków syjonistycznych", albowiem to ono doniosło, że „korzenie tej sprawy sięgają Tel Avivu". W całej pozostałej, skromnej liczbą i rozmiarami, twórczości Pola Mathila na tematy polskie, nie znaleziono natomiast ani jednego zdania, które by za: prądy faszystowskie wśród góry partyjnej, za ekscesy antysemickie aparatu policyjnego, za proces taterników i za bicie młodzieży, za sytuację gospodarczą i za 150-złotowe cło od jednego kilograma samochodu, za pacyfikacyjną wyprawę do Chodkowa i za wysłanie kilku milicjantów w charakterze polskiej reprezentacji na wystawę do Osaka, za nie wpuszczenie do Polski ekipy filmowej podsądnego z Aten, Jules'a Dassina, z powodu jej nieprawidłowego i niezgodnego z „prawem Werblana" składu narodowościowego i za napisanie i wydanie „Głupiej sprawy" Dobrowolskiego... obciążało odpowiedzialnością naród polski.

5) Jeżeli istotnie fatalne cechy charakteru Leopolda Ungera były — jak pisze p. Kołodziejczyk — równoważone znajomością sztuki dziennikarskiej, to doniesienie pióra p. Kołodziejczyka świadczy, iż musi on mieć zupełnie nadzwyczajny charakter.

B.

Pisane 9 kwietnia 1970 r.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO

RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:

6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kronika angielska

GAMES

Istnieją *strategic games, political games* i wiele innych intelektualnych *games*. Termin jest trudny do przełożenia na język polski choć nie jest polszczyźnie nieznany. Mówimy przecież o „grach wojennych" — a niektóre z owych gier wpłynęły decydująco na przedwojenną polską doktrynę wojenną.

Doskonałym przykładem innego typu gier jest znana książka Kahna i Wienera pod tytułem „Rok 2000", którą wielokrotnie cytowałem na tych łamach. Futurologia jest klasyczną grą intelektualną, ponieważ nikt nie wie jak będzie wyglądał świat w roku 2000 i... czy w ogóle będzie wyglądał.

W grach wojennych uczestnicy przyjmują pewne założenie i w oparciu o owe dane starają się wypracować możliwie najtrafniejszą strategiczną odpowiedź na dany problem. Podobnie futurologowie w oparciu o współczesne dane rozwojowe starają się wykreślić mapę przyszłości. Ogromną rolę we wszystkich tego typu grach odgrywają komputery, które myślą niepomiernie szybciej niż człowiek. Komputer liczy czy kalkuluje z szybkością światła — natomiast mózg ludzki kalkuluje niezmiernie wolno.

Konceptualne myślenie w znacznej mierze jest grą. Jeżeli ktoś pisze, że zorganizowane religie nie przetrwają następnych stu lat — to jest oczywiście czysta gra konceptualna, ponieważ nikt nie wie czy istotnie tak się stanie. Wartość intelektualna tego rodzaju gry polega na przemyśleniu problemu, na zebraniu i przeanalizowaniu materiału i na jasnym i logicznym zaprezentowaniu koncepcji.

W polskiej politologii (słowo brzmi pompatycznie lecz trudno je zastąpić innym terminem) *games* nie mają tradycji i są bardzo rzadko uprawiane. Do tej kategorii należą dwa moje ostatnie artykuły w *Kulturze* pod wspólnym tytułem „Może zdarzyć się i tak". Rozpatruję w tych artykułach pewne warianty sytuacyjne wychodząc z apriorystycznych założeń jak np. wojna rosyjsko-chińska.

Ponieważ Polacy na ogół nie są przywykli do „politycznych gier" — nie zdziwiłbym się gdyby za miesiąc któryś z moich kolegów po piórze napisał że... Mieroszewski twierdzi, że Sowiety oddadzą Polakom Lwów. Otóż w grach niczego się nie twierdzi. Tylko przyjmując pewne założenia analizuje się warianty szukając na nie najtrafniejszej politycznie odpowiedzi z pewnego określonego stanowiska, w naszym wypadku polskiego.

Games nie mogą być uprawiane tylko tam, gdzie doktryna polityczna jest jedna, statyczna i dogmatyczna. Cóż za ironia — bo przecież podstawowe twierdzenie marksizmu, że na początku i od początku była materia z której wszystko powstało włącznie z Marksem i marksizmem — jest czystej krwi *conceptual game*.

W języku polskim wyrażenie „gra", „gra słów", „gracz" — mają podźwięk ujemny. Może więc lepiej byłoby słowo *game* tłumaczyć w pewnych wypadkach jako myślenie spekulatywne.

System psychoanalizy Freuda dla jednych jest niemal religią — dla in-

nych oryginalną koncepcją — lecz tylko dla topniejącej mniejszości jest medycyną. Niemniej psychoanaliza jest wspaniałym osiągnięciem intelektualnym i owego osiągnięcia w niczym nie pomniejsza fakt, że Freud wywarł daleko głębszy wpływ na literaturę niż na medycynę. Intelektualna „gra" jest warta świeczki pod warunkiem, że uprawia ją intelektualista wielkiej klasy jak Zygmunt Freud.

MŁODZI I NIEZNANI

Przywilejem starych ludzi jak Londyńczyk jest krytykowanie młodych. Gdy byłem młody, ówczesne starsze pokolenie korzystało z owego przywileju w nadmiarze i krytykowało młodych bez miłosierdzia. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Na to by krytykować trzeba coś na dany temat wiedzieć. Nie wiem nic na temat młodzieży emigracyjnej i przyszłoby mi łatwiej napisać artykuł o studentach amerykańskich powiedzmy w Berkeley niż o młodzieży polskiej w Londynie. O młodzieży amerykańskiej ogłoszono mnóstwo książek, studiów socjologicznych itd. itp. O młodzieży emigracyjnej cicho i głucho.

Młodzi Polacy w Londynie nie zawsze byli równie milczący i niezauważalni jak obecnie. Był czas kiedy wydawali śmiałe i interesujące pismo p.n. *Kontynenty*. Na łamach *Kontynentów* — zwłaszcza gdy wychodziły pod redakcją Bogdana Czaykowskiego — ukazało się wiele kontrowersyjnych a czasem nawet odkrywczych artykułów nie mówiąc o doskonałej prozie, przekładach i poezji. Młodzi byli „słyszalni", widzialni i stanowili żywy fragment panoramy polskiego Londynu.

Dziś to się wszystko zmieniło. *Kontury*, które stanowią dodatek do *Dziennika Polskiego* są rozpaczliwie anemiczne i bez wyrazu. Rewolucyjne, zaangażowane pisma jak np. *Kultura* — wydają na emigracji starsi panowie a nie młodzi. Odnosi się wrażenie, że w świecie emigracyjnym wszystko jest „na odwyrtkę". Zbuntowane pokolenie to 60-ciolatki — natomiast młodzi są stateczni, konserwatywni i dyskretni.

Co roku odwiedza mnie spora garść młodych Polaków z Kraju. Dyskutujemy na temat sytuacji w Polsce — nicujemy artykuły w *Kulturze* — czasem bronię przed ich krytyką moich własnych książek.

Za czasów *Kontynentów* utrzymywałem bliski kontakt z grupą młodych, którzy współpracowali z tym pismem. Lecz obecnie od lat nie mam już żadnego kontaktu z młodymi i odnoszę wrażenie, że to co robimy w *Kulturze* po prostu ich nie obchodzi.

Niektórzy z piszących młodych stronią od nas bo drukują w Kraju. Jeżeli ktoś jest poetą średniej klasy łatwiej wydać mu tomik poezji w Warszawie niż w Londynie czy w Paryżu. Dla Warszawy jest pewnym „cymesem" wydać tomik poety emigracyjnego, który w ten sposób korzysta z politycznej taryfy ulgowej.

Pewien odłam młodych odszedł od nas na stałe. Od młodego Polaka, który jest obywatelem brytyjskim i członkiem Anglo-Polish Conservative Society trudno oczekiwać, że się będzie interesował procesem Taterników. Młodego pana tego typu interesuje zdobycie mandatu radnego Paddingtonu, czy innej *borough* londyńskiej a nie problematyka starszego pokolenia — czyli Polska.

Lecz ci co odeszli stanowią nieuchronną w naszych warunkach stratę, jakkolwiek nie stanowią większości.

Od p. Wiktora Moszczyńskiego otrzymałem osobliwy dokument zatytułowany: „Program działania dla młodzieży polskiej poza granicami Kraju". Pod programem widnieją podpisy następujących osób: Teresa Banaszak, Jerzy Ciszewski, Wiktor Moszczyński, Maria Paluch, Barbara Sołowińska, Jerzy Ścibor i Andrzej Tomaszewski.

Otóż program w większości punktów jest słuszny, truistyczny i przeraźliwie banalny. Mógłby doskonale wyjść z referatu młodzieżowego (gdyby taki istniał) kancelarii cywilnej prez. Zaleskiego. Jego autorem mógłby być konserwatywnie nastrojony urzędnik w wieku 70 lat. Program upstrzony jest frazesami w rodzaju „ideałów wolności i sprawiedliwości", „braterskiego współżycia narodów" itd.

Ciekawy jestem czy choćby jeden ze sponsorów cytowanej deklaracji czytał „2000 słów", czy Program Akcji — czy ulotki i odezwy studentów warszawskiego uniwersytetu z okresu tzw. wydarzeń marcowych.

Cytowane materiały wydane przez *Kulturę* można bez trudu dostać u Kombatantów lub w Bibliotece Polskiej.

Ruch rewolucyjny, dyskusje ideologiczne, ewolucjonizm, rewizjonizm — owa dynamiczna atmosfera, którą oddycha pokolenie walki i naporu w Kraju — to wszystko wydaje się być „inną planetą" dla młodych ludzi w Londynie.

Pięknie brzmią słowa o potrzebie utrzymywania dialogu z młodzieżą przybywającą z Polski. Dialog można prowadzić z pewnej określonej postawy. Cytowany program powiada, że celem owego dialogu winno być szerzenie wśród młodych z Kraju „naszych celów i ideałów". Jakich celów i jakich ideałów? Jakie są cele i ideały młodych w Londynie — tego z omawianego programu nikt się nie dowie. Powtarzam — program jest wymoszczony dobrymi chęciami — jest grzeczny i uczesany lecz nie ma w nim żadnej myśli czy koncepcji.

Współczesna Polska to jest burzliwa rzecz i trudno ją uwięzić w polonijnych, małomieszczańskich ramkach.

NAD GROBEM KOMFORTU

Przyjechałem do Anglii z Włoch w kwietniu 1947 roku jednym z ostatnich transportów wojskowych. W Anglii było biednie — żywność racjonowana a jedno jajko na tydzień nikogo nie może wprawić w dobry humor. Lecz pocztę w owych czasach roznoszono trzy razy dziennie w całym Londynie. List wrzucony w Paryżu przed południem lądował na biurku adresata w Londynie następnego dnia popołudniową pocztą. Od ćwierć wieku poczta odgrywa specjalną rolę w moim życiu ponieważ *Kultura* jest miesięcznikiem redagowanym poprzez korespondencję. Dziś w roku 1970 Anglia jest zamożna — toniemy w nieprawdopodobnej ilości towarów potrzebnych i niepotrzebnych — lecz poczta na moim Chiswick'u dostarczana jest dwa razy dziennie a list z Londynu do Paryża podróżuje często 5 dni.

Towarów jest coraz więcej lecz komfortu jest coraz mniej. Żyjemy coraz bogaciej, coraz bardziej luksusowo i coraz mniej wygodnie.

Zatrucie rzek, jezior i powietrza — to jest problem któremu poświęcono

dziesiątki książek. Lecz o zanikaniu komfortu — wydaje mi się nie napisano ani jednej książki. Brak komfortu to nie tylko zatłoczone i źle funkcjonujące pociągi czy nieregularnie dostarczana poczta lub wieczny hałas powodowany coraz większymi i potężniejszymi samolotami. Brak komfortu to przede wszystkim wieczna niepewność.

Przed wojną jeżeli ktoś miał bilet w kieszeni na pociąg czy samolot wiedział ze stuprocentową pewnością, że — wyjąwszy trzęsienie ziemi — wyjedzie czy odleci o przewidzianej godzinie czy minucie. Dziś nic nie jest pewne. Nie wiadomo czy samolot odleci, ponieważ nie wiadomo czy lotnisko nie będzie sparaliżowane choćby strajkiem straży pożarnych. Nie wiadomo nigdy czy na danym odcinku kolejki podziemnej nie ma strajku, względnie czy nie wprowadzono tzw. ruchu ograniczonego.

Albo jeszcze inny przykład. Za czasów mojej młodości stanowisko posłów a zwłaszcza ambasadorów było synonimem dostojnego komfortu i wygody. Piękne rezydencje, służba, samochody, wytworne przyjęcia. Dziś ambasadorów porywa się celem wymuszenia na własnym rządzie zwolnienia politycznych więźniów. Pewni ambasadorowie przypłacili życiem tego typu wymienne operacje. Porwanie ambasadora jako zakładnika stanowi pogwałcenie jednego z najstarszych praw naszej cywilizacji, lecz jeżeli cywilizacja załamuje się na jednym odcinku — dlaczego nie miałaby się załamywać na innych odcinkach.

Komputeryzacja w bankach, w przemyśle, w korporacjach publicznych jak gaz i elektryczność wprowadza nowy element niepewności ponieważ jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od poprawnego współżycia z komputerami. Wadliwie wystawiane rachunki trafiają się na porządku dziennym — czego dawniej nigdy nie było.

Owa niepewność powoduje, że w pewnych momentach zaczynamy tracić zaufanie w sprawność naszego systemu cywilizacyjnego. Wsiadając do samolotu nikt nie wie czy wyląduje w miejscu swego przeznaczenia — ponieważ samolot każdej chwili może być porwany a pilot zmuszony do zmiany kursu. Gmach wiktoriańskiego systemu z jego zasadą *safety first* rozsypał się jak domek z kart. W ubiegłym stuleciu komfort, spokój, cisza — dostępne były dla zamożnych — dziś nie są dostępne dla nikogo.

Strajki w wielu wypadkach zmieniły swój charakter. Robotnicy nie walczą dziś o płacę z której można się przyzwoicie utrzymać — lecz walczą o jak największy udział w dochodzie narodowym.

Obserwujemy nie tylko strajki i masowe demonstracje. Jak określić na przykład akcję następującą. Ludzie, którzy mieszkają wokół lotnisk londyńskich skarżą się ustawicznie na ogłuszający huk wielkich samolotów odrzutowych, które dniem i nocą przelatują dosłownie tuż nad dachami domów. Powołano komisje, które badają ten problem — lekarze obliczyli ile człowiek jest w stanie „skonsumować" hałasu i wibracji powietrza bez szkody dla zdrowia, lecz rozwiązania tej sprawy nie widać na horyzoncie. Przed kilku tygodniami nieszczęśnicy, którzy mieszkają wokół Heathrow Airport zawiązali komitet i przystąpili do akcji. O oznaczonej godzinie własnymi samochodami zablokowali drogi wiodące do lotniska. Oczywiście na autostradach powstał chaos trudny do opisania i policji zabrało sporo czasu opanowanie sytuacji. Ilu ludzi jadących na lotnisko spóźniło się na samoloty o tym doniesienia prasowe dyskretnie milczą.

Nowoczesna technologia powoduje tak szybkie różnorodne i przede wszystkim tak liczne zmiany w systemie naszej cywilizacji, że nawet najsprawniejsza administracja państwowa i samorządowa nie jest w stanie poradzić sobie z tym wszystkim. Wiele problemów nie wiadomo jak rozwiązać nawet gdyby były na ów cel pieniądze. Ów fakt, że technologia wyrasta niejako ponad głowę naszych administratorów — powoduje z kolei głębokie przemiany socjologiczne. Ludzie coraz częściej ujmują sprawy w własne ręce i podejmują akcję bezpośrednią. Powstaje cały szereg organizacji społecznych jak np. „Shelter", które spełniają nie tylko rolę grup nacisku na parlament i rząd lecz również rozwiązują trudne problemy w własnym zakresie.

W systemie, który zamiera na naszych oczach — obywatele dzielili się na tych co mówili i na tych co słuchali. Był to system — by użyć frazy McLuhan'a — sceny i widowni. Obecnie widownia zanika bo niemal wszyscy są na scenie. Wszyscy działają równocześnie na własną rękę co sprawia często wrażenie chaosu.

Nie zawsze ludziom chodzi o podwyżki płac. Parę miesięcy temu drużyna Rugby z Afryki Południowej objeżdżała Anglię i rozgrywała mecze z drużynami brytyjskimi. Drużyna południowoafrykańska zgodnie z doktryną *apartheid* składa się wyłącznie z białych graczy. W rezultacie każdy mecz był widownią gwałtownych demonstracji — byli ranni, pobici, aresztowani a ochrona policyjna owych zawodów sportowych kosztowała kilkanaście tysięcy funtów.

Zarysowuje się nowy typ demokracji nie tylko poprzez wybory lecz poprzez akcję bezpośrednią. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że społeczeństwo zaczyna naśladować klasę robotniczą, która akcją bezpośrednią osiągnęła ogromne sukcesy. Jeżeli robotnicy akcją bezpośrednią mogli zdobyć bardzo znaczne podwyżki płac — dlaczego mieszkańcy okolic Heathrow Airport nie mogliby akcją bezpośrednią wymusić na rządzie umniejszenia czy złagodzenia nieludzkiego hałasu powodowanego olbrzymimi odrzutowcami.

Trzeba zgodzić się z McLuhanem, że nie tyle przemiany technologiczne ile ich szybkość powoduje rewolucję. *Pollution* rzek, jezior, powietrza — jest również produktem szybkości przemian. Nim ktokolwiek zdał sobie sprawę z tego co się dzieje *pollution* już była jedną z największych katastrof jakie człowiek na siebie ściągnął.

Rozpoczęliśmy te rozważania od smętnej refleksji, że komfort i wygoda, które zapewniała nasza cywilizacja wielu choć nie wszystkim — zanikają pomimo niebywałego wzrostu zamożności i obfitości dóbr konsumpcyjnych. Komfort jest pojęciem indywidualnym a raczej indywidualistycznym. W nowej technologicznej cywilizacji nie ma miejsca na indywidualistów. W samolotach, które wożą tłumy wycieczkowców na wyspy kanaryjskie czy na afrykańskie „safari" — obserwujemy zamożne „standaryzowane" masy a nie indywidualistów. Każdego wieczoru dziesiątki milionów ludzi w niemal identycznych *livingroom*'ach obserwuje te same programy telewizyjne popijając tą samą *nice cup of tea*. Na ekscentryków w tym układzie nie ma miejsca.

W zakończeniu wypada stwierdzić co następuje. Przeżywamy rewolucję w niewspółmiernie większej skali i doniosłości niż tzw. rewolucja przemysłowa w ubiegłym stuleciu. Reperkusje socjalne rewolucji technologicznej są trudne do przewidzenia nawet dla zawodowych futurologów. Jedno jest pewne: rewolucje mogą być krwawe lub bezkrwawe, przerażające lub pasjonujące lecz nigdy nie są... komfortowe.

PINKVILLE PO RAZ DRUGI

Moja notatka o Pinkville w numerze Styczeń/Luty br. spotkała się z reakcją Czytelników zwłaszcza zza Oceanu. List p. Tadeusza Sołowija z Montrealu wydaje mi się typowy w tej sprawie. P. Sołowij pisze m.in. „Jestem pod wrażeniem tego co „Polrealizm" robi z niektórymi liberalnymi Polakami. Nieboszczyk Grydzewski uważał senatora MacCarthy'ego za „mądrego", Londyńczyk w notatce „Pinkville w perspektywie" wydaje się bronić lub przynajmniej usprawiedliwiać mordowanie cywilnych osób".

Ani nie bronię, ani nie usprawiedliwiam mordowania ludności cywilnej — przeciwnie podkreśliłem w mojej notatce, że winni masakry w Pinkville czy w innych miejscowościach powinni być postawieni przed sądem i ukarani z całą surowością prawa. Usiłowałem tylko wyjaśnić ludziom, którzy przeważnie prochu nie wąchali — jak to się dzieje, że takie ponure epizody jak Pinkville w ogóle się zdarzają. Mieszkając w Montrealu łatwo się jest powoływać na konwencje międzynarodowe, na prawo wojenne itd. Na linii frontu wygląda to wszystko zgoła inaczej.

Żołnierze są od tygodni niewyspani, od tygodni żyją w ustawicznym napięciu nerwowym i psychicznym, utracili bliskich kolegów — każdej chwili oczekują zasadzki — często nie są w stanie rozróżnić przyjaciół od wrogów, ponieważ jedni i drudzy są ubrani identycznie. Tego rodzaju stan jeżeli trwa dłuższy okres czasu wywołuje zmiany psychiczne i zmiany w reagowaniu na otoczenie. Żołnierz w takim napięciu i podnieceniu na wrogim terytorium strzela do wszystkiego co się rusza. Wie bowiem z własnego doświadczenia, że jeżeli nie on naciśnie cyngiel automatu — w najbliższych sekundach zrobi to ktoś inny kosztem jego życia. Wystarczy by w napięciu i zdenerwowaniu, mylnie rozpoznawszy sytuację, tylko dwóch żołnierzy otworzyło ogień z automatów by w danej sytuacji doszło do masakry. Wydajność nowoczesnej broni maszynowej jest przerażająca.

Nie można ucywilizować wojny. Doświadczenie historyczne uczy nas, że każda następna wojna jest bardziej totalna i okrutna niż poprzednia. Dzieje się tak dlatego, ponieważ dysponujemy coraz potężniejszymi instrumentami zniszczenia i gotowi jesteśmy wprzęgnąć całą nowoczesną technologię w dzieło zagłady. Nie bronię Pinkville — twierdzę natomiast, że wojny w której szanowane byłyby prawa ludności cywilnej już nigdy nie będzie. W każdej następnej wojnie Pinkville będzie nie wyjątkiem lecz regułą. Jak ktoś jest chory na ospę — wysypka jest drugorzędnym objawem. Przyczyną schorzenia jest infekcja. Trzeba wpierw zwalczyć infekcję by się pozbyć wojennej „wysypki" w rodzaju Pinkville.

P. Sołowij pisze, że nigdy nie służył w wojsku. Sądzę, że gdyby służył w wojsku w czasie wojny nie napisałby cytowanego powyżej listu.

DYSKUSJA Z CZYTELNIKAMI

Zacznijmy od wyjaśnienia paru spraw formalnych. Kilku naszych korespondentów zapytuje mnie dlaczego powołując się często na listy Czytelników nigdy nie cytuję ich nazwisk.

Otóż cytuje się nazwiska korespondentów tylko wówczas jeżeli jest się do tego wyraźnie upoważnionym. Jeżeli ktoś chce by jego opinia ukazała się w druku — pisze list do Redaktora *Kultury*, podpisany imieniem i nazwiskiem. Wielu Czytelników pragnie podzielić się z nami swoją opinią w takiej czy innej sprawie, lecz nie życzy sobie ujawniania nazwiska by nie narażać swych krewnych w Kraju lub nie utrudniać sobie zawiłej procedury w zdobyciu wizy reżymowej.

Otrzymałem kilka listów z zapytaniem dlaczego *Kultura* nie odpowiada na zarzuty i krytyki wysuwane przez pisma pro-reżymowe, drukowane za granicą. Czynimy to z zasady i dla zasady. Możemy dyskutować z komunistami z Kraju lecz nie z „wtyczkami" i agentami na emigracji. Komuniści w Polsce to są nasi przeciwnicy — natomiast emigranci, pracujący dla reżymu na obczyźnie to są po prostu zdrajcy. Ci panowie zdradzili nie tylko ideę dla której pozostaliśmy na emigracji — lecz również nie dochowali wierności najlepszym z nas, którzy leżą na cmentarzach w Tobruku i na Monte Cassino.

Program... program... program. Jedna z naszych Czytelniczek załamuje ręce, że tak wiele miejsca poświęcamy w *Kulturze* polityce tzn. „programowi".

Oczywiście *Kultura* mogłaby być magazynem literacko-kulturalnym, na wysokim intelektualnym poziomie jak nieodżałowanej pamięci *Horizon*. Osobiście, gdybyśmy mieli pieniądze (i ludzi!), których nie mamy — poparłbym z entuzjazmem pomysł wydawania obok *Kultury* czysto intelektualnego magazynu typu *Horizon*.

Lecz jest rzeczą śmieszną mieć pretensje do ślusarza, że nie sprzedaje lodów waniliowych. Gdyby ktoś zadał sobie trud i w najbliższej bibliotece przeglądnął kilkanaście pierwszych numerów *Kultury* znalazłby w nich założenie naszego pisma, które realizowaliśmy z uporem przez ubiegłe 25 lat. Jeżeli docieranie do Kraju i walkę o zmianę ustroju uznać za politykę i „program", to należy stwierdzić, że *Kultura* była pismem politycznym od pierwszego numeru i pozostanie pismem politycznym do ostatniego numeru.

Inny problem stanowi alergia. Mój dziadek nie jadał poziomek, ja również jestem alergiczny na poziomki. Pewien procent Czytelników jest alergiczny w stosunku do mojej publicystyki. Leży przede mną list naszej Czytelniczki ze Stanów Zjednoczonych, zaadresowany do Redakcji *Kultury:* Pani o której mowa pisze, że mój artykuł w styczniowym numerze pt. „Legat lat 60-tych" jest słuszny. Niemniej nasza Czytelniczka wyznaje, że ilekroć czyta Mieroszewskiego — „załamuje się nerwowo". Lektura mojej publicystyki jest dla niej odpychająca i działająca na nerwy, nawet wówczas gdy zgadza się z treścią danego artykułu.

To jest przykład prawdziwej „literackiej alergii". Podobnie, osobiście nie twierdzę, że poziomki są złe — twierdzę natomiast, że ten piękny owoc napełnia mnie odrazą.

Znam ludzi, którym artykuły Wacława Zbyszewskiego działają nieprzeparcie na nerwy. Lecz ja czytam je z wielką przyjemnością, nawet wówczas jeżeli z ich treścią całkowicie się nie zgadzam.

Mam przed sobą list Czytelnika, który pisze, że *Kultura* faworyzuje autorów żydowskiego pochodzenia. Ów Czytelnik wylicza dziesiątki nazwisk pisarzy *Kultury* z czego należałoby wnioskować, że w naszym piśmie obowiązuje „paragraf aryjski" *à rebours*. Kto nie jest pochodzenia żydowskiego nie ma w ogóle żadnej szansy drukowania w *Kulturze*. Ponieważ tego typu wypowiedzi nie są bynajmniej odosobnione postanowiłem zabrać głos w tej sprawie.

Znam hitlerowskie Niemcy z własnych doświadczeń i w moim odczuciu każda forma antysemityzmu cuchnie Gestapo. Antysemityzm stanowił podstawowy składnik najohydniejszej formy faszyzmu jaką wyprodukowała ludzkość. Nie może być uczciwego czy rozsądnego antysemityzmu. Antysemityzm jest zawsze hitleryzmem i czymś złym z definicji.

Każdemu wolno zgadzać się czy nie zgadzać się z polityką Izraela — tak jak każdemu wolno zgadzać się czy nie zgadzać się z polityką francuską czy brytyjską. Nikomu jednak nie wolno być antysemitą — to znaczy krzywdzić ludzi tylko dlatego, że są żydowskiego pochodzenia. Pisarze nie dzielą się na aryjczyków i nie aryjczyków — tylko dzielą się na wybitnych, przeciętnych i marnych. Ocenianie autorów kryteriami rasistowskimi jest czystym hitleryzmem.

Na czym polega polski antysemityzm?

W roku 1964 ukazały się w Krakowie fragmenty pamiętników Sobiesława i Stanisława Mieroszewskich w opracowaniu Henryka Barycza. Pamiętniki obejmują pierwsze lata ubiegłego stulecia i wskutek tego politycznie są bezpieczne. Prof. Barycz we wstępie do omawianej książki zauważa, że „Mieroszewscy żenili się przeważnie z zapobiegliwymi Niemkiniami".

Niech łaskawy Czytelnik zechce sobie wyobrazić, że prof. Barycz napisałby, że moi przodkowie żenili się z zapobiegliwymi Żydówkami. Prasa krajowa, która atakuje mnie niemal każdego dnia — nigdy nie wypomniała mi owych „zapobiegliwych Niemkiń". Wprawdzie Niemcom zawdzięczamy zburzenie Warszawy, masowe rozstrzeliwania i obozy zagłady — krew niemiecka w żyłach Polaka nie przynosi dyshonoru. Lepiej jest mieć 15 babek Niemek niż jedną babkę Żydówkę. Gdybym w moim rodowodzie posiadał choćby jedną babkę Żydówkę — prasa komunistyczna pisałaby stale i do upadłego o moim żydowsko-syjonistycznym pochodzeniu, które oczywiście automatycznie dyskwalifikowałoby mnie jako polskiego pisarza. Natomiast moje babki niemieckie nikomu nie wadzą — nawet komunistom.

W polskiej tradycji krew obca — choćby niemiecka — nie dyskryminuje. Krew żydowska dyskryminuje i to stanowi istotę polskiego antysemityzmu. Powtarzam to jest czysty hitleryzm bez względu na formę i argumenty przytaczane w tej sprawie.

Kultura nie może czynić obietnic w imieniu przyszłego demokratycznego rządu polskiego — lecz wyrażamy pogląd, że pozbawienie Polaków żydowskiego pochodzenia polskiego obywatelstwa było bezprawiem, które winno być naprawione a wszystkie krzywdy materialne i moralne z tym związane winny być wynagrodzone.

Może Izraelczycy wybaczą mi następującą sugestię. Izrael jak wiadomo jest historycznym i mistycznym Domem Izraela i w konsekwencji każdy Żyd, gdziekolwiek by się znajdował ma naturalne prawo powrotu do Izraela i automatycznie otrzymuje obywatelstwo swojej historycznej ojczyzny. Lecz osoba nie-żydowskiego pochodzenia — choćby była spokrewniona z rodziną izraelską nie korzysta z tych uprawnień. Nie-Żyd może otrzymać prawo pobytu, prawo pracy, korzystać z opieki społecznej — lecz zdobycie obywatelstwa dla takiej osoby jest rzeczą niezmiernie trudną.

Izrael jest krajem w fazie dynamicznego rozwoju i jest krajem pięknym i atrakcyjnym. Osobiście uważam Izrael za jeden z najpiękniejszych krajów, w których mi wypadło kwaterować w czasie mych wojskowych wędrówek.

Syjonizm jako postulat historyczny i polityczny został w pełni urzeczywistniony. Wydaje mi się, że obecnie nadszedł czas by zmodernizować Dom Izraela. Wybitny aktor i śpiewak izraelski Topol w czasie swego pobytu w Londynie powiedział, że Izrael ma więcej legend i pieśni niż ludzi. W mojej opinii gdyby Izrael traktował emigrantów nie-Żydów na równi z Żydami — ludzi by mu nie zabrakło. Jeżeli młody inżynier czy naukowiec osiedlający się w Izraelu — otrzymywałby po pięciu latach pobytu obywatelstwo — jak to jest przyjęte we wszystkich innych krajach świata — wówczas wielu uzdolnionych ludzi nie żydowskiego pochodzenia wybrałoby Izrael za swą przybraną ojczyznę.

Lecz w tej sprawie nie chodzi tylko o względy czysto praktyczne. Trudno jest walczyć z dyskryminacją w innych krajach jeżeli stosuje się dyskryminację w stosunku do obcych we własnym kraju. Jestem przekonany, że gdyby Izrael przyjął zasadę, że Izraelczykiem może być każdy bez względu na religię i pochodzenia narodowe — przyczyniłoby się to znacznie do wygaśnięcia antysemityzmu w świecie.

Anglikiem trzeba się urodzić. Lecz Brytyjczykiem może zostać każdy bez względu na religię i pochodzenie. Brytyjczycy obronili Anglię w drugiej wojnie światowej i Brytyjczycy stanowią dziś załogę przemysłu Zjednoczonego Królestwa. Identyczną politykę przyjąć musi Izrael jeżeli chce przetrwać i kwitnąć jako nowoczesne państwo.

W OCZACH PRZECIWNIKÓW

W każdym niemal artykule o *Kulturze* w prasie krajowej powtarzane są te same kłamstwa i wskutek tego nie ma powodu analizować tych prac. Czasem jednak z tych wypowiedzi można dowiedzieć się czegoś interesującego. W „Zagadnieniach i Materiałach" (Wydawnictwo Wydziału Propagandy i Agitacji KC PZPR) z 1. II. br. — ukazał się artykuł Wiesława Nowakowskiego pt. „Czemu służy paryska *Kultura*".

Na pytanie zawarte w tytule autor odpowiada następująco: „... przykładem prób kształtowania poglądów tzw. elity jest wydawanie w języku polskim w Paryżu miesięcznika *Kultura*".

W tym nie ma jeszcze nic interesującego ponieważ wszyscy to wiedzą. Interesujący jest natomiast podział autorów *Kultury* jaki przeprowadza p. Wiesław Nowakowski. Nasi Czytelnicy przypominają sobie interesujące a często rewelacyjne artykuły i książki Jedlickiego, Tyrmanda, Flemminga, Baumana itd. Jednak w ocenie p. Nowakowskiego „nie te publikacje stanowią o charakterze paryskiej *Kultury*".

Charakter *Kultury* — w opinii autora — wyznaczają prace teoretyczne. P. Nowakowski przytacza kilkanaście dłuższych cytatów z moich książek i w „Ewolucjonizmie" dopatruje się głównego zagrożenia.

W pierwszej chwili zdumiała mnie powyższa opinia. Dlaczego prace Pauliny Preiss czy Bieńkowskiego miałyby w mniejszej mierze formować poglądy elit niż moje książki?

Jednak po namyśle doszedłem do wniosku, że istnieje pewna logika w ocenie p. Nowakowskiego. W tym wypadku nie chodzi o wartość literacką czy jakąkolwiek inną danej książki. Jest wielce prawdopodobne, że za 10 lat nikt moich książek nie będzie czytał — natomiast powieści Tyrmanda jako literacki dokument epoki przetrwają. W tym wypadku chodzi tylko i wyłącznie

o jedną rzecz a mianowicie: o osobę adresata. Moje artykuły i książki, które p. Nowakowski nazywa „teoretycznymi" — pisane są z postawy socjalistycznej i zaadresowane są przede wszystkim do komunistów. Nie mieszam komunistów z błotem, nie piszę o „małości w socjalizmie" — lecz mobilizując skromną znajomość marksizmu jaką posiadam, staram się komunistów odwieść od totalizmu i zdobyć dla socjalizmu. Zawodowi antykomuniści na emigracji i stalinowcy w Kraju — wykpiwają owe usiłowania. Lecz istnieją dziś dostateczne dowody do twierdzenia, że moje artykuły i książki jako instrument oddziaływania w postępowych kołach komunistycznych są doceniane a może nawet przeceniane. Do walki z wiatrakami nie byłoby powodu organizowania takiej ofensywy jaką prowadzi się przeciwko *Kulturze*.

Fermentu w Kościele Katolickim nie wywołują ateiści — choćby tak znakomici jak niedawno zmarły filozof Bertrand Russell. Ferment wywołują chrześcijańscy rewizjoniści — duchowni i świeccy, którzy walczą o bardziej współczesny model chrześcijaństwa niż ten jakiego broni konserwatywna Kuria Rzymska. Chrześcijaństwo jest sprawą chrześcijan i tylko przez chrześcijan może być zreformowane.

Fermentu w świecie komunistycznym nie wywołują choćby najbardziej utalentowani pisarze antykomunistyczni. Dlatego ci pisarze nie stanowią zagrożenia. Komunizmu nie zreformują antykomuniści i antysocjaliści. Komunizm jest schizmą socjalizmu i zreformowany być może tylko przez socjalistów i komunistów. Walczymy o model socjalizmu demokratycznego i w tej walce biorą udział zarówno rewizjoniści w Kraju jak i postępowi socjaliści na emigracji. Zagrożenie dla reżymu stanowią ci, którzy socjalizmu nie odrzucają tylko przeciwnie pragną by zatriumfował.

Każdy socjalista jest z definicji marksistą — podobnie jak każdy chrześcijanin uznaje autorytet Biblii. Nie chodzi więc o odrzucenie marksizmu tylko o jego nową interpretację. Marksizm jest zachodnią doktryną i oczyszczony z wschodnich wypaczeń (leninizm) mógłby stanowić fundament nowoczesnego demokratycznego ustroju. Przez „europeizację" Rosji to właśnie należy rozumieć.

W sumie, tak reżym w Polsce jak i Sowiety boją się przede wszystkim radykalnej lewicowej myśli płynącej z Zachodu a nie boją się ani antykomunistów ani prawicowych sowietologów.

GOMBROWICZ

Londyński *Dziennik Polski* z 3 kwietnia napisał, że „.... w Polsce panuje przekonanie, iż władze ogłoszą w stosownej chwili raporty o emigracji, które nadsyłał im Gombrowicz".

Gombrowicza nigdy w życiu nie widziałem, nie korespondowałem z nim, nie był mi ani bratem ani swatem. Niemniej zamieszczanie tego rodzaju notatek jak wyżej przytoczona — wydaje mi się obrzydliwe. Nie podając żadnych faktów *Dziennik Polski* stara się wpłynąć na opinię emigracyjną torując drogę podejrzeniu, że Gombrowicz był po prostu agentem reżymu. Pomiędzy pisaniem listów do Iwaszkiewicza a składaniem raportów o emigracji władzom reżymowym jest zasadnicza różnica.

Nie bronię Gombrowicza lecz wydaje mi się, że w tej sprawie należy podkreślić dwa punkty. Gombrowicz w Argentynie żył w wielkiej biedzie.

Należy pamiętać, że co innego jest być biednym w Anglii a co innego jest być biednym w Argentynie. I punkt drugi. Listy Gombrowicza do Iwaszkiewicza miały charakter ściśle prywatny i Gombrowicz z całą pewnością nie przypuszczał, że Iwaszkiewicz ogłosi je drukiem.

Wielu z nas w różnych okresach korespondowało z pisarzami krajowymi. Otrzymywałem listy od Marii Dąbrowskiej, korespondowałem okazyjnie z Ludwikiem Morstinem i wielu innymi, których nie wymieniam ponieważ żyją.

Iwaszkiewicz jest dla mnie antypatyczną postacią i listy Gombrowicza do niego nie są budujące. Lecz insynuowanie, że Gombrowicz pisał raporty na emigrację do władz reżymowych — to jest zarzut zupełnie innego kalibru. Podkreślam jeszcze raz, że obrzydliwość notatki *Dziennika Polskiego* polega na tym, że insynuuje nie podając żadnych faktów i przerzuca odpowiedzialność za ową insynuację na Kraj („w Polsce panuje przekonanie").

O Jerzym Giedroyciu i o niżej podpisanym ukazało się w Kraju szereg broszur i książek, które roją się od kłamstw. Gdyby reżym wydał sfałszowane raporty Gombrowicza — nie byłaby to pierwsza „operacja" tego typu podjęta przez władze komunistyczne. Insynuacja w *Dzienniku Polskim* urabia opinię emigracyjną tak, by ewentualne fałszerstwa o Gombrowiczu fabrykowane przez reżym, Polacy na emigracji przyjęli za dobrą monetę.

Można Gombrowicza lubić lub nie lubić. Można *Ferdydurke* uważać za arcydzieło, lub przeciwnie za bzdurę — faktem natomiast jest że, by użyć patetycznej lecz prawdziwej frazy — mało pisarzy emigracyjnych przydało tyle chwały imieniu polskiemu co on. Dlatego powinniśmy go bronić przed zakusami osobników, którzy chcą zbezcześcić jego imię.

LONDYŃCZYK

PROTESTY W SPRAWIE KURONIA I MODZELEWSKIEGO

W rzymskim *Espresso* z 29. III. 70 i w *Unità*, organie włoskiej partii komunistycznej, ukazał się następujący list:

Do posłów na Sejm PRL
Odpisy: Związek Literatów Polskich
Ambasada PRL w Rzymie

Panowie Posłowie,

zwracamy się do was nie jako politycy, lecz jako intelektualiści i artyści. Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, skazani już w roku 1965, otrzymali podwojony wymiar kary; dajemy wyraz alarmowi, jaki w włoskich kołach intelektualnych wywołał wyrok tak ciężki za przestępstwo, które siłą rzeczy należy nazwać przestępstwem w dziedzinie poglądów. Jesteśmy przekonani, że nie ma demokracji tam gdzie nie ma wolności krytyki; i dlatego wzywamy was do przedsięwzięcia kroków, zmierzających do jak najszybszego przywrócenia wolności Kuroniowi i Modzelewskiemu, aby mogli dalej służyć z pożytkiem demokracji polskiej. Jesteśmy pewni że wy, członkowie parlamentu narodu który wydobył się z najbardziej ponurego ucisku, zrozumiecie przyczyny — nie tylko humanitarne, lecz polityczne i kulturalne — dla których nie jest rzeczą ani słuszną ani użyteczną więzić wolnych obywateli za wyznawane przez nich poglądy.

Alberto MORAVIA — *Italo CALVINO*
Pier Paolo PASOLINI — *Giuseppe UNGARETTI*

Sąsiedzi

ZSSR u progu lat 70-tych

Przed paru miesiącami Związek Sowiecki wkroczył w ostatni rok bieżącej pięciolatki (1966-1970) oraz reformy gospodarczej. Kiedy w roku 1965 zapoczątkowano tę reformę wiązało się z nią wiele nadziei na ulepszenie systemu sowieckiego. Słowo „nadzieja" nie oddaje nawet w pełni ówczesnego oczekiwania rezultatów głębokich i rozległych reform.

Związek Sowiecki, drugie mocarstwo światowe, osiągnął swoją potęgę przemysłową stosując głównie ekstensywne metody produkcyjne. Wyobrażano sobie, że Sowiety dysponują niewyczerpanym zasobem sił roboczych. Wierzono, że wszystkie trudności najłatwiej pokona się przy pomocy spotęgowanego do granic ekscesu systemu centralizacji i przy użyciu środku przymusu. Ten przymus stosowano dalej po usunięciu opartego na terrorze stalinowskiego systemu panowania.

Oświecone siły w szeregach inteligencji sowieckiej, kadry techniczne, a nawet biurokracja partyjna buntowały się już w latach sześćdziesiątych przeciwko tej zacofanej mentalności, która wypływała z metod myślenia praktykowanych we wczesnej fazie uprzemysłowienia. Najbardziej dociekliwa i rozległa dyskusja na tematy gospodarcze związana jest z nazwiskiem ekonomisty charkowskiego, prof. Libermana. Myślą przewodnią tych rozważań było uznanie, że przedsiębiorstwo nie jest ostatnim ogniwem odbioru dyrektyw i rozkazów narzucanych z góry, lecz podstawową komórką gospodarki, że w ramach przedsiębiorstwa ludzie odpowiedzialni za kierownictwo i produkcję sami mogą i muszą podejmować szereg decyzji, i to decyzji od których zależy dynamiczny rozwój i prawidłowe funkcjonowanie całej gospodarki narodowej.

Profesor Liberman domagał się, ażeby bodźce materialne i dążenie do zysku uznane zostały za najważniejsze dźwignie rozwoju gospodarczego. Wielu teoretyków sowieckich uznało — podobnie jak to czynili reformatorzy w innych krajach socjalistycznych, szczególnie w Czechosłowacji — że sztuczny podział na bodźce materialne i moralne (typowy produkt pseudoidealizmu biurokracji partyjnej) jest czymś całkowicie fałszywym, ponieważ jedne wiążą się ściśle z drugimi. W okresie rządów Chruszczowa kierownictwo sowieckie nie obawiało się spontanicznych dyskusji, pod warunkiem że odbywały się one w określonych ramach i nie przekraczały pewnych granic. Oczekiwano nawet pewnych korzyści po tych dyskusjach, choć trzeba tu przy tej okazji podkreślić, że *ani Chruszczow, ani później Kosygin nigdy nie zamierzali identyfikować się z postępowymi uczestnikami dyskusji.* Ten fakt należy szczególnie podkreślić w odniesieniu do Kosygina, którego nie tylko zachodni dziennikarze, ale nawet niekiedy i sowietolodzy sławią jako technokratę, rzecznika podniesienia stopy życiowej ludności, protektora zwolenników reformy itd. W ogóle przypisuje mu się wiele przyjemnie dla serca i ucha brzmiących właściwości i poglądów.

Kosygin był istotnie ojcem reformy gospodarczej z roku 1965, której najważniejszym celem było z jednej strony rozszerzenie autonomii przedsiębiorstw, z drugiej zaś umocnienie centralistycznego kierownictwa gospodarką. Zapowiedziano, że ministerstwa rządu centralnego zrezygnują z administracyjnych metod kierowania i zastąpią je „metodami ekonomicznymi", a to w tym celu, aby nie trzymać przedsiębiorstw pod kuratelą, ale być im pomocnymi w ich działalności. Uznano także fakt, że dążenie do osiągnięcia zysku stanowi niezwykle dynamiczny motor i że należy dążyć do tego, aby przedsiębiorstwa w rosnącej mierze same zainteresowane były podnoszeniem i ulepszaniem produkcji. Uzgodniono także, że sowiecka gospodarka narodowa winna przejść z ekstensywnych na intensywne metody pracy i orientować się w przyszłości nie jednostronnie na ilość, lecz w równym stopniu na jakość. Równocześnie jednak właśnie Kosygin odpowiada za to, że szereg tradycjonalistycznych metod kierowania gospodarką oraz instytucji nie został odpowiednio przystosowany do potrzeb reformy, lecz przeciwnie: owe przestarzałe metody i instytucje zostały uznane za wyraz norm „leninowskich", za typowe i obowiązujące w każdym ustroju socjalistycznym.

Nawet w tych skromnych ramach, w jakich została podjęta w r. 1965, reforma była skierowana przeciwko ociężałej biurokracji i przeciwko stałym a niekompetentnym interwencjom funkcjonariuszy partyjnych. Już za czasów chruszczowowskiej reformy z roku 1957 dochodzi do głosu rozeznanie, że to sam system hamuje skutecznie rozwój gospodarki. Gdziekolwiek jednak z takiego rozeznania próbuje się wyciągać praktyczne konsekwencje natychmiast odzywa się instynkt samozachowawczy systemu, który poczynania te albo dusi w zarodku albo też metodą przeciwdziałających zarządzeń powoduje ich degenerację.

Chodzi nie tylko o gospodarkę

Byłoby błędem sądzić, że reforma gospodarcza z roku 1965 miała na celu jedynie modernizację metod kierowania, rozsze-

rzenie uprawnień przedsiębiorstw oraz racjonalizację i zwiększenie produkcji. Związek Sowiecki osiągnął nowy etap rozwoju uwarunkowany w części elementami sytuacji międzynarodowej. O wiele większe znaczenie posiadają tu jednak procesy wewnętrznego rozwoju społeczeństwa.

Najpierw parę uwag o sytuacji demograficznej. Liczba zatrudnionych stanowi 90 % osób zdolnych do pracy zarobkowej, przy czym zaznaczyć należy, że nie zawsze można w pełni polegać na sowieckich danych statystycznych. Bezrobocie przybrało dość poważne rozmiary szczególnie w małych miastach i pośród młodych robotników. Nie zmienia to jednak w niczym faktu, że rezerwy niewykorzystanych sił roboczych są coraz mniejsze i będą nadal się zmniejszały. W planowaniu zakładano dotychczas, że dwie trzecie wzrostu produkcji przemysłowej zostanie osiągnięte przez zwiększenie liczby zatrudnionych. W przyszłości nie można będzie opierać się na takich założeniach. W ostatnich latach naturalny przyrost ludności ulegał raptownemu zmniejszeniu, szczególnie w europejskiej części Związku Sowieckiego. Demografowie i socjologowie wyliczyli, że ten przyrost naturalny wystarczy w najlepszym wypadku na pokrycie zapotrzebowania nowopowstających zakładów. Innymi słowy: tylko przez poważne zwiększenie wydajności pracy można będzie zapewnić w przyszłości rozwój gospodarki sowieckiej. W analizach zachodnich fakt ten jest często niedostrzegany: dla systemu sowieckiego staje się sprawą egzystencji to, czy biurokracji partyjnej uda się zastosować w kierownictwie gospodarką najnowsze osiągnięcia nauki i techniki.

Jeżeli w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych nie przyjdzie do wojny atomowej — wszystko zaś przemawia za tym, że istotnie nie grozi ona światu — wówczas o potędze mocarstw przemysłowych nie będą decydowały rakiety i czołgi, lecz zdolność do przyswojenia sobie zdobyczy rewolucji naukowej i technicznej. Nie dotyczy to li-tylko gospodarki, ale wszystkich dziedzin życia, poczynając od działalności aparatu administracyjnego a kończąc na systemie organizacji rozrywek po pracy. I tak dochodzimy do pytania: co stało się z sowiecką reformą gospodarczą z roku 1965? Jaki można sporządzić bilans z początkiem piątego roku od podjęcia tej reformy? Czy kierownictwu sowieckiemu udało się uzyskać jakieś pozytywne wyniki, poprawę sytuacji gospodarczej, czy też tradycyjne metody rządzenia okazały się silniejsze?

Biurokratyczne idiotyzmy w roli „norm leninowskich"

Krótko przed zapowiedzią reformy nie tylko koła gospodarcze ale i kierownictwo polityczne uznały, że podstawowym problemem jest stosunek przedsiębiorstw do planów produkcyjnych. System kierowania gospodarką zmuszał przedsiębiorstwa do bronienia się wszelkimi środkami przed napiętymi planami gospodarczymi. Wykonanie planów wiązało się zawsze z korzyściami, nic więc dziwnego, że przedsiębiorstwa starały się te plany możliwie zaniżać. Reformie przyświecała myśl, że im wyższy będzie udział przedsiębiorstwa w wypracowanym zysku tym większe będzie jego zainteresowanie w zwiększeniu produkcji, gdyż to umożliwi jeszcze większe zyski. Gdyby tę myśl choć w części zrealizowano musiałoby to zapoczątkować zrewolucjonizowanie rozwoju w Sowietach. Nowe ustawy przewidywały, że przedsiębiorstwa otrzymywać będą z góry tylko ogólne wytyczne planu. Ustalenie asortymentu produkcji miało być już pozostawione kierownictwu przedsiębiorstwa.

Cóż kiedy w ostatnich czterech latach rozwój szedł akurat w odwrotnym kierunku. Ministerstwa, przede wszystkim zaś kierownictwo planowania, uznały że odgórne ustalenie szczegółowego asortymentu produkcji posiada „wagę państwową". Tak więc w rezultacie nic się nie zmieniło w utrzymywaniu przez biurokrację przedsiębiorstw pod kuratelą.

W tych warunkach przedsiębiorstwa bronią się jak dawniej przed zawyżaniem planów produkcyjnych i walczą stale o ustalenie jak najniższych cyfr planu. Sowieccy socjologowie, ekonomiści i prawnicy obserwują z niepokojem ten rozwój. Sprawom tym poświęcono wiele artykułów w prasie, omawiano je na różnych konferencjach. Najbardziej instruktywne były dwie rozmowy „przy okrągłym stole" zorganizowane przez czasopismo *Sowieckoje gosudarstwo i prawo*. Protokoły z tych rozmów ogłoszono w numerach 5/1969 oraz 1/1970 tego czasopisma.

Sprzeczne z ustawą interwencje Gospłanu i ministerstw świadczą o tym, że nie widać śladu z planowanego kierowania „metodami ekonomicznymi", że nadal w pełni stosuje się znane z dawnych czasów metody administracyjne. Bardzo negatywne rezultaty przynoszą praktyki Gospłanu przy ustalaniu zadań produkcyjnych dla przedsiębiorstw. Uwzględnia się przy tym nie tylko rozporządzalny aktualnie potencjał produkcyjny przedsiębiorstwa, ale również jego zwiększenie w ciągu okresu objętego planem przez zainstalowanie nowych maszyn i urządzeń. Rzecz polega jednak na tym, że terminowe dostawy tych maszyn i urządzeń należą w Sowietach do rzadkości, na porządku dziennym są opóźnienia trwające rok i więcej. W rezultacie założenia planowe opierają się na przesłankach irracjonalnych, co działa demoralizująco na przedsiębiorstwa i zabija wszelkie zainteresowanie w podwyższeniu zadań planowych. Podczas wspomnianej wyżej rozmowy w redakcji czasopisma sowieckiego jeden z urzędników ministerialnych opisywał jaką to reakcję łańcuchową o wielkim zasięgu wywołują podobne praktyki. Na skutek nie wykonania ustalonych na papierze założeń planu sparaliżowana została praca całych gałęzi przemysłu. Zakłócenia tego typu w przemyśle chemicznym sprawiły, że w roku 1968 przemysł włókienniczy nie był w stanie produkować różnych materiałów z włókien syntetycznych. W rezultacie ucierpiały też znacznie obroty handlu hurtowego i detalicznego.

Wprost groteskowo przedstawia się polityka cen. Reforma gospodarcza miała usunąć panujące na tym odcinku niedomagania

przez dostosowanie produkcji do potrzeb i życzeń odbiorców. Najważniejszym wskaźnikiem miała się stać dla przedsiębiorstw „realizowana produkcja", to znaczy ta część produkcji globalnej, która została sprzedana konsumentom. Eksperci handlowi i naturalnie sami konsumenci byli zachwyceni perspektywą, że teraz wreszcie nabywca stanie się królem. Aby ten stan osiągnąć należało oczywiście prowadzić elastyczną i realistyczną politykę cen. Dyrektor jednej z wielkich fabryk włókienniczych informował o sytuacji w branży, która — jak mogłoby się wydawać — stosunkowo najłatwiej mogła rozwiązać ten problem. Sklepy detaliczne są dokładnie zorientowane w tym, czego poszukuje klient, zamawiają więc odpowiednie łatwo zbywalne i modne towary u hurtownika albo wprost u wytwórcy. Taka procedura przyniosłaby wszystkim zainteresowanym zadowolenie. Ale praktyka wygląda zupełnie inaczej, jak wynika ze skarg wymienionego dyrektora. Wytwórcy często są zmuszeni do skreślania z planu produkcyjnego właśnie tych towarów, które są na rynku najbardziej poszukiwane. Przyczyną tego jest postępowanie państwowego komitetu cen, który albo ustala dla handlu detalicznego ceny tak wysokie, że ten cofa zamówienia w obawie, że klienci nie będą tak drogich towarów kupować i że będą one zalegały półki sklepów, bądź też narzuca handlowi hurtowemu ceny tak niskie że produkcja nie opłaca się wytwórcy. Mamy tu więc do czynienia z zupełną samowolą i bezmyślnością, ale są jeszcze inne praktyki, które przywodzą na myśl powiedzenie: „W tym szaleństwie jest metoda". Zyski przedsiębiorstwa orientują się według nakładu pracy, rentowność stanowi w zasadzie 50-60 % nakładu pracy. Czym jednak jest ten nakład pracy jeśli nie sumą płac. Im większy jest fundusz płac robotniczych tym większa jest, według tej logiki, rentowność przedsiębiorstwa. Mamy tu klasyczny przykład biurokratycznego idiotyzmu: przedsiębiorstwo, które celem podniesienia wydajności pracy wprowadza racjonalizację metod produkcji, instaluje nowoczesne, zmniejszające pracochłonność maszyny i zwalnia zbędne siły robocze, osiąga w myśl tej logiki mniejszy stopień rentowności a więc i mniejsze zyski. Nieuniknionym następstwem tej „polityki gospodarczej" jest to, że zwraca się ona przeciw celom zamierzonym przez reformę gospodarki. Dyrektorzy zakładów produkcyjnych przestają być zainteresowani w modernizacji swego przedsiębiorstwa i jego produkcji, nie chcą produkować tanich towarów, pozwalają, aby wszystko szło dawnym torem. A w rezultacie cierpi na tym odbiorca-klient. Wymieniony poprzednio dyrektor fabryki tekstylnej oświadcza otwarcie: pracując według starych metod jego przedsiębiorstwo może osiągnąć zyski w przeciętnej wysokości 6 mln. rubli. Jeśli jednak przeszedłby na nowoczesne metody produkcji i zaczął wytwarzać poszukiwane na rynku a niezbyt drogie towary — wówczas zyski roczne zakładu spadłyby do trzech mln. rubli.

Wiele takich przykładów można by tu cytować, nie są one bowiem odosobnione. Dają one obraz tego, w co wyrodziła się owa w r. 1965 tak szumnie proklamowana reforma gospodarcza.

Znany ekonomista prof. Birman apelował na przełomie roku w dwóch artykułach do odpowiedzialnych czynników. Pierwszy artykuł ukazał się w grudniowym numerze *Nowawo Mira*, kiedy jeszcze redaktorem był Twardowski, drugi w *Literaturnoj Gazecie* z 11 lutego 1970. Birman domaga się zasadniczych korektur w dotychczas stosowanej praktyce, większych uprawnień dla przedsiębiorstw, rezygnacji z „administracyjnych metod" i stosowania zapowiedzianych „ekonomicznych metod" kierowania, jak również demokratyzacji administracji gospodarczej. W piątym roku od uchwalenia reformy zarówno naukowcy jak i dyrektorzy zakładów domagają się dokładnie tego samego, mianowicie urzeczywistnienia tego, co uroczyście zapowiedziano w związku z uchwaleniem reformy gospodarczej już w roku 1965.

Następstwa polityczne i socjalne

Kierownictwo sowieckie probuje usprawiedliwić błędy i nieudolność pozornie przekonywującym argumentem: koniecznością zwiększenia wydatków wojskowych w związku z zaostrzającym się konfliktem sowiecko-chińskim. Na granicy chińskiej zainstalowano nowe bazy rakietowe, na terenie Mongolii ponadto utworzono szesnasty środkowo-azjatycki okręg wojskowy. Trzeba było przeznaczyć potężne środki na budowę dróg i koszar, doprowadzenie wody i prądu elektrycznego. Wszystkie te tłumaczenia odpowiadają prawdzie, ale co mają one właściwie wspólnego z wymienionymi poprzednio metodami kierowania gospodarką? Gdzie istnieje związek przyczynowy między wykwitami idiotyzmu biurokratycznego a rakietami na granicy chińskiej? Należałoby raczej powiedzieć, że im lepiej funkcjonuje gospodarka narodowa tym łatwiej przychodzi rozszerzyć potencjał militarny.

Polityczne następstwa niepowodzenia reformy gospodarczej sięgają bardzo głęboko. Rozpatrując dzisiejszą strukturę sowieckiego systemu rządzenia od strony socjologicznej stwierdzić można, że opiera się ona *na sojuszu biurokracji partyjnej z biurokracją rządową*. Symbolicznie reprezentują ten sojusz Breżniew i Kosygin. Być może w życiu 66-letniego Kosygina bywały takie momenty, kiedy rzeczywiście był on związany z technokratami. Gdy po upadku Chruszczowa został on prezesem rady ministrów warszawska *Polityka* poświęciła mu piękny artykuł biograficzny. Można tam było wyczytać, że Kosygin jest tym człowiekiem, którego osobiście znają tysiące dyrektorów i techników w przedsiębiorstwach i że wszyscy ci ludzie widzą w Kosyginie swojego człowieka. Do tego stwierdzenia polskiego tygodnika dodać można tylko co następuje: Kosygin jest klasycznym przedstawicielem ociężałej biurokracji ministerialnej i wszyscy postępowi naukowcy i managerowie uważają go za kulę u nogi i za człowieka, który zawiódł pokładane w nim nadzieje.

Dlatego też nie należy uważać za wyssane z palca pogłoski o tarciach i różnicach poglądów w sowieckim kierownictwie par-

tyjnym. Ktoś musi być pociągnięty do odpowiedzialności za zaniedbania i niepowodzenia ostatnich lat. Sprawa jest dlatego tak poważna, że chodzi tu — jak już podkreśliliśmy w innym miejscu — o coś znacznie więcej, niż wypełnianie lub niewypełnianie planów. W społeczeństwie sowieckim zarysowują się nowe napięcia i konflikty. Powstał niemal jednolity front dyrektorów przedsiębiorstw i personelu technicznego przeciwko obecnemu kierownictwu. Ekonomiści udzielają im pełnego poparcia. Po raz pierwszy chyba w dziejach państwa sowieckiego wystąpiła na widownię publiczną tak liczna grupa kompetentnych osób, która dostrzega wyraźny i bezpośredni związek między systemem a niedającymi się dłużej ukrywać niepowodzeniami. Ludzie ci — podobnie jak profesor Birman w swoich artykułach — próbują przeforsować pewne korektury. Niektórzy idą znacznie dalej i zmierzają do zmiany podstaw teoretycznych, które biurokracja sowiecka uczyniła tabu, określając je jako testament Lenina. Niedawno poddano krytyce ekonomistę B. W. Rakickiego, który w swej pracy „Formy chozjajstwennogo rukowodstwa predprijatjami" dowodzi, że musi się zmienić funkcja centralnych organów w społeczeństwie sowieckim. Powinny one przejąć rolę arbitra, nie zaś tego który reguluje całokształt życia gospodarczego.

Nie tylko Rakicki, lecz także wielu dyrektorów przedsiębiorstw domaga się, aby uprawnienia przedsiębiorstw zostały rozszerzone w możliwie największym stopniu i aby zaczęto przestrzegać praw rządzących rynkiem w gospodarce socjalistycznej. Żądania takie potwierdzają, jak żywotne są idee jugosłowiańskiego modelu i czechosłowackich reformatorów. Organ KC KPZS *Socjalistyczeskaja Industrija* podnosił niedawno z oburzeniem, że żądania Rakickiego i innych jemu podobnych nie są niczym innym jak próbą umniejszenia roli partii w społeczeństwie. Podobnie jak w polemice z reformistami czechosłowackimi, biurokraci posługują się tu niedozwolonymi chwytami. Reformiści są, jak wiadomo, sami komunistami i dalekimi od chęci pomniejszania roli partii, chcą jej tylko przydzielić inną rolę społeczną, a mianowicie rolę siły integrującej i sterującej w miejsce dotychczasowej roli administratora. Myśli takie nie powstaną z pewnością w głowach Breżniewów i Kosyginów, jakkolwiek nie są one żadnym „wymysłem imperialistycznym", lecz po prostu pragmatycznym żądaniem, wysuwanym w interesie społeczeństwa sowieckiego.

Ofiarą błędów i nieudolności biurokracji są obywatele sowieccy. Tych ludzi, żyjących w Sowietach dziś, w roku 1970, nie można porównać z tymi, którzy żyli w roku 1953. Nie można bez końca domagać się wyrzeczeń i ofiar, istnieją tu pewne granice. Jedna z wielkich różnic w porównaniu z dawniejszymi czasami polega na tym, że ludzie w Sowietach są dziś o wiele lepiej i coraz lepiej poinformowani o tym, jakie są przyczyny dzisiejszego stanu rzeczy w społeczeństwie sowieckim, a także o tym, jakie zmiany dokonują się na całym świecie. Przywódcy sowieccy wiedzą dobrze, że manipulowanie opinii publicznej jest dziś o wiele trudniejszą rzeczą niż przed 15 laty. Przestarzałe kierownictwo partyjne nie dorasta do dzisiejszych zadań i nie jest w stanie stworzyć żadnej alternatywy do prowadzonej obecnie polityki. Jest to jeden z powodów stałego przesuwania się na pozycje dogmatyczne, propagowania militarno-patriotycznego wychowania i skłaniania się coraz częściej do metod represji. Taktyka ta nie może być jednak zaakceptowana nawet przez konformistycznie nastawioną część ludności w sytuacji, kiedy stawką gry jest egzystencja systemu sowieckiego. Wiele rzeczy wskazuje na to, że nawet w obrębie biurokracji rządowej zarysowuje się otwarty konflikt między przedstawicielami starej szkoły a siłami nastawionymi krytycznie i nie obawiającymi się reform. Odpowiedzialni urzędnicy ministerialni przyłączają często swe głosy do krytyki sposobu przeprowadzania reformy gospodarczej.

Koniec solidarności w obrębie biurokracji partyjnej

To jest tło obecnie napiętej sytuacji wewnętrznej i stanu niepewności w sowieckich gremiach kierowniczych. W myśl statutu XXIV zjazd partii powinien być zwołany jeszcze w tym roku. Wszystko przemawia jednak za tym, że nie odbędzie się on przed początkiem roku 1971. W czerwcu tego roku odbędą się wybory do Rady Najwyższej ZSSR, tego sowieckiego „parlamentu", który ma następnie powołać rząd. Czas, którym dysponują Breżniew i Kosygin, jest krótki. Już w najbliższych miesiącach rozstrzygnie się czy w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych nadal kierować będą losami drugiej potęgi świata. W tej sytuacji staje się interesujące jaką taktykę obierze Breżniew i grupa jego zwolenników i jak zamierzają się oni zachować wobec nadchodzących wydarzeń. Już teraz możliwa jest dokładna odpowiedź na to pytanie.

Przez pięć lat po obaleniu Chruszczowa Breżniew i Kosygin usiłowali wszelkimi środkami utrzymać solidarność biurokracji partyjnej. W latach tych nastąpiło wiele ważnych wydarzeń: wiosną 1966 został zwołany XXIII zjazd partii, uchwalono reformę gospodarczą, doszło do gwałtownych starć między kierownictwem partii a pisarzami, skazano setki, jeśli nie tysiące, młodych przedstawicieli inteligencji szczególnie z republik związkowych na kary wieloletniego zesłania do obozów pracy o zaostrzonym reżymie i wreszcie miała miejsce interwencja sowieckiej armii oraz jej sojuszników w Czechosłowacji. Mimo tych burzliwych czasów biurokracja partyjna okazała zadziwiającą stałość. Breżniew i Kosygin próbowali zapobiegać za wszelką cenę konfliktom i pracowali nad stworzeniem trwałej bazy swego panowania.

Ta solidarność biurokratów partyjnych należy jednak dziś do przeszłości, rozstrzygnięcie zapadło na grudniowym plenum KC KPZS. Na plenum tym Breżniew odczytał ważny referat sprawozdawczy. Był to zaiste dramatyczny dokument o „sytuacji narodu i państwa". Nie został on opublikowany w prasie, ale z licznych omówień organów partyjnych wynika, że stał się punktem wyjścia wewnętrzno-partyjnej dyskusji, której wyniki zostały w między-

czasie opublikowane w piśmie *Partijnaja żiźń* oraz innych organach. Z tego omówienia można wnioskować, że Breżniew i Kosygin posłużyli się podobną taktyką, jaką stosowali przed nimi często Stalin i Chruszczow: za niedomogi panujące w kraju obciążyć odpowiedzialnością część nieudolnych, skorumpowanych moralnie i nieprzestrzegających dyrektyw funkcjonariuszy partyjnych. Breżniew i Kosygin, w pełni odpowiedzialni za różne błędne decyzje, za utrzymanie stalinowskiego mechanizmu panowania i inne praktyki, występują dziś w roli rzeczników i adwokatów niezadowolonych obywateli, kobiet, które aby nabyć funt soli biegać muszą do sąsiedniej wsi, czy tych młodych robotników z Karagandy, którzy proszą na ulicy o pozwolenie przypalenia papierosa „bo u nas nie można nigdzie dostać zapałki". Ostrej krytyce poddano różnych funkcjonariuszy partyjnych szczególnie w Rosyjskiej Federacji oraz w republikach środkowo-azjatyckich. Na szczególną wzmiankę zasługuje jednak to, co zaszło niedawno w Azerbejdżanie.

W dniach 20-21 marca obradowało plenum KC KP Azerbejdżanu, podczas którego pierwszy sekretarz KC, Aliew, odmalował w swym referacie bez osłonek sytuację panującą we wszystkich dziedzinach życia republiki. Wymienił on szereg funkcjonariuszy, którzy dopuścili się najróżniejszych przewinień, jak korupcja, oszustwo, kumoterski stosunek do złodziei mienia publicznego itd. Szereg funkcjonariuszy zostało odwołanych, szczególnie rozległa czystka objęła ministerstwo spraw wewnętrznych. Odwołany został sam minister, jego zastępca i kilku innych odpowiedzialnych urzędników. Ta szeroko zakrojona czystka aparatu biurokratycznego miała być pouczeniem dla mas, że szajka złodziei i łobuzów, która zagnieździła się na kierowniczych stanowiskach, ponosi odpowiedzialność za wszystkie bolączki i że kierownictwo partii zdecydowało się przeciąć ten wrzód. „A wy, obywatele, pomóżcie nam w tym zadaniu wykrywania i usuwania winowajców!" — tak mniej więcej apelowali do ludności ludzie Breżniewa. Już w grudniu ub. roku odwołano nagle przywódcę partii Turkmenii, Owiesowa. W Azerbejdżanie pozbawiono Kjasimowa funkcji sekretarza KC. W obu wypadkach mowa była o złej pracy. Zaś całkiem niedawno wysłano na emeryturę szefa rządu Kazachstanu, Bejsebajewa, mimo że jest on znacznie młodszy od Kosygina i jeszcze do niedawna odznaczał się dużą aktywnością.

Z prasy wiadomo, że ta fala czystek objęła także stolicę Moskwę. Wiele przemawia za tym, że liczni sekretarze Okręgów w Federacji Rosyjskiej pozbawieni zostali urzędów. Prasa partyjna donosiła mianowicie o ich nieudolności i grubych błędach w pracy. Warto tu może nadmienić, że najgwałtowniejsze ataki skierowane były przeciw tym funkcjonariuszom, którzy szybko awansowali za czasów Chruszczowa, jak również tym, którzy zaliczani są do bliskich współpracowników a nawet przyjaciół premiera Rosyjskiej Federacji i członka politbiura — G. I. Woronowa.

Widzimy więc jaką taktykę obrał Breżniew. Być może nie ma on innego wyboru chcąc wzmocnić swą pozycję w kierownictwie.

Jego głównym atutem jest fakt, że w kierownictwie partii brak jest odpowiednich i popularnych ludzi, którzy mieliby szanse wyprzeć go i uzyskać większość w komitecie centralnym dla przeprowadzenia nowej obsady politbiura. Z tą taktyką związane jest jednak poważne ryzyko: pogłębiają się różnice i tworzą nowe fronty w obrębie biurokracji partyjnej. Cała armia młodszych funkcjonariuszy średniego i wyższego szczebla wystawiona na nieufność i podporządkowana kurateli często już zużytych i nieudolnych aparatczyków czeka niecierpliwie na jakiś przełom. Nie są oni ani liberałami ani zwolennikami „nowego kursu", są po prostu przekonani o tym, że lepiej potrafiliby pokierować biegiem wydarzeń niż obecni kierownicy. W tych warunkach trudno o wysuwanie optymistycznej prognozy na najbliższą przyszłość.

Borys LEWICKYJ

Twardowskij - "Nowyj Mir"

Historia lubi się powtarzać, szczególnie w Związku Sowieckim. Mało kto dziś pamięta, że był niegdyś świetny miesięcznik literacki *Krasnaja Now*, pierwszy *tołstyj żurnał*, założony w 1921 r. pod patronatem samego Lenina. Redaktorem naczelnym był wybitny krytyk Aleksander Woronski, który potrafił skupić najlepsze pióra owych czasów i grupę krytyków (Łunaczarski, Fricz, Gorbow), kształtujących i komentujących oblicze literatury sowieckiej w powijakach. Tam ujrzały światło dzienne „Armia konna" i „Opowiadania odeskie" I. Babla, „Złodziej" L. Leonowa, „Zawiść" J. Oleszy, „Cement" F. Gładkowa, „Pociąg pancerny 14-69" Ws. Iwanowa i wiele innych dzieł „złotego wieku" tej literatury. Do stałych współpracowników należeli Jesienin, Majakowski, Bagricki, Asiejew, Katajew i Płatonow. Ale ponieważ Woronski, współtwórca grupy literackiej „Pieriewał", głosił prawo artysty do szczerej i swobodnej wypowiedzi i kierował się w swej pracy redaktorskiej kryteriami czysto literackimi, w krótkim czasie stał się solą w oku sfory pisarzy pośledniejszego gatunku, skorych jednak do administrowania i komenderowania twórczością innych. Wszczęto wściekłą nagonkę obwiniając Woronskiego i jego pismo o negowanie nurtu proletariackiego w literaturze i o pobłażliwość wobec tzw. pisarzy-„*poputczikow*". Nie pomogły zasługi rewolucyjne i wysokie protekcje, Woronski zmuszony był ustąpić ze stanowiska redaktora w 1927 r. A dalej potoczyło się wszystko utartym trybem: zarzut trockizmu, usunięcie z partii, areszt w 1937 r. i pośmiertna rehabilitacja. Fadiejew i osławiony

Jermiłow owładnęli *Krasnuju Now*, która przestała odgrywać jakąkolwiek rolę w życiu kulturalnym Związku Sowieckiego i cicho dokonała żywota w 1942 roku.

Jest rzeczą symptomatyczną dla rozwoju literatury sowieckiej, że wszyscy jej wielcy, wyrastający ponad poziom twórcy, skazani są na ciężki żywot, szykany i nieuchronną zagładę. Jest chyba jakaś metoda w tym szaleństwie, że musieli zginąć od kuli czekisty lub wskutek głodu i katorgi w łagrach w rozkwicie swoich sił twórczych pisarze tej miary co Babel, Pilniak, Wiesioły, Mandelsztam, Kolcow, Korniłow i Iwan Katajew, że doprowadzono do samobójstwa Jesienina, Majakowskiego i Cwietajewą, że zaszczuto Płatonowa, Zoszczenkę, Bułgakowa, Grina, Zabołockiego i Pasternaka, by mogły bez przeszkód brylować miernoty typu Fadiejewa, Fiedina, Gribaczowa, Surkowa, Sofronowa, Koczetowa, Czakowskiego *et leurs consorts*. Pamięć o tych praktykach pogłębia nasz niepokój o los Sołżenicyna.

Chociaż u kolebki *Nowowo Mira* w 1925 r. stał również Łunaczarski i nowe pismo przejęło pewne tradycje i grupę współpracowników *Krasnoj Nowi*, to jednak przez długie lata aż do śmierci Stalina niczym szczególnym się nie wyróżniało. Jego redaktorzy naczelni, przeważnie dziennikarze o nie wygórowanych ambicjach, woleli nie ryzykować, preferowali tematykę zamierzchłej przeszłości, z oportunizmu i strachu drukowali utwory słabych pisarzy, prześcigających się w dytyrambach na cześć genialnego Ojca Narodów. Poziomem swoim *Nowyj Mir* niczym nie odbiegał od szarzyzny *Oktiabria*, *Mołodoj Gwardii*, *Znamieni* czy też *Zwiozdy*. Ta sama plejada niezawodnych pewniaków politycznych z Wiszniewskim, Sobolewem, Isakowskim, Babajewskim i różnymi smirnowami i wasiliewami zasilała swoją przaśną produkcją łamy tych wszystkich czasopism. Gęsto lał się lukier i nie było żadnych kłopotów.

W 1950 roku redaktorem naczelnym został poeta średniego talentu, Aleksander Twardowski, urodzony w 1910 r. na Smoleńszczyźnie jako syn wiejskiego kowala. Jego pierwsze poematy na początku lat trzydziestych, rodzajowe obrazki i wierszowane kroniki, traktujące o przemianach wsi sowieckiej, wstępującej w rajskie stadium życia kołchozowego, odstraszały samymi tylko tytułami: „Droga do socjalizmu" i „Wstępowania". Taki sam był też leitmotyw olbrzymiej wierszowanej kobyły „Strana Murawija", za którą autor zafasował w 1936 r. mało zaszczytną nagrodę stalinowską. W czasie wojny Twardowski tłukł się po frontach i pisał bardzo przydatne wówczas agitki patriotyczne. Z tych frontowych tułaczek i zetknięcia się z autentyczną masą żołnierską powstał wyjątkowy poemat „Wasyl Tiorkin", który zdobył sobie niemal rangę eposu ludowego. Pełna przedniego humoru i szczerych ludzkich uczuć rubaszna gawęda żołnierska o przygodach prostego piechura Tiorkina, który ucieleśnia sobą najlepsze cechy współczesnego Rosjanina, urzeka nas zespoleniem elementów

baśniowych z szarą rzeczywistością okopów i biwaków[1]. Druga nagroda stalinowska za ten poemat i w rok później trzecia za „Dom przy drodze" umocniły pozycję Twardowskiego i otworzyły mu drogę do KC. W miarę upływu czasu poezja jego mężnieje, wyzbywając się naiwnych uproszczeń i akcentów bezkrytycznej aprobaty. Coraz częściej rozbrzmiewa nuta niepokoju i winy wobec narodu, by wyrazić się najdobitniej już po śmierci Stalina w obrachunkowym poemacie „Za dalą — dal".

W 1950 r. Twardowski objął po Simonowie stanowisko redaktora *Nowowo Mira* i nic nie zapowiadało doniosłych zmian. Aż dopiero pod koniec 1953 r., kiedy już nie stało ni Stalina, ni Berii, skromny pisarz Włodzimierz Pomierancew wystąpił z artykułem „O szczerości w literaturze", bezlistosną krytyką konformistycznej postawy pisarzy sowieckich. Rozpętała się burza, większość dyskutantów oceniła głos Pomierancewa negatywnie, a prezydium Związku Pisarzy wyniosło w sierpniu 1954 r. rezolucję „O błędach miesięcznika *Nowyj Mir*". Twardowski, jeden z głównych inicjatorów fali odwilżowej, musiał z kolei ustąpić fotel redaktorski Simonowowi, koniunkturalnemu liberałowi, który miał do odpokutowania wiele grzechów przeszłości. Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że to właśnie Simonow zapoczątkował nową linię miesięcznika i dobrał sobie stałych współpracowników, ludzi o wyrobionym smaku, którzy, nie korząc się przed piastującymi wysokie godności miernotami literackimi, stosowali w doborze materiału kryteria artystyczne i literackie i nie wahali się stawiać na talent i młodość. Serię reprezentacyjnych dla nowej linii utworów zainicjował w 1956 r. Dudincew swoją prekursorską w obrachunku ze stalinowskimi metodami, chociaż artystycznie słabą, powieścią „Nie samym chlebem". Wtedy też podniosły się pierwsze zarzuty nihilizmu i przewagi czarnych kolorów w odtwarzaniu rzeczywistości.

W 1958 r. Twardowski powrócił na swoje stanowisko i znacznie wzmocnił kościec redakcyjny w ciągłej o zmiennym nasileniu walce ze stalinowcami, Gławlitem i Agitpropem KC. Tu należy się parę słów ludziom *Nowowo Mira*, wiernym pomocnikom Twardowskiego, którzy wywarli niemały wpływ na ostateczne ukształtowanie się postawy swego szefa.

O linię polityczną miesięcznika dbali zastępca Twardowskiego A. Kondratowicz i sekretarz redakcji H. Zaks, usunięty przy pierwszej próbie zamachu na *Nowyj Mir* w 1967 r. Najważniejszy i na-

1. Miarą wartości tego poematu jest fragment listu Iwana Bunina z 10 września 1947 do swego starego przyjaciela, moskiewskiego pisarza M. Tieleszowa: „Przeczytałem właśnie książkę A. Twardowskiego „Wasyl Tiorkin" i nie mogę się powstrzymać, aby nie poprosić Ciebie, jeśli go znasz i spotykasz, przekazać mu przy okazji, że ja — czytelnik, jak Ci wiadomo, swarliwy i wymagający — jestem całkowicie zachwycony jego talentem. Zaiste, rzadka to książka... Być może, że zostanie autorem tylko jednej takiej książki, zacznie się powtarzać, gorzej pisać, ale i to można mu będzie przebaczyć za Tiorkina".

dający ton pismu dział prozy artystycznej spoczywa w ręku dwóch skromnych mrówek redakcyjnych, nieludzko przeciążonych czytaniem setek maszynopisów — krytyków Annie Berzer i Innie Borisowej. To one pierwsze poznały się na walorach wielu głośnych dzisiaj nazwisk w świecie literackim. Stale rozwijającym się i dynamicznym działem krytyki i publicystyki kierował potężny sztab wybitnych i bezkompromisowych krytyków: I. Winogradow, A. Diemientiew (usunięty również w 1967 r.), W. Łakszyn — autor głośnego polemicznego artykułu „Iwan Dienisowicz, jego przyjaciele i przeciwnicy", A. Mariamow — rozmiłowany w języku i literaturze polskiej, i I. Sac. W tym dziale publikował swoje prace krytyczne aż do samego aresztu Andrzej Siniawski.

Dzięki wysiłkowi tych ludzi w ciągu ostatnich czternastu lat niemal wszystkie najpoważniejsze pozycje prozy sowieckiej pojawiły się na łamach *Nowowo Mira*. Reportaże Owieczkina, „Ludzie, lata, życie" Erenburga, „W mieście rodzinnym" i „Z obu stron oceanu" Wiktora Niekrasowa, „Cisza" Bondariewa, „Strażnik starożytności" Dombrowskiego, „Siedmiu w jednym domu" Siomina, „Z życia Fiodora Kuźkina" Możajewa, cykl „antypowieści" Katajewa, „Katastrofa" i „Trzy minuty milczenia" Władimowa, opowiadania i powieści Wojnowicza, Aksionowa, Abramowa, Bykowa, Biełowa, Grekowej, Kuzniecowa, Tiendriakowa, Iskandera i innych, których niesposób wymienić. Największym sukcesem było odkrycie Sołżenicyna i opublikowanie „Jednego dnia Iwana Dienisowicza" oraz czterech większych opowiadań, które nigdy się nie doczekały wydań książkowych w ZSSR.

O większość tych pozycji Twardowski staczał boje z różnymi cenzurami, rzucając na szalę swój prestiż członka KC i Sekretariatu ZG Związku Pisarzy. Utarczki ciągnęły się zazwyczaj długo, powodując często kilkomiesięczne opóźnienie poszczególnych numerów miesięcznika. Pierwszą część „Strażnika starożytności" Dombrowskiego udało się Twardowskiemu opublikować w zamian za zrezygnowanie z obrachunkowej powieści Aleksandra Beka, która od ośmiu lat nie może się doczekać druku, podobnie jak i druga część powieści Dombrowskiego. Pozwolenia na drukowanie Sołżenicyna dobił się Twardowski osobiście od Chruszczowa. Swój własny poemat satyryczny „Tiorkin na tamtym świecie" mógł poeta ogłosić w *Nowym Mirze* dopiero po tym, kiedy odczytał go na przyjęciu, wydanym przez Chruszczowa w 1963 r. w jego czarnomorskiej rezydencji w Picundzie dla zagranicznych pisarzy. Dla zbyt wielu nie w smak była inwokacja do „bijącej prosto w duszę prawdy, choćby najbardziej gorzką była". Tę zasadę prawdy głosił Twardowski żarliwie i z trybuny XXII Zjazdu Partii: „Główna wada naszej literatury tkwi w niedopowiedzeniach, w niepełnym odzwierciadleniu różnorakich procesów życiowych... mówiąc bez osłonek, w braku życiowej głębi i prawdy... Wszystko to jest daniną złożoną metodom i nawykom owych lat, które cechował duch niedowierzania i podejrzliwości, szczególnie szkodliwy dla sztuki".

W rozpowszechnionym ostatnio przez *Samizdat* i prasę zachodnią poemacie „Prawem pamięci" poeta apeluje o powszechną szczerą spowiedź:

„Dziś obowiązek domówić wzywa
Niedomówienia lat minionych.
Gdy córka zagabnie dociekliwa,
Nie waż Gławlitem się zasłonić!"

Skoro jesteśmy już przy poezji, to, mówiąc szczerze, dział ten był w *Nowom Mire* traktowany dosyć po macoszemu. Zbyt dużo było tradycyjnej, dawno odbrzmiałej patetycznej poetyki, z rzadka pojawiały się ostre polityczne felietony Jewtuszenki, czasem jeden wiersz świetnego Samojłowa, Korżawina lub Wozniesieńskiego. Nigdy jednak nie było miejsca dla Gorbowskiego, Kuszniera, Brodskiego, Juny Moric, dla wszystkich młodych i utalentowanych. A może było to przejawem typowej dla starzejących się poetów niechęci do młodej, odmiennej w formie twórczości? Nie zapominajmy jednak, że tylko dzięki osobistej interwencji Twardowskiego mógł się ukazać w 1965 r. w wielkiej serii „Biblioteka Poety" przeszło 700-stronicowy wybór poezji Borysa Pasternaka. Opowiadano w Moskwie, że Chruszczow miał rzekomo zapytać Twardowskiego, czy Pasternak był rzeczywiście wielkim poetą. — A czy wy, Nikito Siergiejewiczu, uważacie mnie za dobrego poetę? — zapytał z kolei Twardowski. — Ależ oczywiście, wy, Aleksandrze Trifonowiczu, jesteście znakomitym poetą. — Otóż przyjmcie do wiadomości, że nie dorosłem nawet do pięt Borysowi Leonidowiczowi.

Po upadku Chruszczowa sytuacja Twardowskiego, znienawidzonego przez „aparatczyków" i neostalinowców rzecznika szczerej odnowy, jawnie się pogorszyła. Nie wybrano go w 1966 r. do KC, wzmogły się ataki prasy partyjnej, wywierano nacisk, aby ustąpił. W styczniu i w marcu 1967 r. musiał się pogodzić ze zmianami w redakcji, gdy zabrano bliskich mu Zaksa i Diemientiewa, a wetknięto doktrynera Chytrowa z *Izwiestii*[2]. Zaangażowanie się Twardowskiego w obronie Sołżenicyna, jego kolportowany przez „Samizdat" list do Przewodniczącego Związku Pisarzy Fie-

2. W lipcu ub. roku jedenastu pisarzy z M. Aleksiejewem i S. Smirnowem na czele ogłosiło list w *Ogońkie*, atakując *Nowyj Mir* za artykuł w kwietniowym numerze A. Diemientiewa „O tradycjach i ludowości", w którym autor wyśmiewał panoszące się ostatnio, szczególnie w *Mołodoj Gwardii* neo-słowianofilstwo. Jedenastu dogmatyków zarzuciło *N. Miru* „obce wpływy ideologiczne", szarganie świętości narodowych i deheroizację historii. Nie cofnięto się nawet przed oskarżeniem o trockizm i kosmopolityzm, jak za najlepszych stalinowskich czasów. Potem w gazecie *Socjalistyczeskaja Industria* pojawił się otwarty list do Twardowskiego jakiegoś tokarza, Zacharowa, Bohatera Pracy, który rzekomo w imieniu klasy robotniczej występował z pretensjami, że *N. Mir* przedstawia życie robotników w czarnych kolorach. Twardowski, który doskonale zna metody organizowania „gniewu ludu", zażądał fotokopii listu Zacharowa i jego adresu i wtedy wyszło na jaw fałszerstwo organu KC PZPS.

dina w sprawie osobowości Sołżenicyna i zasady prawdomówności w literaturze, żądanie ponownego rozpatrzenia decyzji o wykluczeniu Sołżenicyna ze Związku Pisarzy, dodały nowych atutów i śmiałości jego przeciwnikom. Uderzono z flanku. Egzekutywa Sekretariatu ZG Związku Pisarzy usunęła z kolegium redakcyjnego *Nowowo Mira* zastępcę redaktora Kondratowicza, Winogradowa, Łakszyna i Saca. Ten bolesny cios Twardowski mógłby jeszcze, podobnie jak w 1967 r., jakoś wytrzymać, chociaż ze względu na stale pogarszający się stan zdrowia w ich właśnie ręce coraz częściej przekazywał ster miesięcznika, ale nie mógł się pogodzić z narzuceniem mu nowego zastępcy, Bolszowa, byłego redaktora konserwatywnej gazety *Sowieckaja Kultura*, kiepskiego ortodoksyjnego krytyka Owczarenkę i dwóch trzeciorzędnych pisarzy Smirnowa i Rekiemczuka, którzy mają wzmocnić zachwiany pion ideologiczny znienawidzonego przez całą górę partyjną *Nowowo Mira*. Izolowany Twardowski, nie czując się na siłach walczyć z wrogami we własnym obozie, podał się do dymisji, która została skwapliwie przyjęta[3]. Jego miejsce zajął konformista Kosołapow, który do 1962 r. kierował *Litieraturnoj Gazietoj*, a ostatnio był dyrektorem Goslitizdatu (Wydawnictwo Literatury Pięknej). Pełni on tylko rolę figuranta, gdyż o wszystkim decydować będzie trzyosobowa komisja w składzie: sekretarz Związku Pisarzy, osławiony dzierżymorda Konstantin Woronkow (konia z rzędem temu, kto potrafi nazwać choćby jedną książkę tego pisarza[4]), sekretarz moskiewskiego oddziału Zw. Pisarzy[5] Sergiusz Michałkow i redaktor *Litieraturnoj Gaziety* Aleksander Czakowski. Na tym kończy się pewien etap *Nowowo Mira* i literatury sowieckiej.

Nie trudno jest przewidzieć, że nowe kierownictwo zrobi wszystko, żeby zglajchszaltować *Nowyj Mir* do poziomu *Oktiabria*, *Znamieni*, *Newy*, *Moskwy* itd. — miesięczników, w których nie ma nic do czytania. W tece redakcyjnej *Nowowo Mira* leżą zapowiedziane do druku następujące pozycje: powieść A. Beka „Następnego dnia", opowiadania W. Niekrasowa „Przechadzki po mieście", powieść W. Kawierina „Przed lustrem", opowiadania W. Bykowa „Dwaj w nocy", powieść W. Siomina „Żenia i Walentyna", powieść J. Dombrowskiego[6], proza W. Katajewa i W. Wojnowicza. Co z tego zostanie zrealizowane? Na jakie cięcia i przeróbki będą musieli się zgodzić autorzy, żeby ujrzeć swe rzeczy w druku? A może, jak to się ostatnio praktykuje, roześlą swoje maszynopisy do dalekich peryferyjnych miesięczników i almanachów, które, pochlebione

3. Nie wyszła kolejna zmiana warty z Simonowym, który tym razem stanowczo odmówił objęcia karkołomnego kierownictwa niefortunnym miesięcznikiem.

4. Podczas jednej z jego częstych wizyt w Warszawie zapytałem go o to wprost; wykręcił się dowcipem. W Moskwie również nikt nie umiał na to pytanie odpowiedzieć, chociaż oficjalnie nazywa się go prozaikiem i dramaturgiem.

5. Obecnie już przewodniczący Związku Pisarzy Federacji Rosyjskiej.

6. „Fakultet niepotrzebnych przedmiotów".

zaszczytnym wyróżnieniem ich przez popularnego pisarza, często z wielkim ryzykiem przełamują opory miejscowej niezbyt wnikliwej cenzury. Zainicjował ten manewr obchodowy Borys Pasternak w czasie największej nań nagonki, drukując swoje wiersze i przekłady w mało znanej *Litieraturnoj Gruzji*. Wychodzący w dalekiej Buriackiej Autonomicznej Republice miesięcznik *Bajkał* ośmielił się opublikować genialną satyryczną powieść braci Strugackich „Ślimak na zboczu", za co wyleciał ze stanowiska redaktora naczelnego bohaterski Afrikan Balburow. W *Siewierie* w Karelii udało się D. Graninowi wydrukować świetne opowiadanie „Nasz kombat", którego nawet Twardowski nie potrafił przeforsować.

Zostaje jeszcze szuflada i *Samizdat*, chociaż ten ostatni nie może być celem samym w sobie dla poważniejszych pisarzy. Można wierzyć Sołżenicynowi, gdy zapewnia, że nie ma wpływu na szeroką cyrkulację swoich utworów w ZSSR i nie zabiega o to wcale. *Samizdat* osłabia często obiektywne kryteria, dodaje aureoli i znaczenia, czego dowodem są słabiutkie utwory sceniczne Sołżenicyna czy też młodzieńcza powieść Okudżawy „Fotograf Żora". A ile krąży czystej grafomanii, przemyślnie podrzucanej przez rzutkich autorów!

Dla wielu pisarzy, zgrupowanych wokół *Nowowo Mira* sytuacja może się stać krytyczna, gdy uwzględnimy fakt, że w ZSSR tylko publikacja w czasopiśmie otwiera drogę do wydawnictw poważnym problemowym utworom. Najtrudniej jest sforsować pierwszą linię okopów Gławlitu. Ucho igielne zwęziło się niemal całkowicie. Pogrom *Nowowo Mira* dodał bodźca reakcji, która rzeczowo rozumuje, że teraz nastał jej czas do rozprawy z *niebłagonadiożnymi* elementami. Zamilknie na czas nieokreślony dobra literatura, rozkwitną niechybnie najmniejsze formy literackie... donosy.

Niełatwo będzie teraz redakcjom literatury sowieckiej w krajowych wydawnictwach, starającym się w miarę swoich możliwości wydawać przekłady wartościowych utworów, rzetelnie informujących o problemach, które nurtują społeczeństwo ZSSR. Do przeszłości należą czasy serwilistycznego wydawania niemal całej bieżącej produkcji sowieckiej, co w rezultacie doprowadziło do zupełnego zniechęcenia czytelników, a młodzież odstręczyło nawet od lektury wielkich klasyków literatury rosyjskiej. Bezkrytycznie wydawana w masowych nakładach socrealistyczna tandeta koczetowów, babajewskich, bubiennowów, czakowskich w nędznych, zharmonizowanych z oryginałami przekładach zalegała księgarnie i składnice, aby po kilku przecenach pójść na przemiał. Sytuacja uległa zmianie w czasie przemian październikowych. Wbrew dyrektywom osławionej „cioci" Heleny Zatorskiej, noszącej po dziś dzień żałobę po Stalinie, długoletniej szefowej Departamentu Wydawnictw w Ministerstwie Kultury i Sztuki, wydawnictwa zerwały definitywnie z poprzednimi praktykami. Aby odzyskać zaufanie czytelnika wydobyto z zapomnienia wiele wybitnych nazwisk i utworów, od dziesiątków lat przemilczanych i nie wznawianych w ZSSR. Książki Babla, Ilfa i Pietrowa, Zoszczenki,

Pilniaka, Wiesiołego, Płatonowa i innych przyczyniły się do wzrostu zainteresowania, na jakie literatura sowiecka w Polsce zasługuje. Nowa odwilżowa fala tej literatury i beletrystyka „czwartego pokolenia" o poznawczym walorze dokumentu dostarczały bogatego materiału, który po starannej selekcji docierał w świetnych na ogół przekładach do czytelnika, odkrywającego nieznane mu dotychczas obszary rzeczywistości sowieckiej.

Stan ten nie trwał jednak długo. Krótkotrwały proces odnowy moralnej i pewnej liberalizacji wniósł do literatury sowieckiej tematykę obozów i represji stalinowskich. Szybki wzrost tej dominującej tematyki przeraził urzędasów od spraw wydawniczych w Polsce. Podobno decyzją samego Gomułki zabroniono wydanie „Jednego dnia Iwana Dienisowicza" i pozostałych utworów Sołżenicyna. W odpowiedzi na wszelkie interpelacje szafowano argumentem, że społeczeństwo polskie nie jest jeszcze na takim etapie świadomości, by mogło bez uszczerbu dla przyjaźni polsko-sowieckiej zaczytywać się relacjami o okresie błędów i wypaczeń[7]. Społeczeństwo, któremu nie wyjawia się prawdy o Katyniu, nie powinno nic wiedzieć o zbrodniach popełnionych przez Stalina na własnym narodzie. Z biegiem czasu każda rosyjska książka rzetelnie i szczerze traktująca wszystkie aspekty sowieckiej rzeczywistości stawała się tabu dla polskich wydawnictw krajowych. Przy każdej zgłoszonej do planu przez wydawnictwo pozycji sowieckiej dyrektor Zatorska nie omieszkała zwracać się do ambasady ZSSR o akceptację. Radca tej ambasady Gołownienko potrafił w swoim czasie zmusić PIW do rozrzucenia składu opowiadania Aksionowa „W połowie drogi do księżyca" i wstrzymał druk tomu najlepszych opowiadań roku na trzy lata. Książki sowieckie wydawane bez żadnych zastrzeżeń w Czechosłowacji, Rumunii, na Węgrzech, a często nawet w Bułgarii, w Polsce były zakazane. Ze swej strony Departament Wydawnictw wywierał nacisk, aby wydawano powieści Koczetowa i Czakowskiego, natrafiając na zdecydowany opór wszystkich wydawnictw, z wyjątkiem „Książki i Wiedzy". W rezultacie redakcje literatury sowieckiej wypełniają plan wznowieniami lektur szkolnych (Szołochow, Polewoj, Fadiejew, Katajew), różnego rodzaju pozycjami wspomnieniowymi, które na ogół nie interesują polskiego czytelnika, drugorzędnymi powieściami przygodowymi i fantastyką naukową. Nic więc dziwnego, że karmiony tak marginalną literaturą czytelnik zaczyna znowu stronić od książki sowieckiej.

Ignacy SZENFELD

7. Niedawno zwrócił się do mnie z prośbą o informację pewien zachodni badacz literatury rosyjskiej zapytując, czym wytłumaczyć fakt, że nie może znaleźć żadnych danych bibliograficznych o wydanych w Polsce książkach Sołżenicyna. Zdumienie jego było bezgraniczne, gdy mu wytłumaczyłem, że to nie jest żadne przeoczenie.

W sowieckiej prasie

Przeglądu rosyjskiej prasy za ostatnie miesiące — czy się chce czy nie — nie można nie rozpocząć od „leninowskich materiałów". Lawina, ocean drukowanych materiałów o Leninie — artykułów, wzmianek, wspomnień, powieści, wierszy, zalał wszystkie gazety i periodyki. Mało tego, wylał się poza ramy prasy i zalał codzienne życie obywatela ojczyzny Wodza rewolucji. Jego nazwisko i wizerunki widać wszędze, gdzie tylko można je umieścić i — jak okazuje się — nie zawsze tam, gdzie to jest pożądane.

W *Komsomolskiej Prawdzie* ogłoszono niedawno szereg apeli, wzywających do pewnego ograniczenia jubileuszowej gorliwości. Autorzy uważają, że może nie jest zbyt właściwe nazywać na przykład odkurzacz nazwiskiem wodza, albo organizować konkursy tańców im. stulecia urodzin W. I. Lenina.

„Dlaczego" — z bólem w głosie zapytuje R. Łuniew w *Komsomolskiej Prawdzie* (24. II. 1970) — mając na myśli inicjatywę Podolskiej Fabryki Wyrobów Cukierniczych, która wypuściła torty ozdobione czekoladowym medalem z lampką i z napisem: „światło Iljicza 1870-1970". Dyrektor Zakładu skarżył się dziennikarzowi, że Zakładom nie pozwolono umieścić na torcie czekoladowego portretu Władimira Iljicza.

Dziennikarz uważa, że byłoby lepiej gdyby tort, nawet bez portretu wodza, można było kupić swobodnie w sklepie zamiast wystawać za nim w ogonkach, a byłoby już znakomicie, gdyby jeszcze do tego tort był świeży. No ale jak wiadomo, nie można wymagać wszystkiego na raz.

Zresztą, jeśli nie można zbyt wiele wymagać od dyrektora Zakładów Cukierniczych, to okazuje się, że od bezbronnych uczniów — można. Uczniów 2-ej klasy (8-mioletnich) zaprowadzono na film „Opowiadania o Leninie", a potem polecono napisanie opracowania: Lenin - Wódz - Bojownik - Człowiek. W 2-ej szkole moskiewskiej uczniom 3-ej klasy (9 lat) dano wypracowanie na temat: „Co byś zrobił, gdybyś zobaczył żywego Lenina?". I jeden, jeszcze nieuświadomiony, 9-cioletni chłopaczek, napisał to co myślał: „Ja bym się bardzo zdziwił". Za taką odpowiedź wezwano rodziców ucznia na rozmowę z dyrektorem.

Znacznie śmieszniejsza historia zdarzyło się kierownikom oddziału Propagandy i Agitacji KC KPZS (65 lat). 23 grudnia ub. roku *Prawda* opublikowała tezy, związane ze stuleciem urodzin Lenina. I w punkcie 14-tym przedstawiono poglądy Lenina o podstawowych zasadach Kominternu. Jak się obecnie okazało zamieszczona w tym punkcie cytata z Lenina nie jest jego wypowiedzią, ale austriackiego socjal-demokraty Otto Bauera, i wzięta z jego broszury „Bolszewizm a socjal-demokracja". Występując 19 lipca

1920 roku na II Zjeździe Kominternu Lenin przytoczył powyższą cytatę z Bauera, a potem ostro się z nią rozprawił. Autorzy tez wzięli słowa Bauera za słowa Lenina.

Ten wypadek można uważać za finał jubileuszowego bezsensu, trwającego już od przeszło roku. Ten wypadek można również uznać za świetny przykład tysiąca, dziesiątków tysięcy artykułów o nauce leninizmu. Jeżeli czołowi kapłani leninizmu nie są w stanie odróżnić herezji od prawdy, to cóż dopiero mówić o szeregowych adeptach.

Warto podkreślić, że sygnał o zrobionym błędzie przyszedł ze wschodniego Berlina. Po miesiącu pomyłkę naprawiono. W tezach ogłoszonych w piśmie *Komunist* szkodliwej cytaty już nie ma.

◆

Zaczęliśmy przegląd od materiałów leninowskich, ale od końca lutego mniej więcej do połowy marca rb. niemniejsze miejsce w gazetach zajmowały materiały dotyczące syjonizmu. Wiadomości o mityngach, na których „gniewnie osądzano izraelskich agresorów", artykuły demaskujące syjonizm czy listy czytelników, również gniewnie potępiających wszystko to, czego żądano. Ten kto czytał polskie pisma w latach 1967-1968 mógł łatwo skonstatować podobieństwo w tonie, a często te same fakty i naświetlenia. Nie rzadko można znaleźć bezpośrednie cytaty. Należy podkreślić że specjalnie często wykorzystywano materiały zebrane w pracach Tadeusza Walichnowskiego i Kazimierza Sidora. To radosny przykład prawdziwie braterskiej współpracy.

Ale niezależnie od licznych analogii polska i sowiecka antysyjonistyczne kampanie różnią się zasadniczo w jednym punkcie. Polskie władze prowadziły tę kampanię mając na celu wyrzucenie Żydów z kraju, sowieckie władze w celu przeszkodzenia wyjazdom Żydów.

Dziesiątki listów, podpisanych przez licznych Żydów, zawsze konkretnie wykazujących swoje, często wysokie, stanowisko służbowe, zapełniły kolumny gazet. We wszystkich tych pismach podkreśla się wkład Żydów w życie Związku Sowieckiego, ich chęć i prawo do życia w Związku Sowieckim. Listy podpisywali generałowie, akademicy, profesorowie, inżynierowie, nauczyciele, pisarze, robotnicy.

Oprócz tego publikowano listy Żydów, którzy przebywali w Izraelu i z radością wrócili do sowieckiej ojczyzny, ponieważ w Izraelu panują: głód, nędza, i nie ma wolności.

Prawda (8. II. 70) zamieściła wielką recenzję z wydanego w Kijowie zbioru opowiadań i listów ludzi „którzy mieli możność własnymi oczami oglądać raj izraelski". Ciekawe, że ten zbiór nazywa się „Ziemia obiecana bez maski". W 1963 roku w tym samym Kijowie wyszła głośna antysemicka książka T. Kiszki pod podobnym tytułem: „Judaizm bez maski". Widać że nową książkę redagował ciągle ten sam Kiszko. 28 marca w *Izwiestiach* można

było przeczytać po raz pierwszy chyba w historii prasy sowieckiej, taką wzmiankę:

> „Z prezydium Najwyższej Rady SSSR.
> Prezydium Najwyższej Rady SSSR rozpatrzywszy prośbę Abrama Lazarewicza Czerczesa, mieszkającego w Izraelu, przywróciło mu sowieckie obywatelstwo i zezwoliło na powrót do Związku Sowieckiego".

4 marca rb. miała miejsce w Moskwie ogromna konferencja prasowa, na której najwybitniejsi sowieccy Żydzi, a w ich liczbie zastępca przewodniczącego Rady Ministrów, Beniamin Dymszyc, gen. lejtnant Dragunskij, zasłużony artysta ZSSR Arkadij Rajkin i wielu innych odpowiadało na zapytania dziennikarzy. Specjalnie ciekawa jest odpowiedź na zapytanie korespondenta *Neue Deutschland*, który powołał się na oszczercze artykuły w prasie kapitalistycznej, twierdzące, że jakoby władze sowieckie nie pozwalały swoim obywatelom narodowości żydowskiej na wyjazd do Izraela. Na to pytanie odpowiedział jeden z wybitniejszych sowieckich prawników, członek korespondent Akademii Nauk SSSR — Michaił Strogowicz. Zgodził się, że każdy człowiek ma prawo wybierać sobie swobodnie obywatelstwo i żyć gdzie chce. Osobiście Strogowicz jest zwolennikiem tej demokratycznej, postępowej zasady. Ale — podkreślił sowiecki prawnik — „my nie możemy kosztem naszych sowieckich obywateli, kosztem wyrosłych w sowieckim społeczeństwie ludzi powiększać agresywne zbrojne siły Izraela, nie możemy godzić się na wykorzystywanie ich dla prowadzenia rasistowskiej polityki, dla niszczenia pokojowych arabskich miast, mordowania kobiet, starców i dzieci".

Jeśli tak jest — to chciałbym się zapytać jak wygląda działalność polskich władz, zmuszających polskich Żydów do wyjazdu do Izraela? Czyżby dla zwiększania zbrojnych agresywnych sił Izraela? Przykładania ręki do niszczenia pokojowych arabskich miast, mordowania kobiet, starców i dzieci?

◆

Prawie zupełnie zniknął z łamów prasy problem reformy gospodarczej. Jeżeli zaś się pojawia (*Literaturnaja Gazieta*) to z wezwaniem zharmonizowania reformy z pogłębieniem centralistycznego planowania. Zamiast reform KC wynalazł cudowne lekarstwo. Wszyscy pracujący w Związku Sowieckim dyskutują obecnie pismo KC, Rady Ministrów, Centralnej Rady Związków Zawodowych i KC Komsomołu „o podniesieniu wykorzystywania rezerw gospodarczych i wzmocnieniu polityki oszczędnościowej w gospodarce narodowej. Wykorzystanie posiadanych rezerw i wzmożona oszczędność powinny — w myśl sowieckich przywódców — wyprowadzić kraj z głębokiego kryzysu ekonomicznego. Wszystkim partyjnym organizacjom polecono wzmocnienie pracy wychowawczej i walki o podniesienie dyscypliny.

Jednak dyscyplina wzmacnia się słabo i rozpaczliwe sygnały o rosnącym pijaństwie, przekreślającym dyscyplinę — nadal przenikają do prasy. O pijaństwie piszą dziennikarze, uczeni-socjolodzy, próbujący dociec dlaczego ludzie sowieccy piją, a do tego coraz więcej i więcej. By otrzymać odpowiedź na to pytanie korespondent *Komsomolskiej Prawdy* zwrócił się do pułkownika milicji, Piotra Rykalina, zarządzającego wszystkimi moskiewskimi Izbami Wytrzeźwień. „Dlaczego piją... mówi zamyślony pułkownik milicji — jestem przekonany o jednym: dzisiaj prawie nikogo nie skłaniają do pijaństwa trudności bytowe, raczej na odwrót. Do ludzi przyszedł dostatek. I człowiek ma możność — jak to się mówi — pozwolić sobie na zbytki". Można więc przeprowadzić wywód, że w kapitalizmie ludzie piją z rozpaczy i z nędzy, a w socjalizmie z radości i dobrobytu.

Nie zadawalając się odpowiedzią milicjanta-filozofa — dziennikarze zwrócili się także do bezpośrednich bohaterów swoich tematów: do pijaków. I czytelnik sowieckich pism, może po raz pierwszy od przeszło 50 lat zapoznać się z prawdziwymi odpowiedziami na zapytania prasy. Pijacy zwykle opowiadają w ten sposób: „— Piję i będę pił. I kropka". Czasami, tak jak milicja, zaczynają filozofować: „Cała nasza siła trzyma się na dochodach z wódki. Rosyjski człowiek zawsze lubił wypić..." *(Komsomolskaja Prawda*, 26. III. 70).

◆

Po opublikowaniu w styczniu decyzji KC partii i rządu o rozwoju przemysłu naftowego w zachodniej Syberii, w prasie pojawia się coraz więcej informacji o niesłychanych bogactwach, odkrytych w tiumenskim okręgu. Samotłor, miejsce w którym rozpoczęło się już wydobywanie ropy, prawdopodobnie stanie się wkrótce tak głośne jak Baku czy Kuweit. Zagraniczni specjaliści, zapoznawszy się z pierwszymi informacjami prasy sowieckiej przypuszczają, że w zachodniej Syberii znajdują się pokłady nie ustępujące a może nawet przewyższające pokłady półwyspu Arabskiego. 9 marca rb. *Prawda* informowała, że w końcu 1975 roku wydobycie ropy z zachodniej Syberii wyniesie 100-120 milionów ton, a w 1980 — 230-260 milionów ton. W roku bieżącym ogólna sowiecka produkcja powinna dać 345-355 milionów ton ropy.

◆

Pełna posucha w pismach literackich, a w każdym razie literatura jako taka zniknęła z ich łamów. Pusto i głucho w ostatnim numerze (Nr 1) *Nowawo Mira*, ostatniego, który wyszedł pod redakcją Aleksandra Twardowskiego. Zwraca uwagę brak materiałów na tematy ekonomiczne, które w ostatnim czasie zajmowały w miesięczniku główne miejsce.

Jest to jeszcze jeden dowód klęski zwolenników reformy gospodarczej, którzy wykorzystywali *Nowyj Mir* jako swoją trybunę.

Tylko na samym końcu numeru, na str. 244, można znaleźć interesującą wzmiankę-recenzję z książki Maji Bessarab o znakomitym autorze rosyjskiego słownika, Władimirze Dalu (1801-1872). Recenzja S. Kajdasza z tej książki jest pretekstem dla poruszenia aktualnego zagadnienia: rosyjski nacjonalizm, rosyjski patriotyzm, rosyjski szowinizm. Maja Bessarab przedstawiając Dala jako wzór rosyjskiego patrioty, który przeszedł z protestantyzmu na prawosławie „żeby w niczym nie różnić się od narodu rosyjskiego", z zachwytem opisuje wyczyny „lekarza wojskowego" Dala w okresie likwidacji polskiego powstania w roku 1831, za które został nagrodzony wysokim orderem „Krzyża Włodzimierza ze wstęgą". Dal wybudował z pustych beczek po piwie pływający most przez Wisłę, na którym przeprawiły się wojska rosyjskie zmierzające do Warszawy, a gdy na most weszła polska kawaleria — Dal most zniszczył.

O wyczynach Dala autorka książki pisze z zachwytem: „W latach kiedy urzędowi łże-patrioci do takiego stopnia skompromitowali samo słowo 'patriotyzm' że uczciwemu człowiekowi wstyd było je wymawiać, potrzebny był patriotyzm bojowy, płynący z samego serca, by prosto i jasno powiedzieć żołnierzowi: 'ziemia rosyjska, nasza ojczyzna, jest większa i silniejsza od innych krajów. Bądź dumny i chwal się tym, że urodziłeś się Rosjaninem' ". Autor recenzji próbuje nieśmiało zauważyć, że na taki „bojowy patriotyzm" są i inne określenia.

◆

W ostatnim okresie z rzadka wspomina się w prasie sowieckiej o wielkim sąsiedzie — Chinach. Dwie wzmianki zwracają na siebie uwagę. Jedna — oświadczenie TASS'a z 27 marca, zamieszczone we wszystkich pismach pt.: „Terror i zastraszenie". TASS zawiadamia o „nowej fali sądów pokazowych i publicznych egzekucjach" w Chinach o tym, że np. 10 marca w Kantonie rozstrzelano 41 osób, a przedtem w Swatou 21, itd. Komunikat kończy się słowami: „Wojskowo-biurokratyczny aparat zastępujący konstytucyjne organy władzy, przeprowadza politykę terroru i zastraszenia ludności, żeby zdławić rosnące niezadowolenie z awanturniczej polityki Pekinu".

Druga wzmianka, zamieszczona w *Literaturnoj Gaziecie* (8. IV. 70) oskarża nie chińskie sądownictwo, ale chińską medycynę.

Informacja składa się z dwóch części — oświadczenia chińskiej Agencji Sinhua oraz komentarza prof. W. Gałkina i lekarza B. Klenowa. Tytuł wzmianki: „Erczżeń-terapia, środek na wszystkie choroby czy tragedia chińskiej medycyny?".

W oświadczeniu agencji Sinhua mówi się, że szerokie zastosowanie Erczżeń-terapii (leczenie nakłuciami w ucho) pomaga, (właściwie już pomogło) wyleczyć wszystkich Chińczyków, ze wszystkich chorób. Niestety *Literaturnaja Gazieta* publikuje oświadczenie chińskiej Agencji w skrócie i nie można zorientować się w szczegółach.

Sowieccy lekarze w komentarzu (mniej więcej 5 razy większym od oświadczenia Agencji) dowodzą, że Erczżeń-terapia nie leczy wszystkich chorób. Ale jedynym argumentem lekarzy sowieckich jest to, że tradycyjna akupunktura (— tę sowieccy specjaliści jakby uznają) przewiduje 693 miejsc ukłuć. Igły muszą być różnej wielkości i kuracja wymaga od lekarza głębokiej wiedzy. Erczżeń-terapia przewiduje wszystkiego 10-45 punktów i nauczenie się jej jest elementarnie proste. Niczego więcej sowieccy lekarze nie przytaczają dla skompromitowania nowego chińskiego cudownego środka.

Co prawda nie podoba się im zasadnicze hasło, określające całe życie współczesnych Chin: więcej, szybciej, lepiej, oszczędniej. No, ale gdyby prof. Gałkin i lekarz Klenow przeczytali wystąpienie pierwszego sekretarza KC KPZS, Breżniewa, to przekonaliby się, że i on marzy o tym, aby więcej, szybciej, lepiej, oszczędniej. Czytając sowieckie materiały o Chinach staje się jasne co najbardziej drażni sowieckich publicystów — to mianowicie, że jak w lustrze widzą w nich swoje mało pociągające oblicze.

Adam KRUCZEK

NA ANTENIE

PRZYNOSI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOŚNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub $ 5,00, F. 25,00.

Kraj

Amerykanin w Warszawie

Pociąg do Pragi: Młody profesor geologii wraca do Czechosłowacji z konferencji na Zachodzie. Radzi mi nie używać języka rosyjskiego w Czechosłowacji. Pyta, czy nie mógłbym mu sprzedać trochę dolarów? Bez dolarów, marek zachodnioniemieckich, lub franków szwajcarskich trudno mu będzie wybrać się ponownie na Zachód. Szybko i dyskretnie, oraz nerwowo chowamy pokaźną paczkę czeskich koron, które otrzymujemy w zamian za trzy dziesięciodolarówki. Żona geologa, atrakcyjna kobieta, odwraca się od nas i nie rozmawiamy już więcej po dokonaniu transakcji. Później w tramwaju geolog pokazuje mi Pragę, poleca różne restauracje, jest ożywiony i tak niezwykle życzliwy, że ja z kolei nie mogę na niego patrzeć. Krótka znajomość jest zepsuta nieodwracalnie.

Na ulicy ludzie zatrzymują się i przyglądają się mojej żonie, jak gdyby nie przychodziło im do głowy, że i ona ich widzi. Czescy *hippis*'i w kwiecistych koszulach i z włosami sięgającymi do ramion, policjanci po dwóch, z automatami przewieszonymi przez plecy, bezzębni wieśniacy, ubrani zupełnie na czarno — to wszystko nie zwraca niczyjej uwagi. Dobrze ubrana kobieta jest tutaj egzotyką z obcej planety.

Rosjanie są wszędzie, nawet gdy ich nie widać. Ich czołgi przygniatają ulice. Ich ciężki śmiech szarpie powietrze. Ludzie ustępują im z drogi. Jedni patrzą w ziemię, kiedy ich widzą, inni dumnie patrzą im w oczy. Nawet kiedy ich nie widać. W windzie, gdy nagle zabrakło prądu, windziarz klnie: — Cholerni Rosjanie!

— Widzicie? — pokazuje ślady kul na ścianach Muzeum Narodowego przy Placu Wacława. — Ciągle to samo! Mam siedemdziesiąt lat, znam czternaście języków, czternaście! Pamiętam Franciszka Józefa. Ciągle to samo!...

Jest zły, ale jest trochę i ironii i dumy w jego głosie. Odchodzi potrząsając głową, jak pechowiec, który znowu postawił na niewłaściwego konia.

Zlata Uliczka. Tutaj powstał Golem. To tutaj kwitła alchemia. Nawet astrologiczny zegar ciągle jeszcze działa: słońce było pod znakiem Lwa a księżyc Sagittariusa podczas masakry na Placu Wacława w pierwszą rocznicę inwazji. Co godzina pojawia się Chrystus i Dwunastu Apostołów ponad zegarem i przyglądają się światu. Starość i przeszłość jest jeszcze potężna. Poza tym — wszystko bardzo szybko się staje historią.

Nocny pociąg do Warszawy. Polski student architektury jest zadowolony z komplementu na temat jego modnych pantofli. Jest nieco zaszokowany, gdy opowiadamy mu o nudyzmie w amerykańskim teatrze. Drugi Polak przeciwnie, jest rozczarowany, że nie mam przy sobie żadnego numeru *Playboy*'a. Nie o kobiety jednak chodzi, a o ubrania i samochody. Najgorzej jest być pozbawionym dostępu do przedmiotów...

Zawsze myślałem, że czarny rynek znajduje się w ciemnej uliczce, gdzie ludzie mają błysk w oku i dwudniowy zarost na twarzy, a jedynym słowem, którego używają jest „pssst!" i znacząco uchylają połę płaszcza.

Czarny rynek znajduje się wszędzie. Starsza kobieta pogłaskała mojego syna po głowie, zapytała ile ma lat, pochwaliła mnie, że mówię po polsku i tym samym kurtuazyjnym tonem zapytała, ile mam dolarów na sprzedaż?... Nie było w tym nic z zawodowego fałszu. Jej życzliwość była prawdziwa, jedno wcale nie wyklucza drugiego. Z tego składa się życie. Jeśli równowagę naruszyć, powstanie chaos psychologiczny. Wchodzę do fryzjera i bez żadnego wstępu szepcę mu w ucho ofertę. O mało nie kosztowało to życia klienta, którego golił. No, proszę...

Jak wszędzie, ważny jest ten, kogo się trzeba obawiać. Nikt nie ma pieniędzy, więc każdy się stara o tę trochę władzy. Człowiek się staje tyranem, gdy tylko się znajdziesz w stanie zależności od niego.

Restauracje są to placówki państwowe, a kelnerzy to biurokraci w białych kitlach. Posiłek turysty trwa od trzech do czterech godzin: czekanie na menu — trzydzieści minut, czekanie na przyjęcie zamówienia — czterdzieści pięć minut, czekanie na jedzenie — znowu czterdzieści pięć minut, jedzenie — pół godziny (o ile nie straciło się apetytu czekając), czekanie na rachunek — następne pół godziny. Żeby tego uniknąć radzono nam pójść do tak zwanego baru mlecznego, gdzie można dostać szybki lunch: barszcz, pierogi i tak dalej. Bar mleczny ma swój własny system. Długa kolejka posuwa się powoli w stronę kasy. Do okienka przypięty spinaczem spis potraw. Ceny są poprzekreślane, ponapisywane od nowa jedne na drugich, niemożliwe do odczytania. Ma się sekundę czasu, żeby rzucić okiem, zza pleców człowieka, który stoi przed tobą, i już jest się popychanym do przodu. Mówi się kasjerce, czego się chce, ona to podlicza i się płaci. Myląc się kilkakrotnie, kasjerka wypisuje zamówione potrawy na odwrocie maleńkiego kwitu kasowego, którego nie wolno zgubić (tutaj życie zależy od miliona maleńkich skrawków papieru). Staje się w następnej kolejce stłoczonych, sprasowanych ciał. Znów maleńkie okienko. Jakieś ręce chwytają papierek. Pojawiają się dania. Co to jest? Nikt nie wie. I nikogo to nie obchodzi. Chwyta się co się da.

Wszyscy mówią ściszonym głosem. Miejsca publiczne są pełne szmeru. Nie są to szepty, lecz taki sposób mówienia, żeby doszło do kogo trzeba lecz do nikogo innego. Po co kto inny ma słyszeć? Mój głos dudni jak głośnik. Stopniowo obniżam ton i przechodzę na tę samą co inni częstotliwość — nieufności. Paranoizm jest ogólnie przyjęty, prawie obowiązkowy. Jak głosi tutejszy dowcip: „Wiecie, on jest nienormalny, on twierdzi, że nie jest śledzony..."

W Muzeum Historycznym pokazywany jest film krótkometrażowy. Najpierw pokazuje on jak wyglądała Warszawa przed wojną. Potem widać jak Niemcy wysadzają i burzą domy. Bombowce, dym i kurz walących się murów. Ludność zredukowana ponad miliona do zera. Po filmie wychodzę na siedemnastowieczny rynek, wiernie zrekonstruowany na podstawie zdjęć i zachowanych rycin. Staroświecka dorożka z prawdziwym dorożkarzem na koźle czeka na pasażerów. Staroświeckie szyldy i brukowane uliczki. Ulice miasta przechodzą ponad masowymi grobami getta. Gdzie indziej murowane tablice głoszą: „Miejsce uświęcone krwią..." Wymienia się liczbę rozstrzelanych. Tu kiedyś znajdowało się piekło. To już minęło, lecz powietrze jest wciąż jeszcze radioaktywne... Z kadrami filmu wciąż przesuwającymi się przed moimi oczami, idę przez siedemansto- i osiemnastowieczne ulice, podczas gdy tablice na ścianach domów szepcą mi w uszy: „miejsce uświęcone krwią, miejsce uświęcone krwią, miejsce uświęcone krwią...".

Taksówka zatrzymuje się przed moim hotelem.

— Ile pan płaci za pokój? — pyta kierowca.

— Pięćset złotych dziennie — odpowiadam. Kierowca aż splunął z oburzenia.

— Pięćset złotych! Pan wie ile mnie płacą za jeżdżenie tym

śmierdzącym starym gratem? Tysiąc dwieście złotych miesięcznie! Tysiąc dwieście! A ja mam troje dzieci! Troje!...

Przez chwilę czuję się nieswojo. Dopiero potem orientuję się, że ten gniew nie jest skierowany pod moim adresem. Jedziemy dalej w milczeniu. Obaj rozumiemy, że nikt z nas nie może nic na to poradzić. Lecz w tej chwili życie tego człowieka wydało mi się ważniejsze niż moje.

W hotelu zatrzymała się rodzina z Pakistanu. Troje dzieci. Dzieci szaleją. Jeżdżą swoimi małymi rowerami po korytarzach hotelu wpadając na pokojówki. Ludzie z przerażeniem ustępują z drogi, ale poza tym nikt nie zwraca uwagi. Odwrotnie jest w parkach i na placach zabaw, gdzie matki i babki pilnują każdego ruchu dziecka jak detektywi. Dzieci są nieustannie przywoływane do porządku, pouczane, karcone — są przyuczane do życia, które je czeka.

Dni wypłat są różne, ażeby nie było zbyt wielu pijanych na raz. W wyniku tego pijanych widuje się każdego dnia. Najgorsi są młodociani. Są żądni życia. Rozpychają się na chodnikach pojedynczo i grupami. Ale nie prowokują poważniejszych awantur.

Olbrzymi Pałac Kultury, „dar" Stalina i narodu sowieckiego panuje na niebie Warszawy. Jest zbudowany w stylu znanym jako stalinowski barok i przypomina bardzo Uniwersytet Moskiewski. Jest tylko bardziej szary, cięższy i bardziej nie na miejscu. Polacy zwalczają tego Goliata dowcipem: małe, mówią, ale gustowne... Dowcip jest już stary, ale wciąż dobry. Pałac i dowcipy na jego temat kontynuują walkę. W tej chwili wydaje się jednak, że pałac jest górą...

Dziesięć lat temu umarła matka. Ojciec, lekarz, mieszkał z trojgiem dzieci dopóki nie wprowadziła się jego nowa żona, dziewczyna z biednej rodziny, w tym samym wieku co najstarsza córka. Jej wyzywająca zmysłowość, akcent społecznych dołów, maniery, wszystko to uwłaczało pamięci matki. Napięte nerwy, kłótnie, histeria, piekło. Córka chce się wyprowadzić, ale w Polsce władze określają ile przestrzeni mieszkaniowej ma przypadać na osobę. Ograniczenia te w Warszawie są szczególnie rygorystyczne. Jeśli córka lekarza wyprowadzi się, władze wprowadzą na jej miejsce kogoś obcego. Kogokolwiek, kogoś kogo nazwisko znajdzie się na pierwszym miejscu listy, kto ma protekcję i znajomości. Mieszkanie można też kupić. Koszt takiego mieszkania równa się oszczędnościom całego życia naszego lekarza, ale i na takie mieszkanie za własne pieniądze trzeba kilka lat czekać w kolejce. Szuka się więc koneksji, znajomości. Dzień po dniu trwają poszukiwania, dzień po dniu napięcie, kłótnie, zszarpane nerwy.

Państwo jest azotem i tlenem życia, alfą i omegą, żadna myśl ani uczucie nie może istnieć niezależnie od niego.

Wielu Polaków nosi w klapach wizerunek statku kosmicznego Apollo. Widać go również na szybach samochodów. Model wystawiony przed ambasadą amerykańską nieustannie gromadzi przechodniów. Jeden z nich mówi do mnie: „Chwała Bogu, że to wy, Amerykanie, wylądowaliście na księżycu pierwsi, bo gdyby to się udało Rosjanom to całe życie musielibyśmy o tym słuchać..."

Polskie niebo ma niewiele światła, kolory słabną, stają się mniej wyraziste. Nie da się ono porównać z kalifornijskim. Nowe domy wyglądają jak stare w miesiąc po zbudowaniu. Szare płaszcze suną po wilgotnych chodnikach i znikają we wczesnym zmierzchu. Ale ludzie przybywający z Rosji stają zachwyceni przed sklepami, kioskami i kawiarniami. Paryż, wołają, Paryż!...

Wieliczka jest to stara kopalnia soli koło Krakowa. Ma tysiąc lat. Schodzi się na głębokość dziewięciuset stóp wraz z grupami dzieci i dorosłych. Kopalnia nie jest czynna. Jest ona czymś w rodzaju narodowej świątyni. Idzie się korytarzami wykutymi w soli. Czerń i srebro. Srebro to sól, czerń to skała. W ciągu wieków samorodni artyści-górnicy wyrzeźbili całe katedry w tej skale i soli. Płaskorzeźby przedstawiają życie Chrystusa. Matka Boska, wyrzeźbiona w soli, opłakuje swego martwego Syna. W tym najnieszczęśliwszym i najbardziej katolickim kraju naturalnym materiałem do wyrażania goryczy jest sól, kamień, ciemność i cisza.

Tuż przy krakowskim lotnisku chłopi pracują na polach. Przy samych pasach startowych. Samoloty startują i lądują w odległości kilku stóp od nich. Kobiety w spłowiałych sukienkach, mężczyźni w koszulach zapiętych pod samą szyję, z papierosami przyklejonymi do warg pracują rytmicznie — kosy poświstują w zamachu, kobiety rytmicznie pochylają się odbierają i wiążą.

W Krakowie spotykam kilku młodych Finów. Mówią doskonale po angielsku. Mają w sobie coś z chandry à la San Francisco i nie znoszą Ameryki, którą znają z książek, filmów i telewizji. Widzą ją jako olbrzymią, murowaną fortecę wystrzeliwującą rakiety do najodleglejszych krajów, wydzielającą nieczystości wszystkimi kanałami, podczas gdy ponad nią unosi się wielki grzybobłok spalinowego gazu. W środku maniacy, religijni fanatycy podszeptują szaleństwa Prezydentowi, a policjanci wyglądający jak szczury żywcem zjadają murzyńskie niemowlęta w kołyskach. *Hippis*'i fantazyjnie wybuchają w technicolorze swoich wybryków, a pozostali ludzie przyglądają się jedni drugim za pośrednictwem telewizyjnych ekranów. Finowie są jednak sfrustrowani bezowoc-

nymi poszukiwaniami czegokolwiek pozytywnego w socjalistycznej Polsce. Pijemy razem dużo wódki, zaczynając z samego rana.

Gdzie chcielibyście pojechać z Krakowa? Do Budapesztu? Potrzebna będzie do tego polska wiza wyjazdowa, czeska wiza wjazdowa, jak również czeska wiza wyjazdowa. No i węgierska wiza wjazdowa, oczywiście. Czeskie wizy są w czeskim konsulacie, a węgierskie oczywiście w węgierskim. Konsulaty przyjmują tylko przez trzy godziny dziennie. Do granicy można płacić za przejazd w polskich pieniądzach, dalej trzeba już płacić dolarami. Więc proszę wymienić pieniądze i nie zapomnieć o kwitach potwierdzających wymianę, wtedy można będzie kupić bilety. Jeśli chce pan miejsce w wagonie sypialnym, to trzeba udać się do ich biura, które znajduje się na drugim końcu miasta. Samolotem? O, nie, jeśli chce się z Polski odlecieć samolotem, to trzeba się udać z powrotem do Warszawy. Dziewczyna, która mi to wszystko wyjaśnia uprzejmie, chłodno i obojętnie, jest ładną młodą blondynką. Ale w jej oczach jest zmęczenie i stanowcza odmowa zastanawiania się nad tym wszystkim o czym mówi. Przypomina mi się definicja Lenny Bruce'a, że komunizm jest wtedy, gdy krajem rządzi centrala telefoniczna (*telephone company* — przyp. tłum.).

Zbiegowisko na parkingu ultra nowoczesnego hotelu Cracovia. Czy jakiś wypadek? Gwiazda filmowa? Champion piłki nożnej? A może po prostu bójka. Nic z tych rzeczy. To Masserati. Podniecenie się unosi w powietrzu. Futurystyczne linie samochodu i nieziemskie kolory czynią zeń książęcy rydwan zza światów lub odległej przyszłości. Młodzi są niezwykle przejęci. Podskakują, przykucają, pokazują, wymieniają uwagi i wyrazy uznania. Starsi są również pełni podziwu, ale milczą. W ich milczeniu jest smutek, porażka i — poniżenie.

◆

W Budapeszcie, grupki pstrych *hippis*'ów chodzą po parku i słuchają wrzaskliwych nagrań Ślepej Wiary (*Blind Faith*). Ulice są zatłoczone samochodami do niebezpieczeństwa. W sklepach wiele interesujących towarów, wielu kupujących. Jedzenie i obsługa w restauracjach doskonałe, a ceny — wysokie. Można łatwo dostać i *Newsweek* i Coca-Colę. W przyćmionych światłach kabaretów satyra i *strip-tease*. Czesi są tutaj uważani za naiwnych donkiszotów — cały trick polega na tym, aby stosować się do linii Moskwy oficjalnie, a po cichu i przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności, robić to co się chce. To się nazywa realizm, umiejętność przystosowania się, przyjmowania ochronnego koloru. W ten sposób w lesie polityki lis wygrywa z niedźwiedziem.

Jednakże kierowca taksówki mówi mi: „Niech pan się nie daje nabrać! Wcale nie jest dobrze. Jesteśmy nieszczęśliwi...".

Dopiero w Belgradzie i Zagrzebiu czuję się jak u siebie w domu. Seks jest dźwignią reklamy. Nagie sutki spoglądają zza szyb kiosków. Jugosłowianie to coś w rodzaju słowiańskich Włochów. Sportowe samochody piszczą przeraźliwie na zakrętach. Mężczyźni gwiżdżą z uznaniem, gdy widzą ładną kobietę. Jest wesoło. Choć nie wiem czy to wynika z wolności, czy z większej ilości pieniędzy, czy to po prostu wpływ Morza Śródziemnego? Kobiety szczypią mojego synka w policzki, całują go. Na ulicach i w kawiarniach gwar i dużo głośnego śmiechu. — Oni są szaleni! — mówi człowiek, który wrócił tutaj z Południowej Afryki po dwudziestu latach — Zarabiają sto, a wydają dwieście!... Ja nie mogę tego zrozumieć. Po prostu, szaleni!...

Czegoś tu nie ma w atmosferze. Nie ma tego stałego zachmurzenia, chłodu, trudnego do określenia lęku... W końcu udaje mi się zrozumieć: cień sowieckich czołgów, powodujący owe kalectwo, nie sięga tutaj. Został zatrzymany przez Józefa Tito i... słońce.

Dr Richard LOURIE
Profesor slawistyki
University of California, Santa Cruz

(Tłum. z angielskiego Henryk Grynberg)

Czarna lista

Witold Filler: *Literatura małej emigracji.* Wyd. Ministerstwa Obrony Narodowej.
Stanisław Milewski: „Mity i rzeczywistość". *Gazeta Sądowa*, 16. III. 1970.
Alina Reutt: „Za drobną monetę". *Walka Młodych*, 22. III. 1970.
Jan Rurański: „Za wrogą działalność". *Itd.*, 15. III. 1970.
Frantisek Hajn: „Pariżska 'Kultura' ". *Priloha k Tvorbe* c. 10/1970, 11. III. 1970.
Maria Osiadacz: „Emisariusze paryskiej 'Kultury' przed sądem w Warszawie". *Zagadnienia i Materiały*, nr 5, 25. II - 10. III. 1970.
Władysław Grabka: „Taka niewinna, ładna nazwa: 'Instytut Literacki' ", *Słowo Ludu*, 7. III. 1970.
Wojciech Sulewski: „Wyznania kolaboranta", *Dziennik Ludowy*, 12. III. 1970.
Kazimierz Kąkol: „Cała prawda", *Prawo i Życie*, 22. III. 1970.
Z. K.: „Książka tygodnia: Literatura małej emigracji". *Argumenty*, 29. III. 1970.

Płk W. Zieliński: „W czyim interesie i z czyjej kasy", *Żołnierz Wolności*, 13. III. 1970.
Krzysztof Strzelecki: „Testament bankrutów z Maisons-Laffitte", *Panorama Północy*, 8. III. 1970.
Rodak ze Szmulek (pseudo Kazimierza Kąkola): „Międzynarodowa kariera". *Prawo i Życie*, 8. III. 1970.
Włodzimierz T. Kowalski: „Aż nadszedł dzień zwycięstwa". *Panorama* Nr 11, 12/13 i nast. Fragmenty książki pt. „Walka dyplomatyczna o miejsce Polski w Europie".

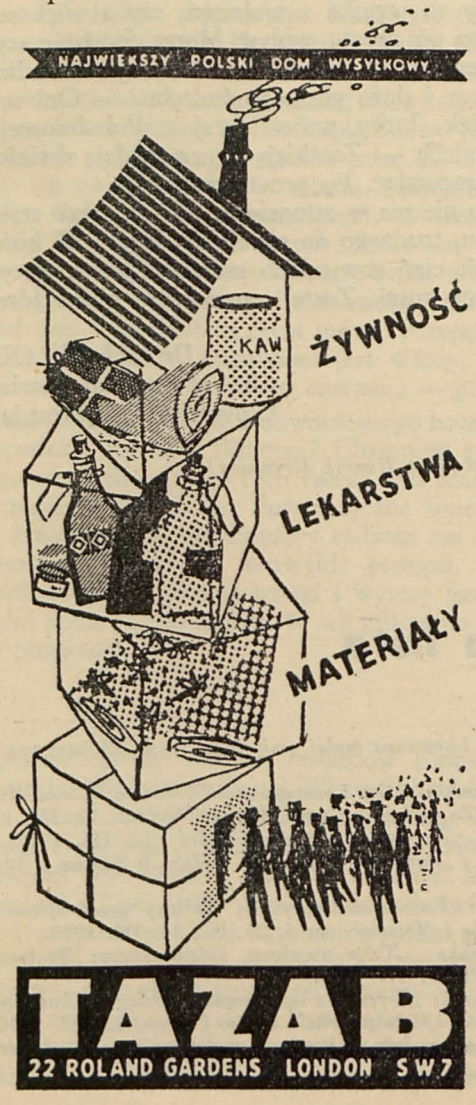

Sprawy i troski

Polonia amerykańska

PRÓBA ANALIZY OSTATNICH ZMIAN

Kilka lat temu jedna z moich studentek, którą przygotowywałam do magisterium z *social work* miała poważne problemy w swojej pracy. Dziewczyna była zdolna, przystojna, pracowita, a mimo to jak gdyby zahamowana, zamknięta, niepewna siebie, onieśmielona. Ponieważ miała polskie nazwisko, zaczęłam z nią mówić o jej polskim pochodzeniu. Rozpłakała się i powiedziała mi, że polskie pochodzenie zawsze przyprawiało ją o pewną nieśmiałość, niepewność, zawsze czuła się jakby na drugim planie. Powiedziała mi także, że jestem pierwszą osobą która o swojej polskiej narodowości mówi w sposób naturalny, z pewną dumą nawet, a nie z onieśmieleniem. Po takich kilku rozmowach ze mną jej zahamowanie znikło, rozwinęła się i zaczęła bardzo dobrze pracować.

Profesor Richard Kolm, pisząc w *The Quarterly Review* (April-June, 1969) o kryzysie tożsamości wśród Amerykanów polskiego pochodzenia, potwierdza moje obserwacje. Studenci pochodzenia polskiego, pisze profesor Kolm, byli nieśmiali, przeczuleni na punkcie swego polskiego pochodzenia, przyznawali się do niego dopiero po kilku tygodniach kontaktu, i to nie otwarcie lecz w cztery oczy, wiedzieli o biedzie i zacofaniu w Polsce od swoich dziadków, a bardzo niewiele o Polsce, jej historii i kulturze.

Z etnicznego podsystemu polskiego w Ameryce zaczęła wyciekać jego energia — młode pokolenie. Do systemu amerykańskiego wpływało bardzo niewiele. Emigracja z Polski była niezmiernie ograniczona: niepopularna w Polsce i nie poszukiwana przez Amerykę. A jednak ta tracąca stopniowo energię etniczna grupa polska zareagowała z niebywałą siłą w czasie Pierwszej Wojny Światowej, wystawiając 60.000 Armię Hallera. Gdybyśmy zaanalizowali tę sprawę nieco dokładniej, przekonalibyśmy się, że przed Wojną

Światową do podsystemu etnicznego polskiego w Ameryce zaczęli napływać działacze polityczni z Polski, którzy stali się ideałem czy modelem postępowania dla późniejszych ochotników Hallera. Nie byli to emigranci lecz element przepływowy, który miał jednak duże znaczenie dla egzystencji polskiej grupy etnicznej. Wystawienie armii Hallera było największym wyczynem narodowym Polonii Amerykańskiej. Dla postronnego obserwatora było też ono dowodem, że emigracja zachowała swój polski charakter narodowy, identyfikując się z symbolem zakutej w kajdany Polski. Ten symbol zakutej w kajdany dziewicy był tak wymowny, że oleodruki z jej wizerunkiem spotykałam w różnych domach czy gminach dzielnicy polskiej. Na tle tych obrazów i przy dźwiękach „grającej szafy" tańczyły ze sobą smętnie emigrantki polskie, których życie upłynęło nad maszyną w fabryce, a starość dopełniała się w „dzielnicy polskiej", domu związkowym z barowym kontuarem.

Odzyskanie niepodległości było ważnym wydarzeniem dla Polonii. Zaczęto się z nią bardziej liczyć, miała państwo z którym mogła się indentyfikować. Nie zmieniło to jednak faktu, że podsystem polskiej grupy etnicznej nie otworzył się wobec systemu amerykańskiego na tyle, aby powstała obustronna wymiana.

Przenikalność była jednokierunkowa: od systemu ogólnoamerykańskiego do polskiego podsystemu etnicznego. Przejmowano coraz bardziej, w miarę poprawy warunków bytu, styl życia amerykańskiego, zapożyczano słowa, interesowano się polityką. Ogólny system amerykański niewiele jednak wiedział o żyjącym w nim polskim getcie. Nie docierało stamtąd nic, co mogłoby zainteresować Amerykanina. Wiedziano o *Polish wedding,* o 'kiełbasie', o schludności małych domków, ale było to niemal wszystko co grupa polska miała na wynos. Ściśnięta wokół wspaniałego zwykle kościoła, w małych domkach kwitnących czystością i begoniami w oknach, albo przymierająca w *slums*'ach z postanowieniem nie proszenia o pomoc, grupa polska wydawała się obserwatorowi z zewnątrz *bizarre,* dziwaczna, obca, nie taka jak my, prymitywna.

Młoda inteligencja polonijna dojrzewała w *college*'ach z ciężarem podwójnej lojalności: Pierwsza to lojalność wobec własnej grupy polskiej w Ameryce, reprezentowanej przez rodziców, sąsiadów, znajome ulice i domy, wobec słabo określonej, mglistej Polski, zawsze umęczonej, biednej, „której sztandaru nie wolno splamić", wobec „Polski mojej babki", albo „mojej matki", czegoś co nie istnieje realnie, ale co dręczy i zobowiązuje.

Druga to lojalność wobec państwa w którym się przyszło na świat i otrzymało wykształcenie, wobec Ameryki która ceni realność i obiecuje dobrobyt, która może się pochwalić Waszyngtonem, Lincolnem, Mayflower, demokracją itd., i która patrzy z pobłażliwą pogardą na emigranta. Wielu wybierało drugą lojalność. Zostawało po tym poczucie pewnej winy, nieśmiałości wobec tego od czego się odeszło. Ale to od czego się odeszło było tak mgliste i nieznane, że łatwiej było o tym nie myśleć.

Byli i tacy co dźwigali nie tylko ciężar podwójnej lojalności, ale i ciężar podwójnej goryczy. Byli to ci, którzy przyjechali do Ameryki jako młodzi ludzie i których oczy były bardziej niż u innych otwarte. Czuli żal do Polski (chociaż była to jeszcze Polska podzaborowa), że nie dała im nic, że bez przygotowania, bez pomocy, musieli opuścić rodzinny kraj szukając chleba i nauki gdzie indziej. Z goryczą myśleli o Ameryce gdzie ani grupa polska nie przyszła im z pomocą, ani nowy kraj nie otworzył się gościnnie na ich przyjęcie.

Niewielka tylko grupa inteligencji polonijnej zostawała w ramach getta, a jednostki tylko przechodziły z pewną swobodą z podsystemu do systemu, to jest wychodziły na zewnątrz jako Amerykanie polskiego pochodzenia, świadomi swego pochodzenia i nie onieśmieleni nim.

Gdybyśmy się przyjrzeli historii życia tych, którzy umieli utrzymywać kontakt z dwoma systemami, którzy nie odeszli, a jednocześnie wyszli z getta, znaleźlibyśmy pewnie albo nieprzeciętnie żywy stosunek z rodzicami-Polakami, względnie z jednym z rodziców, albo też bardzo silne reminiscencje z dzieciństwa, zidentyfikowanie się czy to z nauczycielem, czy z proboszczem, czy z kimś kto pozostał świadomie lub nieświadomie modelem postępowania, personifikował polskość silną, niezależną od geograficznych granic kraju, od ustroju politycznego, elementy polskiego charakteru narodowego, zdolne stać się budulcem osobowości. Tych ludzi było bardzo niewielu. Grupa inteligencji, która zostawała w granicach getta, kierowała się często interesem osobistym: byli to lekarze, którzy nie znaleźliby praktyki poza gettem gdyż pacjenta przyciągał język polski, adwokaci, którzy mieli w grupie polskiej klientów, politycy którzy zbierali głosy wśród Polaków. Chociaż ta grupa inteligencji podnosiła standard życiowy podsystemu polskiego, nie otwierała go na zewnątrz. Polacy znani są z tego w Ameryce, że mają niezliczone ilości organizacji. Zwróciła już na to uwagę S. Breckinridge w swojej książce *New Homes for Old* wydanej w roku 1921. Pisząc o różnych grupach etnicznych, autorka zaznaczyła, że grupa polska wykazuje wybitne zdolności tworzenia organizacji. Było to funkcją instynktu samozachowawczego i obroną przed wrogim nastawieniem do emigrantów ze wschodniej i południowej Europy. W tej postaci organizacje polonijne spełniały funkcję samopomocy i były często miejscem spotkań ludzi, którzy inaczej czuliby się osamotnieni;

system amerykański mało się z nimi liczył. To co piszę nie jest krytyką organizacji polonijnych, lecz chęcią zrozumienia dlaczego tak liczne i tak ruchliwe wewnętrznie, tj. w podsystemie polskiego getta, organizacje polonijne tak słabo spełniały jeden ze swoich celów: reprezentowanie Polonii Amerykańskiej na zewnątrz. Nie zdobyły one Amerykanom polskiego pochodzenia pewnego statusu w ogólnym systemie amerykańskim.

Wśród organizacji tych są nieliczne wyjątki, jak Instytut Naukowy czy Fundacja Kościuszkowska, które wyszły na zewnątrz utrzymując kontakt z obydwoma systemami. Instytut Naukowy miał zresztą i ma nieco inne zadania, ale podaję go tu jako przykład reprezentowania Amerykanów polskiego pochodzenia w systemie amerykańskim. Podobnie z Fundacją Kościuszkowską, która od początku starała się o ożywienie wymiany pomiędzy grupą polską a systemem amerykańskim. W pewnym stopniu, i w początkach swego istnienia, Kongres Polonii Amerykańskiej również przyczynił się do ożywienia wymiany. Miejmy nadzieję, że ostatnie posunięcia Kongresu wpłyną na otwarcie polskiego podsystemu etnicznego, i że polski odpływ do życia amerykańskiego w formie publikacji na odpowiednim poziomie i informacji o Polakach w Ameryce przyciągnie do grupy etnicznej tych, którzy od niej odeszli i dopomoże tym, którzy czują onieśmielenie wobec własnego polskiego pochodzenia.

Starałam się przedstawić w dotychczasowych rozważaniach jak wyglądał polski podsystem etniczny w otaczającym go systemie amerykańskim. Był to układ raczej zamknięty, z minimum wymiany, wymiana była raczej jednostronna, z wyciekającą energią; a więc system, który zaczyna usychać, nie rozwija się, nie rośnie, w którym powoli przeważa element ludzi starszych, niezdolnych do ekspansji, przywykłych do półobojętnego trwania.

Spójrzmy teraz na polski podsystem etniczny w Stanach Zjednoczonych w roku 1970. Od czasu Drugiej Wojny Światowej upłynęło 30 lat. Zaczyna się coś nowego dziać. Do etnicznego podsystemu polskiego w Ameryce zaczynają napływać emigranci po Drugiej Wojnie Światowej, nieobeznani z warunkami, nieświadomi trudności przez które przeszła wcześniejsza emigracja. Podsystem ani nie może ani nie chce ich pomieścić, odgradza się jeszcze ciaśniej i tworzy we własnym obrębie nowy mniejszy podsystem, starą emigrację, zostawiając wciskającemu się elementowi ludzkiemu miejsce na stworzenie nowej emigracji politycznej. Dla Amerykanina nieobeznanego z wewnętrznym zamieszaniem w podsystemie etnicznym Polak w Ameryce odpowiada stereotypowi opisanemu przez Thomasa i Znanieckiego, obrazowi Polaka łamistrajka, przybysza ze Wschodniej Europy (tej nieoświeconej i zacofanej), który do systemu amerykańskiego wniósł kiełbasę,

Polish wedding, obraz schludnych małych domków i „polski katolicyzm". Z drugiej strony następuje pewien odpływ. W czasie drugiej Wojny Światowej synowie emigrantów polskich przeprawiają się z wojskiem amerykańskim za „wielką wodę" i tam, w Anglii, we Francji, spotykają swoich rówieśników mówiących prawie tym samym językiem. Spotkania te są rewelacją, tak jak spotkania rodziny po długim okresie rozłąki. Młodzi Amerykanie odnajdują modele, których nie mieli w dzieciństwie. Ich kuzynowie z Polski nie odczuwają zakłopotania wobec własnej narodowości, są jeszcze buńczuczni, jeszcze nie stali się emigrantami. Uczucie braterstwa spotęgowane jest wspólnym identyfikowaniem się z tragedią okupowanej Polski, Polski walczącej i wzywającej pomocy. Te spotkania na neutralnym gruncie mają specjalne znaczenie. Polacy widzą w swoim amerykańskim kuzynie „Amerykanina", reprezentanta tej Ameryki o której słyszeli a która w rzeczywistości jest zupełnie inna. Nie mogą się do niej rozczarować, gdyż reprezentant Ameryki gloryfikuje ją i jest do tego sympatycznym chłopcem, który mówi po polsku. Amerykanin polskiego pochodzenia widzi w swoim polskim kuzynie całą Polskę, która w tym nowym wydaniu staje się realna nie przestając być jednocześnie Polską jego matki i ojca. Wracając do rodzinnego domu G.I. pochodzenia polskiego przywozi z sobą wygładzony język polski, sympatię do Polaków i wzbogacone własne ja. Wnosi też do podsystemu polskiego nową energię i umiejętność porozumienia się z „nowoprzybyłymi". Stopniowo nowa emigracja zaczyna przenikać poprzez granice starej emigracji; jednocześnie tu i ówdzie pojawiają się jednostki, wybijające się ponad przeciętność systemu amerykańskiego lecz zachowujące swoją polską tożsamość.

Chociaż podsystem polskiej grupy etnicznej podzielił się na mniejsze komórki starej, nowej, popaździernikowej i dalszych emigracji, proces którego jesteśmy teraz świadkami może doprowadzić do wytworzenia się zupełnie nowej Polonii Amerykańskiej. Polacy są uważani przez obcych za ludzi egocentrycznych, ale zdolnych do poświęceń i identyfikowania się z symbolami. Czego nie zauważono, to że Polacy działają najlepiej i najzgodniej wtedy kiedy są podrażnieni.

Pojawienie się *Polish jokes,* niesmacznych i ubliżających, podziałało lepiej niż najbardziej płomienne przemówienia polskich przywódców. Wytknęli nas palcami i zaczęliśmy się liczyć. „To bardzo dobrze" — mówił do mnie o polskich żartach młody człowiek, trzecie pokolenie polskie w Ameryce — „to dobry znak, zaczynamy być ważni i dlatego nas wyśmiewają". Czuła się obrażona stara i nowa emigracja i w tym ogólnym obrażeniu zaczęliśmy się do siebie zbliżać.

Drugim takim bodźcem były niesłuszne nieraz i krzywdzące publikacje o polskim antysemityzmie. Atakowani i oskarżani ze wszystkich stron, Polacy poczuli, że należy pewne sprawy wyjaśniać, że nie można pozwolić by dzieci emigrantów wstydziły się postępowania rodziców nie wiedząc nawet jakie było ono naprawdę.

Trzecim bodźcem, który wpłynął na ożywienie się grupy polskiej, jest sprawa murzyńska. Są tej sprawy dwa różne aspekty. Pierwszy, to przykład jaki dała grupa murzyńska walcząc o swoje prawa jako mniejszość, drugi to zagrożenie dzielnic polskich przez napływający element murzyński.

Doskonałym wyrazem uczuć Polaków zagrożonych przez „obcych" jest list pana Józefa Poręby w *Dzienniku Związkowym* w Chicago.

„... Polską starą dzielnicę oblazło Puerto Rico. Po Division nie można już chodzić bezpiecznie, a na poczcie polonijnej panuje Afryka. Czarni ignorują białych interesantów. Listy przychodzą z opóźnieniem mimo zip-codów i maszyn do sortowania. Nowi pracownicy poczty zawsze mają czas na wesołe rozmowy z Murzynkami, które przeważnie stoją odwrócone plecami do interesantów. Załatwia się na tej „polonijnej" poczcie także długo. To już nie jest ta sama poczta. Wielki dar dla Polonii kilka lat temu. My tu mieszkamy. My tu płacimy wysokie podatki, które idą dla poprawy życia drugich. Zostaliśmy wyrolowani przez politykierów, tych z prawej i tych z lewej strony. Oddaliśmy swoje głosy po połowie im, to i oni dają nam połowę tego co inni dostają. Każda grupa ma swoje „gangi" i do obrony swojego mienia i swojego *image,* nawet Żydzi. Tylko nie my. Nas mogą bić, ale my nie możemy bić. Nie idziemy z życiem. Gdy oni się zbroją, my się tylko modlimy do Boga o pomoc".

List ten jest niewątpliwie wyrazem uczuć wielu Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy zostali w geograficznych granicach polskiego podsystemu etnicznego. Jest w nim żal, podrażnienie, oburzenie człowieka któremu do uprawianego z trudem ogródka wszedł intruz i podeptał kwiaty, nie zwracając uwagi na właściciela. Jest to oburzenie słuszne. Ale w szerszych ramach całego systemu amerykańskiego, wstrząsanego obecnie rewolucją rasową jest ono tylko jeszcze jednym dowodem reakcji *status quo* na napierające nowe siły. Oburzony na zagrożenie swego domu i brak opieki, Polak w Ameryce nie tylko tej opieki nie otrzymuje, ale oskarżany jest na dodatek o rasizm. Polacy, według badań Andrew Greeley, to najwięksi wśród wszystkich grup etnicznych rasiści. Greeley, zaatakowany przez polskich krytyków, tłumaczy podstawy „polskiego rasizmu" w stosunku do czarnych:

„... konflikt pomiędzy czarnymi a Polakami można wytłumaczyć niemal całkowicie w kategoriach ekonomicznych, społecznych i psychologicznych, bez odwoływania się do tradycji kulturalnych... Jeśli nie zrozumiemy wartości jaką przedstawia dla Polaka przywiązanie do własnego domu, do własnej dzielnicy, i słuszności jego obaw że obydwie te rzeczy są zagrożone, nie będziemy w stanie zrozumieć ostrej animozji istniejącej pomiędzy Polakami a czarnymi. Jeśli naszą reakcją na czarną imigrację której się boimy będzie jedynie potępienie polskiego rasizmu, albo gorzej jeszcze stwierdzenie, że reakcja ta to po prostu polskie uprzedzenie rasowe, to lepiej ażebyśmy nie mówili nic, bo zrobimy więcej złego niż dobrego" (Greeley, str. 61, *Why Can't They Be Like Us?).*

Należy tu odróżnić dwie zasadnicze rzeczy: Reakcja Polaków zagrożonych w swojej dzielnicy nie jest wyrazem stosunku ogółu Polaków do sprawy murzyńskiej; Polacy — grupa etniczna słabo znana i to znana raczej od złej strony — zostali tu wybrani jako kozioł ofiarny rasowych uprzedzeń murzyńskich. Podczas gdy inne grupy etniczne po prostu wynoszą się ze swoich dzielnic ustępując miejsca napierającym nowym, czyli idą starym szlakiem postępowania amerykańskiego, Polacy nie chcą opuścić „swojej dzielnicy", „swoich ulic" i swoich domów gdzie pracowali, rodzili się i gdzie chcą umrzeć.

Ten konflikt, którego Amerykanie nie mogą zrozumieć nie znając psychologii przywiązanego do ziemi Polaka, wprowadził nowy zamęt w dotychczas uśpionym podsystemie polskim; jest on niespodziewanym źródłem energii, która odpowiednio skierowana może zmienić *image* Polaka w Ameryce.

Dlaczego Konferencja Intelektualistów? Dlaczego nie zjazd, powiedzmy, prezesów organizacji? Spróbujmy się zastanowić dlaczego prezes Mazewski zwołał Konferencję Intelektualistów w tym bardzo sprzyjającym klimacie.

Nagłówki gazet polonijnych, rozentuzjazmowane „że coś się dzieje", określiły zjazd chlubnym pionierskim mianem „pierwszego". Należałoby tu wprowadzić zasadniczą poprawkę. Nie jest to „Pierwszy Zjazd Intelektualistów Polskich w Stanach Zjednoczonych", ale pierwszy taki Zjazd zwołany przez Kongres Polonii. Pierwszy Zjazd Naukowców Polskich zwołany był przez Polski Instytut Naukowy trzy lata wcześniej w Nowym Jorku i zdobył sobie rozgłos i uznanie nie tylko wśród Polaków, ale i wśród szerokiego grona naukowców amerykańskich. Zjazd Naukowców Polskich, zorganizowany przez Instytut Naukowy, stał się modelem postępowania dla Kongresu Polonii przy zwoływaniu Konferencji Intelektualistów Polskiego Pochodzenia w czerwcu 1969 roku na terenach Kollegium Związkowego, w Cambridge Spring, w Pensylwanii. Należy zaznaczyć, że zadania Zjazdu Naukowców i Konferencji Intelektualistów były inne, ale że pierwszy zwrócił

uwagę przywódcom Polonii, na istnienie grupy przodującej intelektualnie i na jej status w ogólnym systemie amerykańskim nie wykorzystany do tej pory dla wewnętrznych celów podsystemu polskiego.

Nowy prezes Kongresu zwołując Konferencję w Cambridge Springs wyłonił jednocześnie pierwszy oficjalny pomost porozumienia prowadzący, miejmy nadzieję, do unifikacji intelektualistów młodego pokolenia polsko-amerykańskiego i młodszej generacji emigracyjnej. Projekt konferencji powstał na jesieni roku 1968, miała ona spełnić dwa następujące zadania:

1. Nawiązanie dialogu pomiędzy Kongresem Polsko-Amerykańskim a grupą intelektualistów polskiego pochodzenia.

2. Krytyczna ocena potrzeb i możliwości Polonii, i wyłonienie skutecznych środków, które rozwiązałyby istniejące problemy.

Przyjrzyjmy się konferencji i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie czy dwa jej zadania zostały spełnione.

Uczestnicy konferencji zostali wybrani i zaproszeni na podstawie trzech głównych kryteriów: minimum 10 lat pobytu w Stanach Zjednoczonych, status naukowy w systemie amerykańskim, status uznania i zaufania w podsystemie polskim. Chociaż wielu innych intelektualistów polskich można by zmieścić w ramach powyższych kryteriów, zaproszono 20-tu, którzy mieli uczestniczyć w obradach. Zaproszonych było również 5-ciu dziennikarzy i 9-ciu obserwatorów. Sześć osób reprezentowało komitet wykonawczy Kongresu Polonii. Przeszło 40 osób zgromadziło się w dniach 27 i 28 czerwca w Cambridge Springs. Mówcy zaznaczyli, że tego rodzaju konferencja jest pierwszą w historii Polonii Amerykańskiej. Tym samym więc zaznaczano, że Zjazd Polskich Naukowców zwołany przez Instytut 3 lata wcześniej nie należy do historii Polonii Amerykańskiej. Nie wydaje mi się to zupełnie słuszne. Wydaje mi się natomiast, że przyszła historia Polonii upomni się o zamieszczenie Zjazdu Naukowców i jego dorobku w rejestrze ważnych zdarzeń zyskujących uznanie dla nauki polskiej w Ameryce.

Są to najprawdopodobniej semantyczne nieporozumienia wynikające z braku komunikacji pomiędzy Polonią, a Emigracją po Drugiej Wojnie Światowej. Sprawa przyjmuje już dużo lepszy obrót, bo podczas gdy z zaproszonych na Zjazd Naukowców wszystkich polsko-amerykańskich organizacji tylko dwie przysłały swoich przedstawicieli, jedną z uchwał obecnej Konferencji jest że:

„... in whatever way and to whatever exetent possible, The Polish American Congress cooperate with the ogranization of the Second Congress of Polish Scholars in America in 1970, sponsored by the Polish Institute of Arts and Sciences".

Konferencja w swoich początkowych, ogólnych sesjach wyłoniła szereg problemów grupy polskiej w formie pytań „Co należy zrobić aby...?" Gdybyśmy starali się streścić w jednym słowie o co chodziło i „co należy zrobić aby...", można by powiedzieć, że chodziło o znaczenie grupy polskiej w systemie amerykańskim, czyli, mówiąc językiem tego kraju, chodziło o *power*. Chodziło o znaczenie polityczne i kulturalne, co razem wzięte będzie stanowiło o statusie Polonii, o jej „obrazie". Status Polonii jest niski, a do dźwignięcia go na należyty poziom potrzebne są młode siły i wytrawne głowy. Należy zatrzymać odchodzącą młodzież, zainteresować ją polskością, zrobić polskość atrakcyjną nie tylko w podsystemie etnicznym, ale otworzyć jeszcze bardziej granice systemu i spowodować, aby atrakcyjna polskość błyszczała na zewnątrz i stała się przedmiotem dumy dla młodej generacji Amerykanów polskiego pochodzenia.

Jaka „polskość"? Polskość będzie inaczej rozumiana przez obecnego obywatela Polski Ludowej, inaczej przez emigranta politycznego i inaczej przez trzecie pokolenie Amerykanów polskiego pochodzenia. Należy sobie bardzo jasno uprzytomnić, że polski podsystem etniczny w Ameryce jest strukturą luźno tylko związaną z systemem polskim. Polska grupa etniczna w Ameryce nie jest wewnętrzną strukturą polską, ale wewnętrzną strukturą amerykańską.

Jest to osobne ciało związane lojalnością kulturalną z Polską i lojalnością polityczno-kulturalną z Ameryką. Ten zależny od dwóch układów, ale samodzielny twór ma swoje własne zrozumienie „polskości". Polonia Amerykańska musi też dbać o swój własny interes i swoje własne istnienie gdyż ani Ameryce specjalnie nie zależy na jej egzystencji i rozkwicie, ani też Polsce nigdy specjalnie nie zależało na Polonii Amerykańskiej, a pojęcie o niej w kraju jest raczej mgliste.

Konferencja intelektualistów pochodzenia polskiego zebrała się, aby radzić nad tym, jak najlepiej wnosić polskość do systemu amerykańskiego, ażeby zabezpieczyć przetrwanie, rozwój i znaczenie Polonii Amerykańskiej.

Zebrani podzielili się na dwie grupy, jedna pod kierownictwem Dr. Witolda Sworakowskiego, druga, której przewodniczył Aleksander Janta. Na następny dzień, w sobotę, 28 czerwca obydwie grupy spotkały się i uzgodniły 32 rezolucje.

Pięć z tych rezolucji dotyczy publikacji na temat spraw polonijnych i polskich, dziewięć dotyczy szkolnictwa niższego i wyższego uwzględniającego język, historię i kulturę polską, pozostałe rezolucje dotyczą kościoła polonijnego, wychowania młodzieży polskiej przez rodziców w domu, poparcia dla instytucji i centrów polskich w Ameryce, prasy polskiej w Ameryce, dobrego imienia

polskiego, reprezentacji Polonii w Ameryce i kontaktu młodzieży pochodzenia polskiego z krajem.

Najważniejszą była rezolucja stwarzająca Autonomiczną Radę Doradczą przy prezesie Kongresu Polonii Amerykańskiej. W skład Rady będzie wchodziło 7 osób, przedstawicieli ustalonych placówek naukowych polsko-amerykańskich: Orchard Lake, Alliance College, Instytut Naukowy i Fundacja Kościuszkowska, i 3 osoby z nominacji prezesa Kongresu, reprezentujące 3 dziedziny nauki (nauki przyrodnicze, sztuka i nauki społeczno-humanistyczne), wyznaczone w ten sposób aby pochodziły z różnych części Stanów Zjednoczonych. Komisja będzie miała trzy zadania:

1. Rozpatrywanie spraw oświatowych i kulturalnych przedstawionych jej przez Kongres — żądania, projekty, prośby, które przychodzą z dołu i które prezes Kongresu chce mieć załatwione w sposób fachowy, np. kwestia książek o Polsce dla szkół średnich. Nie ma dobrej historii Polski w języku angielskim Książka Haleckiego jest na poziomie uniwersyteckim, ale nie będzie zrozumiana przez uczniów szkoły średniej.

2. Własna inicjatywa Rady Doradczej — przedstawianie wniosków prezesowi do rozpatrzenia.

3. Opracowanie planu następnej konferencji. Zebrani odczuli, że na obecnej konferencji były pewne braki, i że nie wszyscy ludzie zostali zaproszeni. Następna konferencja powinna objąć więcej przedstawicieli Polonii z punktu widzenia geograficznego.

Rezolucje dotyczące nauczania o Polsce i Polonii na wszystkich poziomach szkolnictwa oparte były między innymi na następujących przesłankach: rząd federalny zainteresowany jest w kształceniu młodzieży z dyplomami akademickimi, obeznanej z obcymi krajami i obcymi językami. Będą to w przyszłości urzędnicy biur federalnych, nauczyciele języka obcego w armii. Rząd subwencjonuje takie studia, których program obejmuje całokształt zagadnień danego kraju: jego język, literaturę, antropologię, historię, ekonomię itd. Takich centrów polskich studiów w Ameryce jest niewiele: jedno na University of Michigan, drugie w Ohio. Chodzi o to, aby tam gdzie istnieje większość polska starać się o pomoc rządową *(grant)*, która umożliwiłaby stworzenie centrum studiów polskich. Alliance College w Cambridge Springs takiej pomocy rządowej nie posiada, gdyż rząd federalny wymaga, aby fakultet collegium przez niego finansowanego miał co najmniej połowę profesorów ze stopniem doktora. Alliance College nie spełnia tego warunku.

Zebrani wyrazili ubolewanie, że dotychczasowa polityka szkół parafialnych uczenia po polsku i o Polsce została zupełnie zaniechana. Zwrócono się do zakonów i parafii o powrót do dawnego poziomu nauczania po polsku. Ustalono, że należy wstrzymać dalsze subwencje dla takich szkół czy zakonów, które nie dostosują się do tego i nie wznowią nauczania w języku polskim. To zaprzestanie uczenia o Polsce i języka polskiego w szkołach parafialnych, które przy kościołach polskich zostały wybudowane ze składek Polonii, było motywem, które powracał w moich rozmowach z uczestnikami konferencji. Byli pełni goryczy i na personel szkół parafialnych i na „obcych" (zwykle Irlandczyków czy Niemców), którzy nie chcą dopuścić do nauki języka polskiego, aby odciągnąć młodzież pochodzenia polskiego od Polonii.

Nie była to gorycz bierna, ale bardzo aktywne wyrażenie sprzeciwu. Jeszcze jeden dowód zmian i aktywności w etnicznym podsystemie polskim.

Problem polega na tym, że po pierwsze, nikt się od szkół tych oficjalnie nie domagał uczenia czy kontynuowania uczenia w języku polskim, a więc np. siostry-nauczycielki języka polskiego zostały przenoszone z polskich szkółek gdzie mogły uczyć dzieci po polsku do szkół gdzie nie było dzieci pochodzenia polskiego; po drugie, siostra zakonnica nie może już uczyć bez tzw. *accreditation*-licencji pozwalającej na uczenie języka obcego i wydawanej po przejściu kwalifikującego kursu i egzaminu. Polonia nie posiada ani kolegiów ani uniwersytetów, które mogłyby dać wykształcenie polskie wymagane przez komisję amerykańską, wykształcenie na poziomie *accreditation*.

Stąd nacisk na Alliance College stworzenia kursów na poziomie seminarium, wykształcenie nauczycieli języka polskiego, i stąd troska o pieniądze na umożliwienie tego nauczania. Pieniądze należy otrzymać w formie stypendiów od organizacji polonijnych.

Kwestia stypendiów polonijnych jest osobną bolączką. Podczas gdy inne grupy etniczne, z grupą żydowską na czele, ustanawiają stypendia umożliwiające studentowi z ich grupy etnicznej albo całkowite studia, albo też dające mu konkretną pomoc, grupa polska podchodzi do stypendiów, jak do symbolu.

Na jednym z obchodów organizacji polonijnej odbyło się rozdanie stypendiów. Były dwa stypendia po 250 dolarów i 40 stypendiów po 25 i 50 dolarów.

Obrona dobrego imienia polskiego, poprzez zorganizowanie instytucji podobnej do *Jewish Anti-Defamation League* była również dyskutowana na Konferencji. Propozycja została odrzucona. Na stworzenie *Polish Anti-Defamation League* brakowało pieniędzy, podczas gdy Żydzi operują żelaznym kapitałem z którego tylko czerpią procenty. Przeważył również polski charakter „nie zaczepiania, nie stwarzania problemu, nie rozdmuchiwania antypolskich wystąpień". Konferencja zdecydowała natomiast, że należałoby zatrudnić specjalistę, który starałby się o nawiązanie dobrych stosunków z innymi grupami etnicznymi i resztą systemu

amerykańskiego. *Taki public relation man* tropiłby wszystkie wystąpienia anty-polskie i anty-polonijne ośmieszające,, ubliżające, szkalujące itd., i miałby do pomocy polonijne organizacje regionalne, interweniujące natychmiast na terenie na którym nastąpiła obraza imienia polskiego, albo też dyskryminacja. Mógłby on także, jeśli zaszłaby potrzeba, informować o dyskryminacji odpowiednie czynniki federalne w Waszyngtonie.

Obrady konferencji toczyły się w bardzo ożywionej, przyjaznej atmosferze. Przeważał język angielski, ale od czasu do czasu przechodzono na język polski zwłaszcza jeśli głos zabierał przedstawiciel powojennej emigracji. Chociaż w żadnej z rezolucji sprawa dialogu między „starą" a „nową" emigracją nie została zaznaczona, uczestnicy Konferencji odjeżdżali pod wrażeniem, że interesy obydwu emigracji są wspólne i że ani jedna ani druga grupa nie powinna już występować na zewnątrz osobno.

Czy dwa zadania Konferencji Intelektualistów zostały spełnione?

Zadanie pierwsze, nawiązanie dialogu między Kongresem, a przedstawicielami intelektualistów polskiego pochodzenia, zostało moim zdaniem rozpoczęte. Przyszłość wykaże czy dialog ten zostanie utrzymany.

Zadanie drugie, ocena potrzeb i możliwości Polonii i wyłonienie skutecznych środków które rozwiązałyby istniejące problemy, zostało, wydaje mi się, w pewnym stopniu zarysowane. Brakło socjologicznej i ekonomicznej analizy sytuacji Polonii nie dyskutowano pomocy ekonomicznej dla wciąż napływającej powojennej emigracji. Nie omówiono potrzeb społecznych polskich emigrantów: domów dla starców, opieki szpitalnej, porady prawnej dla zgubionego w systemie amerykańskim emigranta.

W swojej mowie wstępnej prezes Mazewski zaznaczył, że i Kongres i intelektualiści pochodzenia polskiego mają obowiązek zachowania i przekazania dorobku kulturalnego polskiego w Ameryce następnemu pokoleniu. Jest to niewątpliwie bardzo słuszne. Chciałabym jednak zaznaczyć, że Konferencja nie zajęła się pogłębieniem psychologicznym i wytłumaczeniem dlaczego „mają obowiązek" przekazania dorobku kulturalnego młodszemu pokoleniu. Stwierdzenie, że jest to „spłacenie długu wdzięczności naszym dziadom i pradziadom" należy raczej do retoryki. Czy analizując dokładniej istotne, podświadome przyczyny „owego przekazania wartości" nie dogrzebiemy się do spraw, które wykraczają poza interesy grupy etnicznej, do spraw czysto ludzkich, w których element polski, jako element wchodzący w skład struktury tożsamości człowieka, jest niezmiernie ważny?

Problem przekazywania dorobku kulturalnego grupy czy narodu, a więc i problem przekazywania wartości grupy młodemu

pokoleniu, łączy się bardzo ściśle z wychowaniem tego pokolenia. Jeśli młode pokolenie nie będzie ustosunkowane przyjaźnie do grupy od której ma przejąć ofiarowywany dorobek kulturalny, dar, który wydaje się straszemu pokoleniu cenny zostanie albo zmarnowany, albo odrzucony. Człowiek najchętniej przyjmuje to, co wydaje mu się będzie dla niego z korzyścią, albo przyniesie mu osobistą satysfakcję. Jak przekonać rodziców polskich, że wartości kulturalne polskie są ważne dla ich dzieci? Rezolucje konferencji polskich intelektualistów stwierdzają jedynie że „gdzie tylko możliwe rodzice powinni zachęcać dzieci do zachowania języka i tradycji polskich". Konferencja nie wnika w to dlaczego rodzice powinni tak postępować, ani też jak powinni to robić.

Kurt Lewin, w rozprawie zatytułowanej *Bringing up the Jewish Child,* poucza rodziców-Żydów dlaczego powinni wychowywać swoje dzieci w sympatii, lojalności wobec grupy żydowskiej. Pisze on, że podwójna lojalność jest socjologicznie zdrowa. Tego rodzaju lojalność jest specjalnie aktualna w Stanach Zjednoczonych gdzie tyle jest grup mniejszościowych i gdzie jednostka należy do wielu różnych ugrupowań. Nie to, że należy się do wielu różnych grup jest przyczyną trudności, ale niepewność należenia. W wypadku rodziców Żydów — pisze Lewin — akcja rodziców powinna być taka sama, jak w uświadamianiu seksualnym: otwarta, realistyczna, prawdziwa. Nie możemy zmienić faktu, że dziecko będzie należało do grupy mniejszościowej, musimy się z tym pogodzić. Unikanie problemu sprowadzi tylko późniejsze trudności. Rodzice muszą sobie zdać sprawę, że problem wcześniej czy później się ujawni. Wytworzenie pozytywnego stosunku do grupy żydowskiej jest jedną z niewielu rzeczy które rodzice mogą zrobić dla przyszłego szczęścia swego dziecka. Mogą go tym ochroni, od różnych form przyszłego niedostosowania psychicznego wynikającego z napięcia i niepewności. Dla młodzieży żydowskiej niezmiernie ważne jest zrozumienie socjologicznego aspektu problemu żydowskiego. To zrozumienie pomoże im w rozwiązaniu przedziwnej zagadki: jaką grupę stanowią Żydzi? Będą mogli zadecydować czy każdy z nich osobiście do tej grupy należy. Młody chłopiec czy dziewczyna powinni zrozumieć, że głównym kryterium należenia do grupy, w tym wypadku żydowskiej, nie jest kryterium lubienia jej, lub też nie lubienia, to że jest się podobnym do ich przedstawicieli czy też nie podobnym. Głównym kryterium należenia jest wspólny los. Mogą nienawidzieć żydowskiego mistycyzmu, mogą nie chcieć cierpieć z powodu kulturalnych i religijnych wartości, których nie rozumieją, ale muszą znać fakty i wiedzieć jasno, że istnieje współzależność pomiędzy losem Żydów Amerykańskich i losem Żydów całego świata. Należenie do wielu grup jest naturalne, potrzebne. Prawdziwym niebezpieczeństwem jest za-

wieszenie w próżni, jest stanie się człowiekiem marginesowym, jest wieczna niedojrzałość.

Czy istnieje współzależność pomiędzy Polonią Amerykańską i Polakami na całym świecie? Dlaczego powstała 60.000 Armia Hallera? Dlaczego każda wzmianka o Polakach na świecie obchodzi nas, cieszy, boli, albo wstydzi? Czy może przypominamy coraz bardziej żydowską diasporę na świecie? Czy powinniśmy wychowywać dzieci na ludzi marginesowych, odciętych od własnych korzeni, niepewnych gdzie właściwie należą?

Irlandcy emigranci jeżdżą do kraju swego pochodzenia, aby wyszukiwać metryki chrztu swoich pradziadków. Synowie Amerykańskich Żydów, niezmiernie aktywnych w amerykańskich organizacjach społecznych, jeżdżą do Izraela odnajdywać swoje korzenie. Uczucia narodowościowe należą do najbardziej silnych uczuć człowieka.

Pięćdziesiąt lat temu *Polish Peasant* nie wiedział jak walczyć o uznanie dla siebie i swojej rodziny w obcym systemie amerykańskim. Nie bardzo mu nawet na tym uznaniu zależało. Zależało mu natomiast na statusie w obrębie własnego getta: w parafii, we własnej etnicznej organizacji i we własnej rodzinie. Autorytetem był proboszcz do którego szedł po radę i który ustalał hierarchię wartości. W roku 1970 własna grupa etniczna przestała wystarczać. Ta sama grupa przyznaje status zaufania dopiero wtedy, gdy został on już zdobyty w ogólnym systemie amerykańskim. Współzależność przemian w obu systemach wpłynęła na postępowanie Amerykanina polskiego pochodzenia. Zdobycie odpowiedniego statusu w systemie amerykańskim gwarantuje mu niezależność ekonomiczną, przywileje społeczno-polityczne i popularność we własnej grupie etnicznej. Ponieważ nie może on pozbyć się swego polskiego dziedzictwa, gdyż jest ono częścią składową jego tożsamości, stara się zdobyć odpowiedni status dla wartości polskich i polonijnych, aby stały się one czynnikiem pozytywnym w zdobywaniu i utrzymaniu statusu w systemie amerykańskim.

Danuta MOSTWIN

Straty kultury polskiej

Tadeusz Peiper (1891-1969)

Tadeusz Peiper pochodził ze stosunkowo zamożnej, inteligenckiej rodziny polsko-żydowskiej, od dawna osiadłej w Krakowie. M. Bałaban w swojej *Historii Żydów w Krakowie i na Kazimierzu* (1936) wymienia nazwisko przodków Peipera (nazywali się wówczas: Peiperles) jako dobroczyńców lokalnego szkolnictwa — już w drugiej połowie XVIII wieku. J. Buszko, w pracy *Ruch socjalistyczny w Krakowie* (1961) cytuje raport policyjny, z którego wynika, że w roku 1903 wśród osób udzielających finansowego poparcia PPSD znajdował się również Julian Peiper, adwokat krakowski. Ojciec Tadeusza Peipera (Abraham Marek) był również adwokatem, następnie asesorem. Nie jest to może bez pewnego znaczenia, że Peiper wyrastał w atmosferze pojęć i reguł prawnych.

Tadeusz Peiper urodził się w Krakowie; studia rozpoczął w roku 1911 na Uniwersytecie Jagiellońskim na wydziale prawa; ukończył je dopiero w roku 1936 na wydziale filozoficznym (studiował również w Berlinie i w Paryżu). Przed wybuchem pierwszej wojny światowej należał do „Strzelca"; wybuch wojny zastał go we Francji, gdzie został internowany — jako obywatel austriacki — w Bordeaux. Stamtąd przedostał się w 1915 roku do Hiszpanii, gdzie przebywał do końca 1920 roku. Pisać zaczął wcześnie, chociaż nie dochowały się żadne poezje Peipera sprzed 1914 roku — twierdził, że jego wczesne utwory uległy kradzieży — raz w uniwersyteckiej czytelni, drugi raz, gdy zginęła mu walizka na dworcu kolejowym w Wiedniu w trakcie powrotu do Polski.

W Hiszpanii Peiper zajmował się dziennikarstwem, drukując artykuły o sprawach polskich w dzienniku madryckim *El Sol* i w innych czasopismach. Przełożył też na spółkę z Carlosem Pereyra fragmenty *Chłopów* Reymonta; przekład ukazał się w Madrycie w 1920 roku.

Ruch literacki we Francji i w Hiszpanii niewątpliwie wywarł

spory wpływ na poglądy i twórczość poetycką Peipera. Dokładniejsze badania wykazałyby zapewne istotne zbieżności między jego wczesnymi poglądami a teoriami takich przywódców awangardy hiszpańskiej jak poeta południowo-amerykański, Vicente Huidobro, chociaż wpływy te Peiper przekształcił i zdystansował. Pierwszy artykuł Peipera, napisany po powrocie do Polski, dotyczył właśnie poezji hiszpańskiej i zawierał szereg przekładów najmłodszych poetów hiszpańskich, takich jak wymieniony Huidobro, H. Rivas, Guillermo de Torre, L. Borges i inni (artykuł ukazał się w 1921 r. w redagowanej przez Anatola Sterna *Nowej Sztuce)*. W artykule tym znajdujemy uwagi, które wejdą później w postaci postulatów do własnej poetyki Peipera. „Kult dla zdania — pisał Peiper — jest najistotniejszą cechą" najmłodszej poezji hiszpańskiej. Ten kult dla zdania stanowić będzie jeden z zasadniczych punktów własnej teorii Peipera: poezję zdefiniuje on jako „tworzenie pięknych zdań"; powie także, że jedynie zdanie może być terenem istotnych zdobyczy poetyckich — przeciwstawiając się w ten sposób futurystycznym „słowom na wolności". Inna cecha ówczesnej poezji hiszpańskiej, dostrzeżona przez Peipera, okazała się inspiracją jednego z najistotniejszych elementów w poetyce Peipera: postulatu ekwiwalentyzacji, wyrażonego w twierdzeniu, że „proza nazywa, poezja pseudonimuje. Poezja podnosi rzeczywistość w odrębny świat zdania, stwarzając słowne ekwiwalenty rzeczy". Definicję tę, pochodzącą z *Nowych ust* (1925), warto porównać z następującym fragmentem artykułu o poezji hiszpańskiej: „Wszystko zmierza do tego, żeby zdanie doprowadzić do najwyższego stopnia nasycenia literaturą. Dlatego to zdanie uzyskuje szeroką autonomię w stosunku do rzeczywistości... Nieraz zaś zdanie zrywa zupełnie kontakt z rzeczywistością... W ten sposób powstaje nowa rzeczywistość — rzeczywistość literacka, samorodna i samorządna, w której możliwe jest wszystko, czego wymaga życie słowa". Ideał czystej literatury, „literatury literackiej" — oto co Peiper przywiózł do Polski w roku 1921 i rozwijał przez następne kilka lat swojej poetyckiej i teoretycznej działalności. Ideał dosyć paradoksalny, gdyż „rzeczywistość" i tak istnieje na szczególnych prawach w dziele literackim. Niemniej, poglądy Peipera nie były w Polsce odosobnione — przeciwnie, zbiegły się z szerokim nurtem anty-przedstawieniowym w literaturze, w plastyce i w teatrze, stykały się z hasłami deformacji, z Witkiewiczowską teorią Czystej Formy — różniły się zaś od tej ostatniej brakiem zainteresowań metafizycznych, technicyzmem oraz tak istotnym dla Peipera odwoływaniem się do sankcji nowoczesnej cywilizacji (co go łączyło do pewnego stopnia z futuryzmem) — dla Witkiewicza niosącej zagładę sztuki, dla Peipera — jej nowe formy.

Związki te były dla Peipera dowodem, że idzie w samej czołówce współczesności, co zawarł w haśle „uścisku z teraźniejszością", i co znalazło odbicie w nazwie Awangardy. Wyczuł też Peiper dobrze, że w Polsce wszelkie próby tworzenia nowych poetyk muszą przeciwstawić się tej tradycji, która niewątpliwie okazała się najbardziej żywotną — tradycji polskiego Romantyzmu. Romantyzm zaś pojmował Peiper dosyć szczególnie, przez pryzmat twórczości Młodej Polski w jej neoromantycznym i ekspresjonistycznym wydaniu. Cokolwiek jednak powie się o istotnej wartości teorii Peipera, ich wartość doraźna była niewątpliwie duża — pozwalała poezji polskiej spojrzeć na Romantyzm krytycznie, poprowadzić dalej rozrachunek zapoczątkowany przez Stanisława Brzozowskiego i Wyspiańskiego — rozrachunek niepełny i bardzo jeszcze — romantyczny.

Nie jest więc całkowitym paradoksem fakt, że właśnie z Brzozowskiego wywodziły się niektóre z założeń Peiperowskiego myślenia, takie jak ostre przeciwstawienie świata pracy, cywilizacji i kultury — mitowi „człowieka w przyrodzie", jak niechęć do żywiołowego indywidualizmu, jak próby znalezienia dla literatury miejsca w nurcie spraw społeczno-politycznych. To w pewnej mierze pod wpływem myśli Brzozowskiego, oraz tradycji rodzinnych, próbował Peiper łączyć postępowość i radykalizm społeczny (idący głównie po linii PPS) ze zmodyfikowaną teorią „sztuki dla sztuki", „poezji dla dwunastu", poprzez przeniesienie aspektu ideologicznego z treści na formę(dualizm ten zresztą odrzucał). Wystawiony na napór sprzecznych tendencji, Peiper znalazł rozwiązanie, które na pierwszy rzut oka mogło się wydawać rzeczywiście genialne, łączyło bowiem zaangażowanie z pełną autonomią literatury. Wychodząc z założenia, że „forma jest także treścią", w niej bowiem (a nie w fabule, nie w ideach) „przejawia się cały człowiek, jego właściwa natura..., nieznane często jemu samemu skłonności", oraz, że „ideologia dochodzi do głosu w samej robocie artystycznej, w samych środkach formalnych", dochodził do wniosku, że najbardziej użyteczna jest literatura skoncentrowana na samej sobie, swoimi formami wybiegająca w przyszłość, a rolę artysty i poety awangardowego określał mianem „karmiciela karmicieli" (Sztuka służyła więc w ten sposób proletariatowi, służąc równocześnie samej sobie). Tak jak w momencie głoszenia haseł odrębności języka poetyckiego, istotnej roli metafory, skrótu, pośredniości uczuć, hasła te wysnuwał metodą analogii z nowych zjawisk życia współczesnego, tak rozpatrując sprawę zaangażowania literatury, przeprowadzał ściśle analogie między formą utworu a jego istotną ideologiczną treścią. Twierdził, na przykład, że „formy epigońskie, różne nawroty do form minionych umacniają w społeczeństwie konserwatyzm"; postulował ścisły związek między „wolnym wierszem" a „wolną konkurencją" i „wolnym głodem"; przekonywał, że „należy uprzytomnić sobie życiową moc form artystycznych, ich wpływ na życie". „Formy nowe budzą zainteresowanie dla poszukiwań we wszystkich dziedzinach... aż wreszcie długą serią ogniw psychicznych... wywierają wpływ na teren zdarzeń. Dzieła, opanowaniem dźwigane w nowy ład, owiewają psychikę odbiorców życiowymi urokami ładu, przygotowując w ten sposób psychiczny grunt pod przyszłe społeczeństwo oparte na ścisłej organizacji funkcji społecznych". I tak argumentując, mógł oczywiście z dumą wołać:

„Mój rym jest socjalistyczny" — gdyż: „podczas gdy rozwichrzony wiersz wolny rozdmuchuje wichrzycielstwo... odległy rym regularny wpaja w czytelnika — bez jego wiedzy, bez jego woli... pochwałę zależności między ludźmi, co... przygotowuje psychiczne predyspozycje dla przyjęcia socjalistycznego społeczeństwa".

Posuwał się zresztą jeszcze dalej, twierdząc na przykład, że „utwór poetycki może wygłaszać najbardziej społeczne hasła, autor zaś może nie być czystym typem społecznym, i to właśnie zdradzi forma jego utworu", przekonanie, które — kilkanaście lat później — stało się wręcz idealną bronią w ręku politruków niszczących niezależną literaturę i odbiło się ujemnie na losach samego Peipera.

Peiper był zdumiewającym fanatykiem ładu. Już w cytowanym artykule o poezji hiszpańskiej, u progu swojej teoretycznej kariery, zwracał uwagę na elementy dowolności i niebezpieczeństwo zatracenia „spójni wewnętrznej" w nowoczesnej, awangardowej poezji. Z tej głębokiej predylekcji dla ładu wyłoniła się tak istotna dla poetyki polskiej awangardy idea rygoru, położenie nacisku na „budowę" wierszy, konstruktywistyczny stosunek do sztuki i poezji. Te same predylekcje leżały u podłoża tak charakterystycznie *normatywnego* kierunku Peiperowskich rozmyślań o poezji. Jego artykuły roją się od „formuł warsztatowych", przepisów, ostrzeżeń i zakazów, tak jakby poezja mogła być funkcją sformułowania, czy znajomości odpowiedniej recepty. Niewątpliwie, była w tym konsekwentnie anty-romantyczna postawa, świadoma chęć zastąpienia całego szeregu „romantycznych" pojęć o poezji — pojęciami nowymi, bardziej „nowoczesnymi". Zamiast natchnienia — dobre rzemiosło; zamiast wyrażania uczuć życiowych, autobiografizmu i w ogóle uczuciowości — zawodowe uczucia poety, wynalazczość, radość z pokonywania trudności; zamiast „broczenia atramentem" — rygory konstrukcji; zamiast ludowości — impulsy czerpane z rozwoju cywilizacji i techniki; zamiast trafiania pod strzechy — poezja dla dwunastu, antycypowanie przyszłości, wiara w „filarowe końce cienkich początków".

W tym rygorystycznym stosunku do poezji i procesów twórczych leżała zarówno siła jak i słabość poetyki Peipera. Atrakcyjny jest bowiem system, który zdaje się odsłaniać tajemnicę dobrej roboty poetyckiej. Ale tym samym odsłania się nieatrakcyjność takiego systemu — gdyż poetów obowiązuje indywidualizm twórczy. Nic też dziwnego, że główni uczniowie Peipera, początkowo przejmujący tak entuzjastycznie główne jego tezy, bardzo szybko zaczęli wykazywać ambicje zaznaczenia własnej odrębności.

Z głównych członków tzw. pierwszej, czyli krakowskiej awangardy, jedynie Jalu Kurek nie zdobył się na próbę własnej poetyki. Julian Przyboś odrębność swoją doprowadził do punktu, w którym jego główne postulaty stały się zaprzeczeniem postulatów Peipera. „Poezja — definiował w wyraźnej opozycji do poglądów „papieża" awangardy — jest przeciwieństwem umowności, jest buntem przeciw literackości, jest nieustannym kryzysem piśmiennictwa". „Trzeba najpierw zdobyć ład — zaznaczał bardziej może pojednawczo — lecz tylko po to, aby oddać się bezładowi". Poezję Peipera określał jako retoryczną, rehabilitował skazany przez Peipera na banicję obraz poetycki, oddalał się coraz bardziej od poezji urbanistycznej i maszynistycznej, od Peiperowskich trzech „M": Miasta. Masy. Maszyny. — i wbrew swym młodzieńczym i bardzo zapalczywym atakom na poezję przyrody, przywracał w swoich pointylistycznych wierszach obrazowanie świadczące o dużej wrażliwości na uroki krajobrazu. Jan Brzękowski, którego ciągnęło w stronę nadrealizmu, również bronił praw wyobraźni; podnosił wartości elipsy, nie gardził grą słów i pewnym stopniem wieloznaczności. Adam Ważyk odszedł od poetyki Peipera najdalej, ale też od samego początku nie był jej zbyt bliskim.

Chociaż jednak najbliżsi zwolennicy Peipera wyzwolili się spod jego wpływów, w ich stosunku do poezji, do literatury w ogóle, pozostało sporo zasadniczych cech samego Peipera. Dotyczy to przede wszystkim Przybosia i Brzękowskiego. Niektóre z tych cech są bardziej oczywiste, inne mniej uchwytne. Przyboś, na przykład, nigdy nie poddał krytyce ideału „nowoczesności"; obaj pozostali wierni postulatowi „wstydliwości uczuć". Mniej uchwytne są te cechy, które wystąpiły w momencie gdy Peiper zastanawiając się nad problemem sztuki i proletariatu, oświadczył: „Ja chcę być specem od poezji". A więc nie tylko poetą, czy poetą i krytykiem, ale — specem. Sam dobór tego słowa mówi więcej, niż całe artykuły Peipera. To właśnie z wyczuciem tych specjalistycznych ambicji, Irzykowski określał w 1934 roku rezultat dążeń awangardy jako „zwężenie i jałowiznę usiłowań poetyckich". Peiper bowiem niewątpliwie przyczynił się do technicyzacji pojęć o poezji. Nie na darmo Brzękowski określał z perspektywy kilku lat rolę redagowanej przez Peipera *Zwrotnicy* (1922-23 i 1926-27) jako „laboratorium nowych form poetyckich". Nie na darmo ulubionym terminem Peipera był zwrot: „chwyt poetycki". Słusznie też zwracał uwagę Irzykowski (w artykule: „Burmistrz marzeń nie zamieszkanych", 1931) na pewną sztuczność z jaką „literatura ostatniego przełomu" zawczasu pozowała przyszłemu historykowi, „nałykawszy się uprzednio sporo historii literatury, estetyki" i — można dodać — ech nowych prądów w lingwistyce i krytyce literackiej (np. formalizm). „Przed wojną — zauważał pedantyczny merytorysta krytyki polskiej — było *l'art pour l'art*. Po wojnie zostało i ono wchłonięte w wir przewartościowań i wypłynęło jako dobre rzemiosło poetyckie, tak samo dobre, jak jubilerstwo, wyrób ogni sztucznych, tokarstwo. Dawna kapliczka czy wieża z kości słoniowej przemieniła się w prosty warsztacik". W charakterystyce tej niesłuszny jest przymiotnik: prosty. Warsztacik był całkiem skomplikowany, tyle tylko, że zamiast alchemika czy samotnego łowcy podszeptów Absolutu, siedział w nim nowoczesny inżynier, budowniczy, wynalazca, producent rzeczy pięknych*. Poetyka Peipera była jednak niewąt-

pliwie zmodyfikowaną kontynuacją tendencji, które zaznaczyły się już silnie w belgijskim i francuskim symbolizmie.

W kontekście polskim (a także w kontekście katastroficznego XX wieku) tendencje te były trudne do utrzymania. Literatura jako „laboratorium nowych form" okazała się niewystarczająca i dla samego Peipera. W roku ukazania się artykułu Irzykowskiego, Peiper opublikował poemat, który w systemie jego pojęć był próbą „poezji stosowanej" Poemat, zatytułowany *Na przykład*, dotyczył sprawy brzeskiej i został natychmiast skonfiskowany. Konfiskatę udało się Peiperowi cofnąć (z wyjątkiem dwu linijek) — ale niestety z małym pożytkiem dla jego sławy jako poety. *Na przykład* w większym stopniu niż inne próby Peipera poezji stosowanej, publicystycznej, zaangażowanej bezpośrednio (dużo lepsza i ciekawsza jest *Kronika dnia)*, jest utworem słabym, nie wolnym od niezamierzonych efektów humorystycznych — i nie była to tylko złośliwość, gdy Irzykowski nazwał Peipera „socjalistą à la lord Wilde". Peiper był przede wszystkim — specem od poezji. Niezbyt też udane były jego dramaty: *Szósta! Szósta!* (1925) i *Skoro go nie ma* (1933) oraz powieść *Ma lat 22* (1936.

◆

Jeżeli czytać poezję Peipera z myślą o tym, jak „odległy rym regularny" przyspiesza „społeczeństwo oparte na ścisłej organizacji funkcji społecznych", poezja ta niewątpliwie traci na wartości. Nie konieczne jest także czytanie jej jako ilustracji zagadnień warsztatowych:

Pod wodzą spojrzeń srebrną konnicę twych słów ślesz na mnie,
srebrną konnicę i uśmiech igłą strzelający z wież w pale
na których kwitną moje deski, żółte obłoki z drzewa...

lub

Niebo osiadło głodne na ziemi, mysz na westchnieniu...

lub

oddział obłoków
przetrząsa powietrze jak bogatą piwnicę
i już rozpasanie hula
na kopule kościoła, popielniczce dnia,
za małej nawet na mieszkanie wróbla.

lub

Ptak który ptak który by był ciekłą latarnią
i rozpinał łuk szeroko wykreślony biodrem
najpiękniejszej kobiety, lub latającą spiżarnią
słodyczy zebranych między najwonniejszym miodem;
ptak któryby był światłem latającym po zalotnej linii,
smacznym światłem latającym po linii z cukru;

* Tak właśnie interesował się Peiper i innymi dziedzinami sztuki: filmem, teatrem, architekturą, plastyką, poświęcając im sporo rozważań teoretycznych, zawsze pełen sugestii i pomysłów.

który na szczycie umiałby być zdaniem z wiśni,
czerwonym rozkazem radości w błękitnym cyrku,
a, opadając, chłostał niebo jak gniewna kreska
i ściekał ostrym wodospadem na parujące skóry,
tak leciała przez powietrze piłka dzielnie kopnięta,
żywiąc nasze oczy jedwabną swą bułką, ptak który —

Poezja Peipera zachwyca, a co najmniej zaciekawia wtedy, gdy pozwalamy jej przesuwać się przed nami jak „srebrnej konnicy słów", gdyż jest to poezja całkiem „fotogeniczna", filmowa bardziej niż obrazowa, pełna barokowych niespodzianek i smaków. Przyjemnie jest z niej wyławiać zwroty utoczone tak gładko, że aż czasami za gładko, przyjemnie jest konstatować, że wśród różnych rodzajów poezji jest miejsce i na cacka (Irzykowski nazwał *Nowe usta* — a więc najpełniejszy wykład poetyki Peipera — „cackiem stylistycznym), że daje momenty całkowicie bezinteresownej radości. Najlepsze wiersze, najlepsze linijki, zwroty i metafory Peipera są jak ładnie zrobione rzeczy, które z przyjemnością bierze się do ręki i ogląda. Czasami są to rzeczy zupełnie błahe, ale właśnie Peiper może uczyć, jak z tematów błahych robić wiersze estetycznie ponętne. Słusznie więc będzie przypomnieć, że to właśnie poeci awangardy argumentowali, iż nawet najwznioślejszy temat nie potrafi uczynić ze złego wiersza — poezji. Z drugiej strony pewna intelektualna błahość wielu awangardowych wierszy, a także wąski zakres wyrażanych w nich przeżyć — stanowią słabość, która momentami staje się śmieszna, gdy uświadomimy sobie ilość zużytej eksperymentatorskiej i poetyckiej energii.

Swego czasu Zbigniew Bieńkowski obruszył się na Grochowiaka, oraz innych powojennych poetów, zarzucających poetom awangardy ton „śmiertelnej powagi", brak poczucia humoru. Bieńkowski wskazał słusznie, że poezji awangardowej nie brak tego rodzaju poczucia humoru, który można określić „dowcipem językowym", a który polega na „odwracaniu toku językowej skłonności, językowego lenistwa", oraz zwraca uwagę „na samą funkcję słowa, na jego funkcję zdumiewania". Cechę tę znajdujemy także w niektórych wierszach Peipera, który lubił nazywać siebie „słowiarzem". Zarzut „śmiertelnej powagi" można by więc odwrócić przeciwko tym, którzy nie okazują żadnego zrozumienia, że poezja to także „zabawa w język" i że zabawa ta wymaga sporej dozy pomysłowości i bystrości. Peiper świadom był tych spraw, skoro w jednym ze swoich artykułów zestawiał pojęcia dowcipu i metafory, i skoro pisał, że „sztuka słowa graniczy ze sportem słowa". Brak poczucia humoru wyrażał się u Peipera inaczej — po prostu poeci awangardowi, a już szczególnie Peiper — mieli tendencję do brania siebie i swoich eksperymentów nazbyt serio, nie rozumiejąc przy tym, że obok sentymentalizmu uczuciowego, który polega na niewspółmierności uczuć i tematu, istnieje równie „sentymentalizm formalny" — czyli niewspółmierność tematu i formy.

Trudno jednak byłoby zaprzeczyć, że zarówno poezja, jak i, a może przede wszystkim działalność teoretyczna Peipera, przyczyniły się znacznie do rozbudzenia i wyrafinowania świadomości formalnej poetów i krytyków dwudziestolecia, że uczyniły poezję polską bogatszą, bardziej różnorodną, że przyczyniły się do odnowienia języka, techniki pisarskiej i samych pojęć o poezji. Ślady wpływów teorii Peipera, a w każdym razie ślady bodźców, widoczne są nie tylko u poetów określanych mianem Awangardy Krakowskiej, ale prawie w całym pokoleniu poetów debiutujących pod koniec lat dwudziestych i w latach trzydziestych. Nie kto inny jak Czesław Miłosz stwierdzał w 1938 roku, że tradycji ruchu awangardowego nie da się ominąć, można ją jedynie (i trzeba) przezwyciężyć. A i w poezji powojennej teorie Peipera nie pozostały bez swego wpływu.

Kładąc nacisk na stronę techniczną twórczości poetyckiej, na nowatorstwo, Peiper przyczynił się także do reinterpretacji poetów dawniejszych. Co prawda, negacja tradycji, programowo głoszona, wzorem futurystów, w jego wczesnych manifestach, była dużą słabością jego teorii — zawieszała je w próżni, czyniła aroganckimi, wystawiała na zarzuty odkrywania Ameryki. W okresie późniejszym Peiper i pod tym względem zmienił swoje stanowisko. To nie kto inny jak Peiper karcił Przybosia w artykule drukowanym w 1936 roku w *Czasie* (nr 280) za nazwanie Słowackiego „największym polskim rewolucjonistą formy". Nie dlatego jednak by oburzyło go nawracanie do tradycji, sam bowiem stwierdzał, że „Słowackiemu pokrewna jest tradycja awangardowa w jego dążeniu do takiej mowy poetyckiej, która by nie miała na sobie balastu prozy...". Peipera oburzyło zupełnie co innego: niedocenienie przez Przybosia nowatorstwa Mickiewicza. „Nie wolno o Słowackim mówić — pisał swym charakterystycznie hiperbolicznym stylem — w sposób z którego by mogło wynikać, że był większym nowatorem formy od Mickiewicza"! I nie kto inny jak Przyboś wykazał ile artyzmu i ile „eksperymentu" zawiera poezja narodowego wieszcza. Peiper niewątpliwie przyczynił się do wyostrzenia w Polsce zmysłu poezji.

◆

Kiedy wybuchła wojna, Peiper znajdował się w Krakowie. W listopadzie 1939 roku przechodzi na stronę sowiecką; aresztowany we Lwowie w 1940 roku, wywieziony zostaje do Rosji, gdzie zgłasza akces do Związku Patriotów Polskich. Współpracuje z *Nowymi Widnokręgami* i z *Wolną Polską*, przebywając najpierw w Kujbyszewie, a następnie w Moskwie. W 1944 wyjeżdża do Jakucka dla zebrania materiałów o przebywających tam w okresie carskim zesłańcach polskich. Pod koniec tego roku wraca do kraju, i rozpoczyna współpracę z szeregiem czasopism, gdzie drukuje fragmenty powieści, artykuły, recenzje teatralne, eseje o dramaturgii (Szekspir, Lope de Vega), oraz wypowiedzi publicystyczne. Nie odgrywa jednak jakiejś znaczniejszej roli w ówczesnym życiu literackim i spychany zostaje coraz bardziej na

margines pisarski. Ostatnie artykuły ogłasza w *Tygodniku Powszechnym* i w *Dziś i Jutro* w 1954 roku. W roku 1956 ukazuje się jeszcze jego przekład sztuki Lope de Vegi *Pies ogrodnika*, przygotowany dużo wcześniej. Jest to bodaj ostatnia publikacja Peipera w powojennej Polsce. Nie ogłasza żadnych nowych wierszy. Nie pozwala na wznowienie publikacji przedwojennych*. Przez dwanaście lat milczy zupełnie. Nie znaczy to, że nie pisze. Według różnych informacji pracuje w tym czasie nad monografiami o Zapolskiej, o tańcu ludowym, pisze poza tym pamiętnik, który ma być równocześnie rodzajem „monografii epoki". To milczenie Peipera jest tym dziwniejsze, że okres popaździernikowy przynosi wzmożone zainteresowanie jego teoriami i poezją. Ukazują się o nim artykuły w *Twórczości* i w innych czasopismach, poloniści poświęcają mu rozprawy książkowe**, biorą go za swego patrona młodzi poeci (A. K. Waśkiewicz, R. Krynicki i inni). Powody tego milczenia mogły być bardzo różne. Mogły być czysto osobiste, psychiczne — a więc po prostu Peiper stał się na starość dziwakiem, do czego przyczyniły się zarówno doświadczenia wojenne jak i powojenne; polityczne — niechęć do systemu, który skazał go w pewnym momencie na intelektualną i twórczą banicję; względy osobistej polityki literackiej — liczenie na przyszłość; a może wszystkie te powody razem, lub jakieś jeszcze dodatkowe, albo zupełnie inne.

Nie trudno zauważyć, że życie Peipera ułożyło się w smutne *decrescendo*, że zarówno jego socjalizm, jak i wiara w wiek XX okazały się naiwne, że zbytnio zaufał on człowiekowi, epoce, i własnym marzeniom.

Jeden z młodych poetów krajowych określił niedawno los Peipera jako los prekursora: „Przyszło jednak Peiperowi dzielić los Norwida...". Nie jest to może porównanie najlepsze. Norwid umierał nie tylko w przytułku, nie tylko w zupełnym odosobnieniu, ale i prawie całkowicie zapomniany; ostatnie lata życia Peipera były — przeciwnie, dowodem wzmożonego zainteresowania jego osobą, teoriami, i w pewnym stopniu — jego poezją. Dramat życia Peipera był dramatem człowieka zabłąkanego jakimś dziwnym zrządzeniem tradycji, lektury, predyspozycji psychicznych i losu z fikcyjnego, pełnego blasku wieku XX-go w realny wiek XX-ty. Było w nim coś z optymistycznego enterpreneura wczesnej fazy kapitalizmu, działającego na terenie poezji, coś z XX-wiecznego eksperta, a może także coś z Don Kichota. W jego osobistym losie odbiły się zarówno blaski jak i cienie losu radykalnej polsko-żydowskiej inteligencji, tyle tylko, że mógł umrzeć tam, gdzie mu się marzyły „filarowe końce cienkich początków".

Bogdan CZAYKOWSKI

---

* Zarówno *Nowe usta* jak i wydany w 1930 roku zbiór artykułów *Tędy*, są dziś bardzo trudno dostępne.

** Cf. J. Sławiński, *Koncepcja języka poetyckiego Awangardy Krakowskiej*, 1965; S. Jaworski, *U podstaw Awangardy: Tadeusz Peiper — pisarz i teoretyk*, 1968.

Kronika kulturalna

Czy "inny" Gombrowicz ?

Motto: *„Nie, nie brak moralności mojej sztuce. Ale to może nie ja jestem moralny, to moje utwory".*
(Witold Gombrowicz: „Rozmowy z Dominique de Roux").

Listy Gombrowicza ogłoszone przez Iwaszkiewicza w *Twórczości* zasmuciły wielu jego przyjaciół, wywołały *Schadenfreude* różnych pół-inteligentów, którzy nie mogli nigdy przełknąć światowej sławy dzieła w którym, słusznie zresztą, widzieli kamień obrazy rzucony do ich prywatnych ogródków.

Nie zamierzam tu „bronić" poszczególnych pociągnięć Gombrowicza, o których świadczy ta korespondencja, mimo że postaram się odświeżyć pamięć dzienniczkowych Katonów i spojrzeć na nie w kontekście sytuacji sprzed dwudziestu kilku lat. Zacznę jednak od aspektu zasadniczego. Ze smutku i zażenowania przyjaciół, z radości wrogów, wynikałoby że listy te w pewien sposób „kompromitują" Gombrowicza, że widzimy w nich człowieka innego, gorszego, niż Gombrowicz z „Dziennika" czy z „Rozmów". Na najniższym poziomie intelektualnym pojawia się jeszcze dziwaczniejsze przekonanie, że skompromitowany jest nie tylko człowiek, ale i pisarz. P. Wiesław Wohnout głosi z triumfem w *Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza,* że ogłaszając te listy Iwaszkiewicz „bezlitośnie wysmagał snobizm batalionów emigracyjnych entuzjastów „ferdydurkizmu". Uważa on nas za „złodziei okradzionych, wiarołomców zdradzonych, snobów wystrychniętych na dudka". Wydawałoby się że poczciwa polska teoria sprzed wieku, wyprowadzająca wielkość dzieła ze szlachetności twórcy dawno leży w grobie, że ostateczne ciosy zadał jej u nas Boy, nawet w razie zdemaskowania hipokryzji: „Trylogia" nie ucierpiała na odkryciu że Sienkiewicz nie był tym cnotliwym staruszkiem, za którego chciał uchodzić. Cóż dopiero w wypadku pisarza, który, jak Gombrowicz, wielokrotnie (w „Dzienniku", w autobiograficznych „Rozmowach") mówi o swojej twórczości że „podszyta jest jego prywatnymi i wstydliwymi nędzami"; że nędze te były „dotkliwe, niepokojące"; że był, od wczesnej młodości, „przedziwną pokraką pokumaną ze wszystkimi zniekształceniami, z całą patologią egzystencji". Logika? Konsekwencja? Jak żądać konsekwencji *w życiu* od człowieka który napisał o sobie: „zależnie od miejsca, osób, okoliczności, byłem mądry, głupi, prostak, wyrafinowany, milczek, *causeur,* niższy, wyższy, płytki, lub głęboki, byłem lotny, ociężały, ważny, żaden, wstydliwy, bezwstydny, śmiały albo nieśmiały, cyniczny albo szlachetny... czymże nie byłem? Byłem wszystkim!".

Gombrowicz patrzył na siebie odważnie i bezlitośnie. Ułatwiał mu to zresztą krańcowy relatywizm w widzeniu człowieka. Twierdził on, że nasze dzisiejsze poczucie moralne ma charakter indywidualistyczny, że wywodzi się wciąż z pojęcia duszy nieśmiertelnej, dla każdego osobnej, i że niezbyt nadaje się do świata ludzkiego opartego w jego pojęciu na radykalnym stwarzaniu się człowieka przez ludzi. „Coraz bardziej zdajemy sobie sprawę — pisał Gombrowicz — że coś tu szwankuje. Przez ileż rozmaitych moralności musi się przedrzeć każdy z nas. Z księdzem inna moralność, z kobietą inna. W wojsku co innego, w życiu cywilnym co innego... W domu muchy byśmy nie zabili, z aeroplanów spuszczamy napalm na małe dzieci... Nasze potępienie, nasze oburzenie moralne chybiają... *To nie jest tak".* Z tego relatywizmu wyciągnął Gombrowicz jeden tylko wniosek: „Powiedziałem sobie: jeśli forma nas deformuje to postulatem moralnym będzie wyciągnąć z tego konsekwencje. Być sobą, bronić się przed deformacją, mieć dystans do najbardziej „własnych" uczuć, myśli, o tyle o ile mnie nie wyrażają — oto najpierwszy obowiązek moralny".

Istnieje w „Rozmowach" ustęp, w którym Gombrowicz wydaje się jakby z góry odpowiadać na stawiane mu dziś zarzuty:

Gombrowicz: ... Moralność moich utworów jest silniejsza ode mnie, ja jej nie szukam, ona mną włada.
de Roux: — A osobiście proszę wybaczyć — czy pan uważa siebie za człowieka moralnego?
G.: — Owszem, ale tchórzostwo mi w tym przeszkadza, tchórzostwo fizyczne.
R.: — Czy to, że pan w Argentynie przez dwadzieścia lat z okładem biedował w samotności byle nie odstąpić na krok od swoich założeń pisarskich, nie zrobić żadnej koncesji, ... czy to uważa pan za osiągnięcie moralne?

G.: — Nie, to stało się samo przez się".

Wniosek jest chyba jasny: jedyna moralność, jakiej mamy prawo oczekiwać od Gombrowicza, to bezkompromisowy stosunek do swojej autonomii twórczej, to obrona suwerenności pisarza. Listy do Iwaszkiewicza potwierdzają tę moralność. Starając się o druk swoich utworów w Kraju, podkreśla Gombrowicz za każdym razem, że nie mógłby się zgodzić na żadne skróty. „*Ślub* może być drukowany tylko w całości, ze wszystkimi komentarzami i odsyłaczami" (3. IX. 1948). „Jeśli sprawa wydrukowania dramatu zostanie pozytywnie załatwiona, to proszę mnie zaraz zawiadomić, gdyż musiałbym przysłać szereg poprawek, bez których nie można tego ogłaszać" (12. I. 1949). „Nie mógłbym się zgodzić na drukowanie samego tylko tekstu, bez tej przedmowy, komentarzy i uwag" (16. VI. 1949).

Wiemy, że nie były to puste słowa: kiedy po Październiku proponowano Gombrowiczowi druk „Dziennika" w kraju w zamian za drobne skreślenia — odmówił kategorycznie.

Swoją zasadę — że „moralność pisania sprowadza się w końcu do tak elementarnej maksymy, że prawie wstyd się przyznać: pisz tak, aby ten kto cię czyta miał cię za uczciwego człowieka" — stosuje Gombrowicz nie tylko do swej własnej twórczości. Na przesłany mu przez Iwaszkiewicza poemat, „Podróż do Patagonii", odpowiada następująco: „Zastanawiam się czy, gdybyś traktował swoje stany duchowe jako coś narzuconego Ci, jako coś, do czego jesteś zmuszony, gdybyś, słowem, wydobył wszystką sztuczność Twojej obecnej ewolucji — czy to nie byłoby właściwe i płodne? Wydaje mi się, iż jest to dziś jedyna możliwa droga dla sztuki polskiej". (2. III. 1950).

Przed „Zniewolonym Umysłem" Miłosza daje tu Gombrowicz receptę „Ketmana": jak, pisząc w warunkach gdzie siłą narzucana jest totalitarna ideologia, dać znać czytelnikowi co jest przymusowym hołdem, złożonym tej ideologii, a co autentycznym, własnym wyrazem.

Wystarczy zresztą odczytać ogłoszony w iwaszkiewiczowych *Nowinach List do Ferdydurkistów* (przedrukowany ostatnio w *Kulturze*), aby zrozumieć dlaczego wszystkie zabiegi Gombrowicza o druk w Kraju musiały wówczas, nawet przy najlepszej woli Iwaszkiewicza, spalić na panewce. Jest to tekst wymierzony przeciw hipokryzji i patosowi, ośmieszający „drętwą mowę" i cały fałsz „nowej rzeczywistości". Taki numer mógł przejść raz. Nie zdziwiłbym się, gdyby Iwaszkiewicz miał wówczas z tego powodu sporo przykrości.

W dziedzinie zasadniczej — uczciwości pisarza, który przyznawał się otwarcie do wszystkich swoich osobistych słabości, ale który w swym dziele przekuł słabość na siłę — listy Gombrowicza do Iwaszkiewicza nie tylko tej uczciwości nie podważają, ale są jeszcze jednym jej świadectwem.

Warto jednak zastanowić się również nad ludzkim aspektem tej korespondencji. Jakież zarzuty stawia się na jej podstawie Gombrowiczowi?

1) Starał się w roku 1947 zostać attaché kulturalnym przy poselstwie polskim w Buenos-Aires.

2) Prosił w roku 1947 o stypendium „dla napisania książki o nowej rzeczywistości polskiej dla Argentyńczyków".

3) W roku 1948 dostał „skromną posadkę" w reżymowym Banco Polaco i starał się o protekcję Iwaszkiewicza aby zostać dyrektorem tej placówki.

4) Proponował w roku 1949 ułatwić nowe wydanie *Ferdydurke* w kraju pisząc „przedmowę wykazującą związki Ferd. z duchem przemian socjalnych w Polsce, a nawet z duchem „realizmu", gdyż antynomiczna struktura tego utworu zapewnia mu efektywność we wszystkich koniunkturach politycznych".

5) Skłamał, pisząc w roku 1968, że w jego „Dzienniku", drukowanym w *Kulturze* „nie zamieszczono w passusie o Tyrmandzie samego zakończenia, w którym potępiał jego ataki na pisarzy „krajowych", co zmienia sens całego ustępu".

Zacznijmy od pierwszych czterech punktów. Po pierwsze — nic z tych wszystkich zabiegów nie wyszło. Sam Iwaszkiewicz pisze w swoim wstępie: „Niestety nie mogłem załatwić nic dla Gombrowicza". — Jeśli zaś — postaram się to uzasadnić — były to obietnice „w próżnię", starania skazane z góry na niepowodzenie, zachodzi pytanie: dlaczego?

Przez całą wojnę, a właściwie aż do roku 1948, Gombrowicz żył w nędzy, której nie zaznał żaden z polskich pisarzy emigracyjnych, związanych czy to z wojskiem na Zachodzie, czy z oficjalną londyńską emigracją. Była to nędza prawdziwa, brak pieniędzy na jedzenie, na pokój w obskurnym pensjonacie. Drobne pożyczki od znajomych, płatne lekcje filozofii przy kawiarnianym stoliku. Z „Dziennika" wiemy że zdarzało mu się ze swymi przyjaciółmi ulicznikami korzystać ze styp pogrzebowych wokół nieznajomych trupów. W ciągu ośmiu lat mógł w tych warunkach napisać tylko „Ślub", zacząć „Trans-Atlantyk". Na emigracji nie było wówczas mowy o „batalionach entuzjastów". Zaledwie kilku wiernych przyjaciół, jak Józef Wittlin czy Litka de Barcza (stosunki z *Kulturą* zostały nawiązane dopiero około roku 1950). Oczywistym rozwiązaniem wszystkich kłopotów materialnych był w tych warunkach powrót do Polski, ale Gombrowicz za nic tego nie chciał, nie dla żadnych motywów „patriotycznych", wiedząc po prostu że byłaby to dla niego śmierć twórcza. Propozycje, starania, obietnice zawarte w listach do Iwaszkiewicza — to miota-

nie się człowieka, którego sytuacja wydaje się bez wyjścia: „tchórzostwo fizyczne", ale również świadomość że musi sobie zdobyć warunki do pisania. Ich absurdalność jest dla mnie oczywista. Attaché kulturalny? Ależ Gombrowicz byłby obłędnym attaché kulturalnym dla każdego państwa, co dopiero dla komunistycznej Polski. Książka o Polsce? „Konstruktywna" przedmowa do „Ferdydurke"? Nawet gdyby Gombrowicz je napisał, byłyby tak przewrotne, tak „ketmanowskie" (świadczy o tym „List do Ferdydurkistów"), że nikt by ich w Polsce nie wydał.

Jeśli zastosować do tej korespondencji gombrowiczowski klucz „międzyludzkiej deformacji", to styl jej wydaje mi się zapożyczony z dwóch środowisk, w których Gombrowicz czuł się „jak w domu": ze „złego towarzystwa" i z „towarzystwa" *tout court*. Jest w tych listach trochę łobuzerskiej chęci „naciągnięcia frajerów". Ale Iwaszkiewicz traktowany jest tam również jak wspólnik, w grę wchodzi solidarność tego innego, „wyższego" towarzystwa. Można sobie pozwolić na pisanie o przedstawicielach reżymu w Buenos-Aires bez ogródek: „bezmierna tępota... ludzie sprytni lub głupi... złodzieje... tysiące intryg". Ton jest „światowy", połączenie umiarkowanego pochlebstwa z niedopowiedzianym apelem do solidarności ludzi „dobrze wychowanych": „Bardzo jestem Panu wdzięczny, Panie Jarosławie, że Pan mnie popiera i niewątpliwie jest to rys wielkoduszności, właściwy tylko osobom pewnej rasy i formatu duchowego". O jaką tu „rasę" chodzi, wyjaśnia szereg aluzji do wspólnych znajomych, niczym te „Lwy" i „Księżna Mary" z przyjęcia u Hrabiny Kotłubaj: „Bogdanowie Chądzyńscy, ona z domu Szymanowska... Alicja baronowa de Lande... Dolly Taube...". Albo: „Czy w swoich rozlicznych podróżach nie zawadziłeś przypadkiem o moją kuzynkę, Romerową Elżbietę, która podobno jest gdzieś w Londynie czy Paryżu. Zdaje mi się że odziedziczyła grubszą forsę po swojej matce. Znikąd nie mogę dowiedzieć się jej adresu. Jestem bardzo znękany tymi kłopotami finansowymi". Tak mógł pisać „spłukany" w Monte Carlo członek Klubu Myśliwskiego do jakiegoś Podfilipskiego; niech gdzieś wynajdzie tę „forsę"; jak nie od rządu, to od kuzynki. Piszę o tym bez cienia ironii, bo kto jak kto, ale Gombrowicz dokonał na sobie najbardziej wnikliwej autopsji snobizmu: „ta mitologia kiepska i ośmieszająca dobrała się do nas i nie popuszczała". Nie gdzie indziej należy szukać źródła najbardziej może kłopotliwej ze wszystkich „rewelacji" w tej korespondencji: kłamstwa o rzekomej cenzurze przez *Kulturę* ustępu o Tyrmandzie. Pamiętajmy że naczelnym nakazem moralnym dawnego *monde*'u było, aby nic przykrego nie mówić w oczy (za plecami, jak najbardziej). *Il ne faut jamais dire des choses désagréables,* mawiały nasze babki. Jestem przekonany, że zagrał

tu u Gombrowicza ten właśnie refleks. Kluczem do tego jest zresztą skreślone przez Gombrowicza zdanie, figurujące na ogłoszonej przez *Kulturę* fotokopii inkryminowanej strony: że Tyrmand jest lepszym pisarzem od wielu na warszawskim Olimpie. Może zdał sobie sprawę, że to absurd jeśli „Olimp" reprezentować mieli Iwaszkiewicz, Ważyk, Andrzejewski. Ale pozostało mu to skreślone zdanie w pamięci: „ja tego, kochany Jarosławie, nigdy nie powiedziałem...".

Kiedy ostatni raz odwiedziłem Gombrowicza w Vence, kilka miesięcy przed jego śmiercią, czytał z upodobaniem przesłany mu z Polski tom listów Naruszewicza do Stanisława Augusta, w których o niczym innym poczciwy biskup nie pisze, jak o złych urodzajach, długach bratanków i wciąż Najjaśniejszego Pana o dukaty prosi. Polski barok posłużył Gombrowiczowi do najwierniejszej karykatury polskości w „Trans-Atlantyku"; ślady jego w tej korespondencji świadczą o subtelnej auto-ironii, jak gdy kwitując „pismo" Iwaszkiewicza, powołuje się na sienkiewiczowskie „Przyszło pismo od Ks. Wojewody". Jest w tych listach pewna humorystyczna stylizacja na „familianta" piszącego do „Księcia Generała Ziem Podolskich". Stylizacja nie obca Gombrowiczowi.

„Ja siebie stwarzałem poprzez utwór" — powiedział o sobie Gombrowicz. Ci którzy go dziś atakują, czy zacny p. Wohnout, czy wysługujące się Bezpiece łapsy, których nie warto nawet wymieniać, nigdy jego dzieła nie zrozumieli — chyba go nawet nie czytali. Trudno od nich wymagać aby mieli dla Gombrowicza-człowieka ten szacunek, jaki mają ci, którzy wiedzą — z tego co sam o sobie pisał — jak „oscylował pomiędzy obrzydzeniem a wewnętrzną zgodą na ohydę" i jak odwaga, bezkompromisowość w twórczości doprowadziły go wreszcie do momentu w którym „mądrość" jest autentycznym źródłem „moralności". „To nie jest tak", proszę Państwa Dulskich.

K. A. JELEŃSKI

Książki

W stronę gorzkiej refleksji

Ostatnią pozycję z serii „Dokumenty" wydawca opatrzył wstępem. Czytamy w nim: „Nie ma powodu ukrywać, że odrobinę ironiczny tytuł naszej książki skierowany jest przede wszystkim do Polonii zagranicznej, odwiedzającej tłumnie ojczyznę. Niech przynajmniej, dzięki temu czarnemu przewodnikowi napisanemu całkowicie w Polsce, stara się bez różowych okularów spojrzeć na nieznany kraj rozkoszy wakacyjnych i uczuć rodzinnych".

Zamierzenie zostało spełnione bez reszty. Najróżowsze różowości bledną i szarzeją pod wpływem lektury. Działa niczym „obuchem w łeb". Dlatego ludziom o słabych nerwach, cierpiącym na nostalgię, hołubiącym niepokalany obraz Ojczyzny-Jaka-By-Ona-Nie-Była odradzam sięgania po ten zbiór reportaży, felietonów, notatek, artykułów — opublikowanych głównie w drugim półroczu 1969 r. w PRL. Niech przyjmą na słowo honoru, że tym tomem Instytut Literacki w Paryżu potwierdził w pełni prawdziwość publikowanych poprzednio, niekoloryzowanych wizerunków nadwiślańskiego dnia dzisiejszego pióra Flemminga, Lurczyńskiego, Preiss.

Niechże raczej zaabonują pełne radości socjalistycznego istnienia „Polonie", „Nasze Ojczyzny", „Tygodniki Polskie" itp. drukowane na eksport periodyki. Znajdą w nich dość pożywki dla pielęgnacji uczuć rzewnych a słodkich, i dla ich ochrony przed destrukcyjnym wpływem gorzkiej prawdy. W myśl popularnego dziś w Polsce porzekadła: fakty przeczą? — tym gorzej dla faktów.

Czy niechęć do obrazów rzeczywistości jest naganna?

Emigrant, nawet emigrant polityczny, naturalizowany pod obcymi gwiazdami (nieunikniony to warunek odwiedzin w ojczyźnie), wraca do miejsc serdecznie bliskich po ...nastu czy ...dziesięciu latach. Podświadomie konfrontuje obraz utrwalony w pamięci z tym, co znajduje w realiach dnia dzisiejszego. Zestawienie zaw-

* „Biblioteka *Kultury*", Tom 184, Seria „Dokumenty". Str. 384. Cena F. 24 (dol. 5).

sze wypadnie korzystnie dla współczesności — w Albanii, w Grecji, w Portugalii także. Bo wbrew fałszywym sugestiom pamięci, życie nigdy i nigdzie nie zatrzymuje się w miejscu w chwili czyjejś emigracji.

Długo pozostawałam pod wrażeniem sceny zaobserwowanej w 1958 roku. Po środku Placu Konstytucji, czyli w centrum socrealistycznego, wybrzydzonego na wszystkie estetyczne i ekonomiczne sposoby MDM-u, wybitny naukowiec uniwersytetu Columbia, uciekinierka z 1947 roku — klęka na spękanym kawałku piaskowca największej budowlanej bzdury i szepce wśród łez: „gdybym to wówczas przewidziała...". Mówiąc inaczej, i wszystkim znajomymi słowy: „ile Cię cenić trzeba ten się tylko dowie...".

Istnieją jednak dwie perspektywy i dwie — pozostając przy Mickiewiczu — c e n y. Inaczej c e n i i o c e n i a mury MDM-u czy imponujący przemysłowy krajobraz nowych hut rozrzewniony turysta, przywykły do starobiednych strzech na tej ziemi. Ptak przelotny, komponujący w sercu nowy, wdzięczniejszy obraz ojczyzny, by bez kontroli celnej wywieść go przez granice i umieścić na poczesnym miejscu w swoim zorganizowanym, zasobnym, niezależnym od starego kraju — życiu. Inaczej — kto zbyt drogo płaci niedostatkiem za ową fata-morganę socjalistycznej szczęśliwości. Kto ogląda ją codziennie w splendorze wszechobecnej bzdury i niepewności jutra. Ta c e n a nie skłania do uniesień nad pięknem fasad.

Między owymi doznaniami — z bliska i z daleka — istnieje zbyt mało punktów zbieżnych. Nawet dla tych, co od lat przyczyniają się do rozwoju „największego polskiego domu wysyłkowego Tazab et Co" i do przekraczania planów obrotu Polskiego Banku Opieki PKO. Choć prawdopodobnie wielu z nich — w czasie wakacyjnego pobytu na warszawskim czy krakowskim bruku — roi coś na kształt pozytywnego wspólnictwa z ludowym reżymem: *my* (emigracja) wspomagamy materialnie krewniaków, by tym skuteczniej mogli oni realizować plany rozwojowe, które schlebiają naszej odświętnej dumie narodowej (na emigracji).

Proszę wybaczyć mimowolną ironię. Jestem pełna czci i uznania dla wszystkich, którzy — wbrew i mimo — chronią miłość i obraz ojczyzny przed krytycyzmem. Miłość korzysta z „immunitetu" — nie podlega analizie.

Dlatego właśnie t a k kochającym ojczyznę nie polecam lektury omawianego zbioru. Podobnie, jak nie uważam za słuszne i zasadne karmienie Teilhard'em de Chardin uczestników nabożeństw różańcowych. Niech ich stereotyp królestwa bożego pozostanie nieskomplikowany i naiwny. Między głęboką, bezkonfliktową i bezpieczną wiarą a radosnym, bezrefleksyjnym patriotyzmem nie ma uchwytnej różnicy. Jedno i drugie nie poddaje się skalpelowi sceptycyzmu.

Kto nie zwykł cofać się przed choćby przerażającą prawdą, znajdzie w „Znasz-li ten kraj?" tworzywo do bogatych rozważań nad deformującym wpływem totalizmu.

Zdecydowana większość 84 przedruków — szczególnie repor-

taży i krytycznych notatek pochodzi z pism średnio- i niskonakładowych, przeznaczonych dla elitarnych (w sensie komunistycznym) kręgów czytelniczych.

Nie przypadkowo na pierwszym miejscu znalazł się tygodnik *Życie Gospodarcze*. Zajmuje on wyjątkową pozycję w czasopiśmiennictwie krajowym. Opinia dziennikarska długi czas utrzymywała, że jest jedynym pismem trafiającym w oryginale na biurko Gomułki. Z innych sporządza się na użytek partyjnego Olimpu wyciągi publicystyczne. Ta papka sterylna i jeszcze bardziej nijaka niż w oryginale, jest faktycznym łącznikiem między prasą a kierownikami partii i państwa. Wyjątek stanowi właśnie *Życie Gospodarcze*, które publikuje i któremu pozwala się publikować więcej materiałów ukazujących fragmenty rzeczywistej sytuacji gospodarczej — i to bez szczególnego „wystroju" dydaktycznego.

Na ostatniej kolumnie tego pisma w felietonach „Klaksona" i złośliwościach „Żywocika" figuruje lżejszy kaliber nadwiślańskich bzdur i bzdurek, przygważdżanych wyjątkowo śmiało jak na stosunki w Polsce. Tajemnica tej swobody tkwi w hermetycznym charakterze tygodnika. Klaksonowe rewelacje nie trafiają do szerszego ogółu. A rzeczywisty odbiorca tygodnika — aktyw gospodarczy, doczytujący się między wierszami ekonomicznych rozważań wręcz tragicznych prawd, przyjmuje je (czyli bzdurki) już bez większego wrażenia.

Na drugim miejscu pod względem ilości przedruków znalazła się *Polityka* — ostatni względnie niezależny organ prasowy w PRL. Pan docent Kąkol poucza swoich studentów, że jest to ostoja dywersji politycznej i jako taka — w imię miłości policji i nietykalnych jej patronów — powinna ulec szybkiej likwidacji. Byłabym niepocieszona, gdyby nastąpiło to w jakimkolwiek związku z wydaniem „Znasz-li ten kraj", bądź z niniejszą recenzją. Chociaż takie „rozwiązanie" problemu lub oddanie tygodnika w pacht wymienionemu docentowi-dziekanowi bardziej odpowiada „dialektyce rozwoju", niż „przekonanie" ambitnego zespołu do uznania racji policyjnego socjalizmu.

Życie Warszawy, Trybuna Ludu, Sztandar Młodych — dzienniki o wielkich nakładach, zajmują następne pozycje. Chociaż z innych względów: wycinki z „wielkiej trójcy" — a także z radia, przewyższającego je zasięgiem — są mniej dowcipne w formie i mniej marginesowe w treści. Poruszają sprawy ważne, te których już przemilczeć się nie da. Stroją je w szaty fałszywych komentarzy, urzędowego optymizmu, bawią zręcznością lub niezręcznością żonglerki słownej. Urasta z tego szczególna karykatura polskiej codzienności.

Redakcje i redaktorów trudno posądzić o świadome i tendencyjne autorstwo tej karykatury, dezawuującej władzę „ludową". Wśród 29 pism, reprezentowanych w zbiorze nie ma ani jednego, podejrzanego o działanie na rzecz syjonizmu, demokracji, świętego Kościoła, bezbożnego maoizmu tudzież imperializmu (oczywiście poza moskiewskim). Mimo to w zaufanych i kontrolowanych pieczołowicie rękach zamierzony panegiryk zmienia się w pamflet — w Polsce; Instytut Literacki w Paryżu jedynie przedrukował jego fragment.

Coś świta...

Czytelnikowi spoza kraju nasunie się wątpliwość: jaka jest ta osławiona cenzura w Polsce, skoro „takie" publikacje ogłoszono drukiem?

Dla cenzorów, ich patronów i zwierzchników, którzy wiedzą, że wyczerpali wszelkie możliwości ograniczenia prasy, „Znasz-li ten kraj?" będzie znakomitą lekcją. Pouczającą, że we współczesnym świecie żadne żonglowanie ćwierć- i półprawdą nie może wyeliminować niebezpieczeństwa ujawnienia całej prawdy. Poza syjonizmem, imperializmem, paryskimi *clochard*'ami i potworem z Loch Ness nie ma dla PRL bezpiecznych tematów.

„Znasz-li ten kraj?" nie świadczy przeciw „doborowej jakości" systemu cenzurowania w Polsce. Jest on perfidny i skuteczny. Polega również na zróżnicowanym podejściu do wydawnictw prasowych. Wrażliwość i ostrość cenzury zależy od wielkości nakładu, sposobu kolportażu (sprzedaż powszechna czy prenumerata), kręgu społecznego odbiorców, ujęcia tematycznego artykułów, ich komunikatywności dla szerszego ogółu. Także od pozycji politycznej redakcji i redaktora. W wypadku radia — naciski kontroli rosną lub słabną w zależności od godziny emisji, odcinka programowego i rozgłośni — czyli od liczebności i typu słuchaczy. Tłumaczy to np. intrygujące zjawisko „śmiałych" audycji w... nocnym programie dla zagranicy.

Glossę w sprawie cenzury wypada zamknąć stwierdzeniem: jest dobra, bardzo dobra. To polska rzeczywistość jest, niestety, bardzo niedobra.

Oto kilka próbek owej rzeczywistości w prasowym przekazie anno Domini 1969 w relacji wytrawnych dziennikarzy i — czasami — znawców omawianych dziedzin.

Trzystronicowy drobiazg zamieszczony w grudniowym numerze *Współczesności* (redaktor naczelny Józef Lenart, zastępca członka KC, pogromca polskiej literatury). Tytuł: „Dymom na przekór".

Zastraszające informacje o dewastacji terenów, o skażeniu wód i atmosfery na Górnym Śląsku. Notatkę zaczyna stwierdzenie, że najnowocześniejsza w Polsce huta cynku, zbudowana już po 1956 roku i wprowadzona do eksploatacji przed kilku laty, zniszczyła swymi wyziewami kilkaset hektarów sąsiadującego z nią lasu. A kończy się quasi-refleksją: „Narastają, to prawda, dalsze straty, bo rok za rokiem potężnieje wielkoprzemysłowa machina, ale są i zwycięskie batalie. Istnieją odcinki nadal ciężko zagrożone, punkty krytyczne — lecz na innych frontach sukcesy. Malkontenci psioczą na ociężałość i niesprawność tej kontrofensywy — i mają rację. Przełomu jeszcze nie widać. Lecz najcięższy kryzys wydaje się zażegnany. Coś świta...".

Co świta na zadymionym, zatruwanym Śląsku — czytelnik w tekście nie znajdzie. Nie ma też odpowiedzi na dręczące pytanie: dlaczego nowa huta w Miasteczku Śląskim jest rozsadnikiem śmierci, choć miała być „oazą" wśród starych, poharrimanowskich hut cynkowo-ołowianych.

Informacja pt. „Niepokój pod wiechą". Temat — wyjątkowe, nawet jak na Polskę, „zawalenie" planu inwestycyjnego w 1969 roku. Perełka kazuistyki, opublikowana w organie centralnym PZPR, *Trybunie Ludu* (redaktor — Stanisław Mojkowski, członek KC, poseł na Sejm, przewodniczący zarządu głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich startujący zawodowo przed wojną w pisemku diecezjalnym w Łomży).

Chociaż żaden typ budownictwa nie osiągnął poziomu wyznaczonego planem, chociaż opóźnienia w budowie zakładów przemysłowych muszą zaciążyć nad wykonaniem planu produkcji przemysłowej — autor kieruje uwagę czytelników na sprawę... kuchenek gazowych. Ich brak, jak twierdzi, przyczynił się walnie do przegranej batalii budowlanej. Polska jest wprawdzie producentem wielkiej ilości kuchenek... lecz byłoby nie *fair* niszczyć autorowi pointę. Oto i ona: wrzesień był jedynym pomyślnym miesiącem w budownictwie, więc publicysta *Trybuny Ludu* zamyka artykuł „stwierdzeniem": „... trzeba jednak pamiętać, że rok ma 12 miesięcy a wrzesień był już dziewiątym miesiącem w kalendarzowej kolejności" (str. 92).

„Niepokój pod wiechą" czy „niefrasobliwość nieszczęścia"? To ona cechuje większość publikacji.

Pisze się o potrzebie zajęcia się chłopo-robotnikami w „Ursusie" i że nikt o to nie dba. I co? I nic...

Podaje się do wiadomości, że najwyższe czynniki nakazały produkowanie odpowiedniej odzieży ochronnej i roboczej, ale wciąż jej nikt nie produkuje. I co? I nic...

Informuje się, że zelektryfikowano ponad 3.000 km jednokierunkowych linii kolejowych a co roku elektryfikuje się dalsze 300 km. Inwestycje pracochłonne i kosztowne. Czy przynoszą korzyści? A no nie, bo nie przystosowuje się torów do szybszego biegu pociągów. A co na to publicysta *Trybuny Ludu?* Konkluduje niefrasobliwie, choć nie bez racji: „... może by więc zabezpieczyć warunki dla nowoczesnej trakcji a sieć zawieszać na końcu...".

Niepozbawione specyficznego optymizmu są również próbki prasowe nawiązywania „dialogu ze społeczeństwem". *Życie Warszawy* (redaktor naczelny Henryk Korotyński, najstarszy stażem szef centralnej gazety, uosobienie wdzięku osobistego, mistrz serwilizmu wobec każdej władzy i nielojalności wobec dziennikarzy) pośredniczy od dawna w rozmowach telefonicznych obywatela z przedstawicielami władzy. Tym razem na linii podsekretarz stanu w Ministerstwie Komunikacji. Obywatelka X pyta o ...oczyszczanie peronów na stacji w Świdrze pod Warszawą. Podsekretarz stanu odpowiada a *Życie* cytuje w druku pod nagłówkiem „Dziś i jutro żelaznej drogi": „... Będziemy interweniować. PKP odpowiadają przecież nie tylko za przewozy ale i za stan obiektów kolejowych. Proszę (mówi matador do obywatelki) zadzwonić do mnie za parę dni i powiedzieć, czy sytuacja się zmieniła..." (str. 259).

Sytuacja się zmieni! — przekonywa wdzięcznym głosem „pogotowie propagandowe" czyli pięciominutówka gospodarcza radia Warszawa.

Brak w sklepach chleba? — nie takie to znów bezzasadne. „... biorąc pod uwagę przyszły spadek spożycia chleba, nie planuje się budowy na wielką skalę zakładów piekarniczych, raczej punkt ciężkości przesunięty zostanie w kierunku modernizacji i automatyzacji już istniejących piekarń...". „... a jeżeli do tego jeszcze ulepszone zostaną procesy technologczne, pozwoli nam to z większym optymizmem spojrzeć na nasze piekarnicze kłopoty i spodziewać się dobrego chleba powszedniego". Żeby zaś ukrócić brzydkie komentarze na temat „naszych piekarniczych kłopotów" redaktor stwierdza, że wielkie ilości chleba marnuje się w gospodarstwach domowych. Także w jego własnym (str. 150-151).

Te i inne „zastrzyki optymizmu" nie są wcale popisami imbecylów. Znam niektórych autorów osobiście. Wiem, że zawodowego „optymizmu na wynos" nie podzielają prywatnie.

Niebezpieczne związki

Różnie to bywa ze spojrzeniami z bliska i z daleka. W okresie, z którego pochodzi ogromna większość przedruków „Znasz-li ten kraj?" mogłam się jeszcze przyczynić do jego poszerzenia. Ulegając nawykowi sięgania po pióro, mimo figurowania na wiadomej liście prześwietnego Biura Prasy KC. Czegoż to bowiem nie można dokonać z pomocą kumoterstwa! Nawet w pozornie tak zwartych i nieprzenikliwych pod nadzorem policyjnym regionach, jak kierownictwa „środków masowego przekazu".

W czwartym miesiącu pobytu poza granicami kraju myślę o tym ze zgrozą. Inny jest bowiem ciężar gatunkowy wiedzy o dramacie społeczeństwa i państwa z odległości, wyzwalającej szersze i pełniejsze wnioski; odległości nie zamąconej codziennymi niepokojami. Dla mnie, dziennikarza, człowieka „niedawno stamtąd" najsilniejszym wrażeniem z lektury jest właśnie uprzytomnienie sobie wszystkiego, czego w prasie polskiej nie ma. Jak z biegiem lat zawęził się zakres tematyki i społecznej funkcji dziennikarstwa.

Poza krótkim okresem październikowym — nigdy w PRL krytyka prasowa nie godziła bezpośrednio w oligarchię partyjną i państwową. Łamy prasy stanowiły jednak jakąś trybunę walki z wynaturzeniami społecznymi. Łatwiej było wszelkiego autoramentu „matadorom" uzyskiwać wysokie protekcje partyjne i gwarancje bezkarności niż uniknąć publicznego osądu za sprawą dziennikarza, który zechciał „porwać się" na „autorytet' i udowodnić nieprawość jego postępowania.

Nie dziw więc, że ostateczną wszechwładzę biurokracji zapoczątkowało poskromienie prasy. Wyrok ogłosił sam Gomułka przy okazji likwidacji *Po prostu* w 1957 r. — wykonał Starewicz ze swoją kamarylą. Od tego czasu byle biurokratyczny ciura ma świadomość całkowitej bezsilności dziennikarza, ten zaś przeczuwa — nieuchronną porażkę każdego „zamachu" na „nieomylność" aparatu władzy. Redakcje zabiegają jedynie o zachowanie pozorów krytyki. Udając rzecznika opinii publicznej i interesów publicznych, prasa stała się milczącym wspólnikiem aparatu. Zarzuciła nawet wieloletnią działalność pomocy i interwencji na rzecz skrzywdzonej jednostki, rezygnując i z tej skromnej formy publicznej dyskusji nad wypaczeniami.

Nie ma więc na kartach obszernego tomu bodaj nieśmiałej próby polemiki ze zwyrodnieniami gospodarczymi, z zanikiem więzi społecznej, z degrengoladą moralną społeczeństwa, uznającego coraz powszechniej słuszność pospolitego hasła „śmierć frajerom". Niesposób znaleźć odbicia wiedzy o tym, co zmusiło niedawno najświatlejszych spośród najmłodszych do podejmowania rozpaczliwych prób zrzucenia biurokratycznej tyranii.

Najsmutniejszą z tej lektury jest dla mnie refleksja nad żałosnym epilogiem wieloletnich dziennikarskich wysiłków przekazywania całej czy dostatecznie reprezentatywnej prawdy o tym, co składa się na życie 32-milionowej społeczności. Z wielu najrozmaitszych powojennych możliwości zawodowych, dziennikarze — w tym większość autorów przedrukowanych materiałów — wybrali trudy i satysfakcje wpływania na poglądy społeczeństwa. W oparciu o własne, autentyczne przekonania, tradycję narodową, osiągnięcia nowoczesnej myśli społecznej. Jeżeli nawet nie w absolutnej zgodzie ze swymi pragnieniami i sprawdzalną wiedzą, to przynajmniej nie wbrew nim i wbrew oczywistości.

„Znasz-li ten kraj?" mógłby posłużyć jako epitafium zamierzeń. My, dziennikarze startujący w Polsce po wojnie, znaleźliśmy się w pułapce bezradności, otumanienia, fałszu. Coraz częściej i wyraźniej zmuszano nas do roli „hamulców" rozwoju świadomości społecznej. Staliśmy się eksponentami pierwszorzędnych kłamstw i półprawd dziesiątego rzędu ważności. Bajarzami marginesu tematycznego z łaski partyjnej cenzury. Adwokatami serwilizmu, wydobywającymi z zanadrza nieopłacony nawet frazes nadziei; nie wiadomo — z przyzwyczajenia czy z litości nad czytelnikiem.

Upadlające dziś — i perspektywa jeszcze bardziej upadlającego jutra. Nawet najwytrawniejszy badacz nie wyczyta w sterylnej prasie PRL odbicia epoki. Prus i Świętochowski, Boy i Nowaczyński, Pruszyński i Mackiewicz, Brun i Fik czy Słonimski nie znajdą w Polsce Ludowej następców, spadkobierców publicystyki zaangażowanej, autentycznej.

Z emigracyjnej odległości i po wieloletnim treningu milczenia w kraju mogłabym zrezygnować z pierwszej osoby liczby mnogiej. Nie korzystam z tego prawa. Wiem zbyt dobrze o ile łatwiej oceniać i ferować publiczne sądy nad Sekwaną niż nad Wisłą.

Wśród autorów przedruków nie zauważyłam szuj i gangsterów politycznych na usługach MSW — osiadaczy, gontarzy, kąkolów, podsiadłów, fillerów, dziedziców, roszkowskich, reuttów, anuszkiewiczów etc. Owszem, są tacy, których poglądów nie podzielam. Większość to zastraszeni, zniechęceni, nie wierzący w możliwość zmian i owocność walki — dobrowolni „więźniowie" wybranego zawodu, który stał się dla nich gorzkim z a w o d e m życiowym. Część należała do doborowej niegdyś stawki krajowego dziennikarstwa — ludzi myślących i zgrabnie posługujących się piórem.

Zasługą tych piór właśnie, że ową kondensację bzdury i bezduszności czyta się jednym tchem. Że surrealizm kraju, trafnie podchwycony przez Flemminga — w wykonaniu Rolickiego („Daj mi udo") i innych autorów książki wywołuje grozę silniejszą niż amerykańskie „dreszczowce". R o z r y w k o w e, rewelacyjnie-optymistyczne, komentarzowo-bezradne malowanie zwyrodnień społecznych i gospodarczych, traktowanie ich w kategoriach zwyczajności, zawieszanie ich w tej zwyczajności bez próby analizy przyczyn i oceny — stwarza *purnonsens* doskonały. Ukazuje potworka zrodzonego z niechcianego lecz zalegalizowanego związku dziennikarza z władzą.

Są to niebezpieczne związki. Rezygnacja z ambicji wpływania, świadomość bezsilności, polityka „rozmywania" solidarności zawodowej, wzorcowe kariery serwilistów — nadszarpnęły głęboko morale środowiska. Dziennikarz coraz bardziej upodabnia się do biurokraty, zwłaszcza ten z młodszej generacji. Biurokrata traktuje swój urząd jako beneficium, jego kolega w prasie — podobnie.

Donosów o tym, jak pana redaktora źle obsłużono na kursie samochodowym, pani redaktor nie uszanowano w hotelu, nie usatysfakcjonowano w restauracji — jest w recenzowanym zbiorze sporo w prasie krajowej — zatrzęsienie. W tych wypadkach odwaga dopisuje autorom. Krytykują ostro, z podaniem adresu i nazwiska, z cytowaniem „nieprawomyślnych" wypowiedzi ludzi nie będących pod ochroną. Jest to novum, świadectwo deprecjacji zawodu i adaptacji określonych obyczajów. W ogródku Starewicza i Olszowskiego — ku radości ogrodników — coraz obficiej plenią się chwasty. Prasa staje się instrumentem „doskonałym" w rozumieniu władzy.

Ewa WACOWSKA

P.S. Proponuję, by *Kultura* przesłała na redakcyjne adresy egzemplarze autorskie. Z tych c z y t e l n i k ó w nie trzeba rezygnować, dopóki jeszcze kołace się w kraju wspomnienie roli, jaką dziennikarze odegrali 14 lat temu w służbie narodu.

E. W.

Nadesłane nowości wydawnicze

DZIEWANOWSKI (M. K.). *Joseph Piłsudski. A European Federalist, 1918-1922.* Str. 379 i 3 nlb. (Wyd. Hoover Institution Press, Stanford University, Stanford, Cal. USA, 1969, dol. 8,70).

Studies in Comparative Communism. An Interdisciplinary Journal. July/October, 1969. Str. 412 i 4 nlb. (Vol. 2, nos 3 & 4). (Wyd. Univ. of So. California).

Yad Vashem Studies on the European Jewish Catastrophe and Resistence. Vol. VII. Ed. by Livia Rothkirchen, Jerusalem, 1968. Str. 231 i 1 nlb.).

HRYCIUK (Roman) i PETRASZKO (Marian). *Bartoszyce. Z dziejów miasta i powiatu.* Str. 424. (Wydawnictwo „Pojezierze", Olsztyn 1969).

Podanie ręki. Zbiorek wierszy poetów związanych ze *Zwrotem.* Publikacja wydana z okazji 20-lecia miesięcznika jako dar dla jego czytelników. Str. 48. (Wyd. *Zwrot,* Czeski Cieszyn 1969).

MAUGOUAR (Charles). *La belle Polonaise.* Chronique des Années 20. Str. 184. (Wyd. Fernand Lanore, Paris 1970).

SIWEK (Paul, S. J.). *L'Unité de l'Organisme du Point de vue philosophique.* Str. 223-233. (Odbitka artykułu z *Revista Portuguesa de Filosofia,* t. XXV-3-4, Braga 1969).

WYRWA (Tadeusz). *La gestion de l'entreprise socialiste. „L'expérience Polonaise"* Str. 224. (Wyd. Librairie Générale de Droit et de Jurisprudence, Paris 1970).

Fraternité d'armes franco-polonaise sur les champs de bataille de 1797 à 1815. Catalogue de l'exposition organisée à la Bibliothèque Polonaise de Paris à l'occasion du bicentenaire de Napoléon. (Wyd. Société Historique et Littéraire Polonaise, Paris 1969).

Saving Jews in War-Torn Poland 1939-1945. Str. 56. (Wyd. Wilke and Company Limited, Clayton, Victoria, 1969).

The Israel Yearbook 1970. Str. 339. (Wyd. Israel Yearbook Publications, Tel Aviv, 1970).

PASZKOWSKI (Lech). *Dr. Jan Danysz and the Rabbits of Australia.* Str. 111-121. (Odbitka z The Australian Zoologist, 15 (2), 1969).

GIERGIELEWICZ (Mieczysław). *Introduction to Polish Versification.* Str 210. (Wyd. University of Pennsylvania Press, Philadelphia 1970, cena dol. 10).

KUSIELEWICZ (Eugene dr). *Reflections on the Cultural Condition of the Polish American Community.* Str. 26. (Wyd. Czas Publishing Co., Inc. New York, 1969).

Soviet Materials on Military Strategy. Inventory and Analysis for 1963. Do druku przygotowali W. Onacewicz i R. D. Crane. (Wyd. The Center for Strategic Studies, Washington). Str. 140.

DZIEWANOWSKI (M. Kamil). *The Last Charge.* (Artykuł w „Mankind" — Vol. 2, No. 4, 1969).

BYRSKI (Zbigniew). *The Communist 'Middle Class' in the USSR and Poland.* Str. 80-90. (Odbitka z SURVEY, No. 73, Autumn 1969. Londyn).

PETERKIEWICZ (Jerzy). *The Other Side of Silence.* The Poet at the Limits of Language. Str. 128. (Wyd. Oxford University Press, London 1970, cena 30 sh.).

Guide to the Dag Hammarskjöld Collection on Developing Nations. Str. 157. (Wyd. Central Michigan University Press, Michigan 1968).

HAUSTEIN (Ulrich). *Sozialismus und Nationale Frage in Polen.* Str. 304. (Wyd. Böhlau Verlag, Köln-Wien 1970).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-3-70

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 84, wybitny dramaturg Jerzy Szaniawski ■ W Jabłonnie pod Warszawą odbyło się drugie polsko-francuskie spotkanie Okrągłego Stołu. Dyskusja dotyczyła dalszego rozwoju stosunków gospodarczych, politycznych i kulturalnych. ■ W br. Pracownie Sztuk Plastycznych przystąpiły do budowy pamiątkowych pomników i tablic na grobach twórców, zasłużonych dla kultury narodowej. Pomniki i tablice pamiątkowe zbudowane zostaną m.in. na grobach: kompozytorki Grażyny Bacewiczówny, plastyka Juliusza Wojciecha Zamecznika i Andrzeja Jurkiewicza, aktora Karola Borowskiego, aktorki Heleny Junosza-Stępowskiej, pisarzy — Janusza Stępowskiego i Krystyny Artyniewicz, pochowanych w Warszawie. Przewiduje się również remont grobu rodziców i siostry wybitnych polskich malarzy braci Aleksandra i Stefana Gierymskich w Warszawie oraz budowę pomników na grobach pisarza Waldemara Babinicza pochowanego w Nałęczowie i reżysera Mieczysława Stawskiego w Łodzi. Autorami projektów pomników i tablic będą wybitni polscy rzeźbiarze. Prace zakończone zostaną w bieżącym roku. Należy żałować, że nie pomyślano o restauracji pomników na terenie ZSSR i ziem włączonych po wojnie do Ukraińskiej, Białoruskiej i Litewskiej Republik. ■ Proponowane obecnie w Polsce zmiany w systemie bodźców materialnego zainteresowania w przemyśle przewidują, iż faktycznym źródłem finansowania przyszłych podwyżek płac i zwiększenia funduszów premiowych w przedsiębiorstwach stanie się przede wszystkim obniżka kosztów wytwarzania. ■ Parokrotnie podwyższone zostały stawki celne za samochody przywożone do Polski. Bez względu na stan zużycia czy wielkość samochodu nowa stawka celna wynosi 150 zł od 1 kg wagi samochodu. Zniesiono równocześnie wszelkie ulgi celne dla osób przebywających za granicą powyżej 6 miesięcy. ■ Z opóźnieniem dowiedzieliśmy się, że w dniu 28 lutego zmarł w Warszawie inżynier Tadeusz Kobylański, były przedwojenny wydawca *Gońca Warszawskiego* i *Wieczoru Warszawskiego,* b. przedwojenny senator, w czasie 2 wojny uczestnik Podziemia i więzień Oświęcimia i Buchenwaldu w latach 1943-1945.

17-3-70

Zakończyły się jubileuszowe XXV Targi Krajowe w Poznaniu. Ekspozycję zwiedziło sto osiemnaście tysięcy osób. Podpisano ok. pięćdziesiąt dwa tysięcy transakcji handlowych. ■ Co roku przybywa w PRL ponad 50 tys. młodzieży, która nie ukończyła szkoły podstawowej. ■ Członek Biura Politycznego KC PZPS, G. Woronow, zapowiedział zwołanie w bieżącym roku XXIV Zjazdu KPZS. ■ Papież Paweł VI powołał na wakującą Stolicę Biskupią w Łomży — Ks. Dr. Mikołaja Sasinowskiego, Rektora Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży. ■ Aleksander Dubczek, obecnie ambasador CSRS w Turcji, zawieszony został w prawach członka KPCz (aż do czasu zakończenia dochodzenia partyjnego). Wykluczono z KPCz byłych członków prezydium i sekretariatu KC KPCz: Smrkovskiego, Cisarza, Szpaczka, Mlynarza, Kriegla, Szimona, Boruvkę, Slavika. ■ Obywatel sowiecki Iljin (lat 23), który z górą rok temu strzelał w bramie Kremla do kolumny samochodów wiozących sowieckich kosmonautów, uznany został za psychicznie chorego. ■ Polska liczyła z końcem ubiegłego roku 32 mln 670 tys. ludności, z czego 51,5 proc. to mieszkańcy miast. Przeciętna gęstość zaludnienia wynosiła 105 osób na 1 km kw. Przyrost naturalny nadal się obniżał i wynosił w 1969 r. 8,2 promille. Największy przyrost naturalny notowano na

Ziemiach Zachodnich i Północnych, najniższy w Łodzi (0,4 promille) i w Warszawie (0,6 promille). ■ PZPR liczy obecnie ponad 2 mln 200 tys. członków i kandydatów. ■ 15 proc. adwokatów w Polsce należy do PZPR, 14 proc. — do SD i ZSL. ■ Od 17. III. obowiązują nowe ceny „Polskiego Fiata" w Banku PeKaO. Dotychczasowe ceny uległy obniżce o 500 dolarów. Ceny samochodów „Warszawa" oraz samochodów zagranicznych sprzedawanych w Banku PeKaO za dewizy pozostają bez zmian. ■ „Dziennik Ustaw" z dnia 27 marca br. przynosi rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie utworzenia Uniwersytetu Gdańskiego oraz rozporządzenie Prezesa Rady Ministrów w sprawie zakresu i trybu sprawowania nadzoru i kontroli przez organa kontroli prasy, publikacji i widowisk. ■ W Gdyni wodowano masowiec „Manifest Lipcowy" (55 tys. DWT) — największy statek zbudowany dotychczas w stoczniach polskich.

25-3-70
W Moskwie rozpoczął się trzeci Kongres Związku Pisarzy Federacji Rosyjskiej. Związek liczy 3.590 członków. Prezesem Związku został mierny poeta S. Michałkow, znany ze swych ortodoksyjnych poglądów. Michałkow był współtwórcą hymnu sowieckiego, dziś już nie śpiewanego ze względu na zawartą w nim gloryfikację Stalina. Michałkow wybił się ostatnio jako przywódca kampanii prowadzonej przeciwko A. Sołżenicynowi. ■ Biblioteka uniwersytecka w Łodzi przygotowała z okazji 60 rocznicy śmierci Elizy Orzeszkowej wystawę obrazującą życie i twórczość pisarki. Na wystawie zgromadzono nie tylko książki i rękopisy Orzeszkowej lecz także liczne zdjęcia i dokumenty.

31-3-70
Marszałek sow. Siemion Timoszenko zmarł w Moskwie na raka, w wieku 75 lat. Dowodził on wojskami sowieckimi, które wkroczyły do Polski 17 września 1939 roku.

1-4-70
Wiera Mihajlov, matka Mihajlo Mihajlova, który niedawno został zwolniony z więzienia (po dwóch latach i 11 miesiącach) została zaaresztowana na lotnisku w Belgradzie w chwili gdy zamierzała odlecieć do USA, by odwiedzić swą córkę. Po szczegółowej rewizji odebrano jej paszport zagraniczny oraz manuskrypt nowej książki jej syna, potem ją zwolniono. Książka ma charakter czysto filozoficzny a nie polityczny. ■ Związek Sowiecki udostępnia w tym roku turystom zagranicznym 100 miast. Nowe trasy sięgają od Erywania do Ałmy Aty, obejmując obszar od morza Kaspijskiego do Chin.

2-4-70
Zmarła w Warszawie Tacjanna Wysocka, wybitna artystka, choreolog i pedagog. ■ Redaktorem naczelnym popularnego tygodnika krakowskiego *Przekrój* został Mieczysław Kieta, dot. redaktor *Dziennika Polskiego* w Krakowie.

4-4-70
Radio czeskie doniosło o wybuchu w kopalni na Śląsku, w pobliżu granicy polskiej. W katastrofie zginęło 16 górników. Radio nie podaje narodowości górników. ■ *Pravda* w Bratislavie podaje, że zostali wykluczeni z partii: M. Hajek — b. min. spraw zagranicznych, M. Vaculik — b. sekr. gen. partii na ogręg praski, F. Sorm — b. prezydent Akademii Nauk, Oldrich Stary — b. rektor Uniwersytetu im. Karola w Pradze, Jiri Sekera red. nacz. *Rudego Prava* do kwietnia 1969, Karel Kosik — kierownik katedry filozofii na Uniwersytecie Karola. ■ Przeprowadzana jest czystka w Zakładach Dieselowskich CKD w Pradze. Prasa partyjna czeska twierdzi, że w Zakładach wydawane było pismo o charakterze antysowieckim. ■ Tygodnik KC partii czeskiej *Tvorba* dołączył do swego nru 10/1970 szesnastostronicową broszurę pt. *Pariżska „Kultura"*, opracowaną przez niejakiego Frantiska Hajna. ■ Agencja Reutera donosi o zwolnieniu z więzienia znanego dziennikarza czeskiego Jiri Lederera. Jego aresztowanie w styczniu br. było łączone w prasie PRL i zachodniej z procesem 5-ciu w Warszawie. ■ Przewodniczący Centralnej Komisji Kontrolno-Rewizyjnej KP Czechosłowacji Jakesz stwierdził, że rozmowy z członkami partii (w ramach akcji wymiany legitymacji partyjnych) przeprowadzać mogą jedynie ci działacze partii, którzy rozumieją obecną politykę partii, a którzy w 1968 r. zajmowali pryncypialne stanowisko. Wykluczeni z partii — powiedział Jakesz — nie mogą być dyrektorami, wicedyrektorami, kierownikami wielkich oddziałów. ■ Obywatele czechosłowaccy będą mogli wyjeżdżać indywidualnie na Zachód jedynie na oficjalne zaproszenie najbliższych krewnych. Zgodę na wyjazd otrzymają ci obywatele, którzy minimum od 3 lat nie byli w krajach zachodnich.

9-4-70
Władze zlikwidowały sekcję zagraniczną Czeskiego Związku Pisarzy. Jej kompetencje przejęło Ministerstwo Kultury. Praktycznie oznacza to odcięcie literatów czeskich od kontaktów międzynarodowych. ■ Episkopat Polski zwrócił się do Watykanu z postulatem rozpoczęcia rozmów między Stolicą Apostolską a władzami PRL dla uregulowania statutu prawnego administracji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych, ofiarowując swe usługi jako pośrednik.

13-4-70
Londyński Instytut Studiów Strategicznych podaje, że Chiny zmasowały na granicy chińsko-sowieckiej 47 dywizji, liczących 564.000 ludzi. Razem z milicją i oddziałami straży granicznej — 814.000 ludzi. Związek Sowiecki ze swej strony ma 62 dywizje liczące łącznie 658.000 ludzi. Ponadto armia sowiecka od 1969 r. na terenie Dalekiego Wschodu i Mongolii ma 28 dywizji, a więc tyle samo co na terytoriach Demokracji Ludowych w Europie Wschodniej. Tenże Instytut podaje że w 1969 roku było 81 aktów piractwa powietrznego, z tych 70 uwieńczonych sukcesem. 63 samoloty były skierowane na Kubę, lecz począwszy od ostatniego kwartału 69 „... epidemia rośnie i rozszerza się geograficznie".

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-3-70
W Kopenhadze zmarła w wieku 75 lat Loenie Sonning, która stworzyła w 1948 r. coroczną nagrodę swego imienia w wysokości 100.000 koron, przeznaczoną dla Europejczyka specjalnie zasłużonego dla cywilizacji europejskiej. Wśród laureatów byli Winston Churchill, Albert Schweitzer, B. Russell, Niels Bohr. ■ Znany pisarz dramatyczny, Artur Adamow, popełnił samobójstwo w Paryżu, w wieku lat 61.

17-3-70
Znany dramaturg belgijski Fernand Crommelynck, zmarł w swej posiadłości w St. Germain-en-Laye w wieku 84 lat. ■ W Londynie, w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. Sikorskiego, została otworzona przez ambasadora E. Raczyńskiego wystawa pamiątek Marynarki Wojennej. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej ogłosił sprawozdanie, stwierdzające że przeprowadzana od blisko roku akcja zbiórki na Fundusz Obrony Dobrego Imienia Polski przy-

niosła zaledwie 50.000 dolarów z ofiar społecznych, tj. połowę sumy zaplanowanej. Kongres Polonii ogłosił wezwanie do kontynuowania tej akcji.

25-3-70
Zmarł w Sao Paulo w Brazylii, w wieku 79 lat, Jerzy Kłopotowski, b. min. pełnomocny R.P. w Rydze.

30-3-70
Zmarł w Londynie, w wieku 68 lat, płk dypl. Wacław Chocianowicz, uczestnik samoobrony Wilna w 1919, który do końca zajmował się problematyką ziemi wileńskiej.

31-3-70
W Norwich (USA) zmarł, w wieku 84 lat, Heinrich Bruening, ostatni kanclerz umiarkowany Republiki weimarskiej. Kanclerz Bruening mieszkał w Stanach od 1934 r. ■ W Guatemali został porwany ambasador Niemieckiej Republiki Federalnej, hr. Karl von Spreti, prawdopodobnie przez tajną organizację F.A.R. (Rewolucyjne Siły Zbrojne). Od 27 lutego br. jest to czwarte porwanie dokonane przez tę organizację. (Został on przez F.A.R. zamordowany).

4-4-70
Miesięcznik włoski *Il Drama* opublikował sztukę Al. Sołżenicyna „Świeca na wietrze". Sztuka była napisana w 1960 r. Pismo nie podaje jaką drogą dostało tekst.

5-4-70
W Londynie odbyła się pod protektoratem gen. W. Andersa akademia ku czci gen. K. Sosnkowskiego. Urna z prochami Generała została pochowana na cmentarzu Montmorency w Paryżu. ■ W Lens odbył się walny zjazd Związku Harcerstwa Polskiego we Francji. Przewodniczącą ZHP na Francję została wybrana p. Helena Karasińska. ■ W Rzymie zmarł nagle na atak serca znany polski orientalista Ananiasz Zajączkowski. Miał on wziąć udział w konferencji na temat średniowiecznej kultury perskiej. Przeżył 67 lat.

7-4-70
W Arena Stage w Waszyngtonie odbyła się premiera sztuki Sławomira Mrożka *Policja i Czarowna Noc*. Strafford Festival Theater w Kanadzie przygotowuje amerykańską prapremierę najnowszej sztuki Mrożka *Vatzlav*. Premiera jest przewidziana na 11 sierpnia.W Canadian Arts Center w Ottawie wystawiono jednoaktówki: *Karol, Na pełnym morzu, Strip-tease*. La Mamma Teater w Nowym Jorku przygotowuje na koniec maja premierę: *Karola* i *Czarownej nocy*. Ponadto sztuki Mrożka znajdują się stale w repertuarze teatrów amatorskich, uniwersyteckich i szkolnych w różnych stanach Ameryki Płn. Sł. Mrożek bawi obecnie w Stanach Zjednoczonych. Ostatnia bardzo kontrowersyjna sztuka Mrożka *Vatzlav*, spotkała się z wielkim zainteresowaniem w Europie. Po prapremierze w Zurichu, odbyła się premiera w Amsterdamie. W najbliższym czasie odbędą się premiery w Hamburgu, Wiedniu (Burgtheater), Klagenfurcie i Helsinkach. ■ Zmarł w Warszawie Janusz Woliński, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, prezes Twa Miłośników Historii.

8-4-70
Zmarł w Warszawie, w wieku lat 69, ks. prof. Eugeniusz Dąbrowski, wybitny polski biblista.

9-4-70
Zmarł we Fryburgu w wieku 90 lat pisarz i historyk szwajcarski Gonzague de Reynold. M.in. był on autorem wielkiej ośmiotomowej syntezy historycznej

Formation de l'Europe. ■ Prof. Leszek Kołakowski, znany polski filozof i eseista, przyjął zaproszenie na wykłady w *All Souls College* w Oxford jako *visiting Fellow*.

10-4-70
Staraniem Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Polskich w Paryżu odbył się w salonach YMCA wieczór, na którym p. dr Irena Gałęzowska wygłosiła odczyt o Norwidzie.

11-4-70
W Zurychu, odbył się wieczór autorski p. M. Kamil-Olsienkiewicz w sali Cantaszentrale. Jej książka „Saga Polska" ukazała się w Londynie w końcu ub. roku.

14-4-70
Jeden ze starszych miesięczników francuskich, *Revue de Paris*, przestał wychodzić. Jest to piąty ze znanych periodyków paryskich, który zamyka się z powodu trudności finansowych *(La Parisienne, Le Mercure de France, La Table Ronde, Les cahiers des saisons)*. ■ Rada Polonii Amerykańskiej postanowiła kontynuować w 1971 r. pomoc dla ludności woj. białostockiego, pomimo, że rząd USA zlikwiduje w rb. swój program pomocy żywnościowej, z którego do tej pory Rada Polonii korzystała. ■ Ukonstytuowała się stała Komisja KPA dla stosunków polsko-żydowskich w USA. ■ Prof. L. Krzyżanowski z N.Y. University objął wykłady literatury polskiej w Kolegium Z.N.P. ■ Prasa polonijna opublikowała odpowiedź Departamentu Stanu na apel skierowany przez Kongres Polonii Amerykańskiej w sprawie atomowego zagrożenia krajów Europy Wschodniej. Dep. Stanu potwierdza, że „bierze się pod uwagę, na wypadek agresji, możliwość użycia broni atomowej, jako czynnika odstraszającego, wobec niektórych państw Paktu Warszawskiego. ■ Sąd Najwyższy USA orzekł, że nieznajomość języka angielskiego w mowie i piśmie nie pozbawia obywatela USA prawa głosowania. ■ Odbył się w USA ogólny Spis Ludności, przeprowadzany w tym kraju co 10 lat. Przewiduje się, że stan ludności USA wynosi obecnie 205.000.000. ■ Prezydent Nixon podpisał ustawę zakazującą reklamy wyrobów tytoniowych w radio i TV od 2. I. 1971 r. ■ Kongres Polonii Amerykańskiej odwołał zapowiedzianą konferencję w Orchard Lake, na której przedstawiciele organizacji i nauki mieli opracować projekt uchwał politycznych dla KPA, a przede wszystkim stosunek do kraju.

Listy do Redakcji

Neapol, 10 kwietnia 1970.

Drogi Panie Redaktorze,

Niezmiernie interesujące glossy Hanny Kostek do moich *Upiorów rewolucji* wymagają ze strony autora książki jednego wyjaśnienia. Chodzi o tytuł szkicu wstępnego i zarazem tomu. Hanna Kostek w swoich glossach: „Autor książki dodaje iż stary filozof (Bierdiajew) nie oczekiwał, że „duchy rewolucji rosyjskiej będą w przyszłości najzacieklej ścigane i tępione właśnie przez rewolucję". Mimo to Herling-Grudziński w tytule szkicu i książki mówi wciąż o „upiorach rewolucji". Upiór oznacza w polskiej tradycji złego ducha, zjawę z zaświatów. Jej powrotu się obawiano i zapobiegano mu, przebijając trumnę osinowym kołem. Na taki los, myślę, nie zasługują duchy, o których mowa w tytułowym szkicu. Jeżeli kogo straszą, to kierownictwo Obozu". Ja w moim szkicu tytułowym: „Duchy rewolucji rosyjskiej", egzorcyzmowane i pędzone przez nią precz po zwycięstwie, wracają dziś jako jej upiory. Są jej upiorami, gdyż to ją teraz podkopują i stawiają w stan zagrożenia w imię nowej (choć nie zawsze głośno i jawnie przyzywanej) rewolucji". Sprawa wydaje mi się więc prosta: piszę w mojej książce o starych bierdiajewowskich „duchach rewolucji rosyjskiej", które stały się jej upiorami po roku 1917 i straszą obecnie kierownictwo Obozu; próbuję wykazać że są upiorami dla nowych porewolucyjnych rządzących (jak były, w ujęciu Bierdiajewa, dla dawnych przedrewolucyjnych), ale stają się na powrót duchami rewolucji dla rządzonych.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

◆

Winnipeg, Man., marzec 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

List p. J. M. Bocheńskiego (*Kultura* Nr 12/267, 1969, str. 143) zdopingował mnie do przesłania tych paru uwag. Ja również nie jestem znawczynią polskiego języka i na pewno robię błędy i też byłabym wdzięczna za umożliwienie poprawiania ich, np. w charakterze poradnika prof. Doroszewskiego, który wyjaśniałby wątpliwości, odpowiadał na pytania, wytykał częściej spotykane błędy.

Te, które mnie rzucają się w oczy, to:

1) Wadliwe używanie zaimków „tę" i „tą". Np. „Pożycz mi tą książkę" zamiast prawidłowo „tę książkę", bo „tą książką" można najwyżej dostać po głowie.

2) Dziecinny (*childlish*) zamiast dziecięcy (*children's*). Można zrobić dziecinną, czy głupią, uwagę, ale wózek jest dziecięcy. Pediatra czy lekarz dziecięcy, może czasem być dziecinny. Wszystkich nas to z wiekiem czeka.

3) Ilość, liczba, cyfra. Tu już panuje kompletne bezkrólewie. Pan Antoni Gutowski jest chyba pierwszym na łamach *Kultury*, który zgłębił arkana tej „wyższej matematyki", więc może pomoże mi metodą łopatologiczną wyjaśnić te pojęcia. Jestem absolutnie pewna, że każdy będzie wiedział kiedy użyć *much, many, number*, ale po polsku różnicy nie widzi. W większości artykułów wszystko wyraża się cyframi!!! Słowa składają się z liter, a liczby z cyfr. Liczba 256 składa się z trzech cyfr: 2, 5 i 6. Nie istnieje coś takiego jak cyfra 256. Jak nie istnieje litera „kultura", tylko słowo „kultura".

„Ilość" stosuje się do pojęć niewymiernych — duża ilość wody, tłuszczu. Ale jeśli tę samą wodę wyrazimy w litrach, to to już będzie liczba litrów i liczba kilogramów, jeśli chodzi o tłuszcz.

W ramach „redakcja zastrzega sobie prawo skracania listów" nie obrażę się jeśli opuści Pan drugą część mego listu. W myśl definicji *a gentleman is the one that never inflicts pain* staram się być *lady* i nie robić nikomu przykrości. Ale czy redakcja nie mogłaby zastrzec sobie również prawa skracania niektórych artykułów?

Na stronie 72 *Kultury* Nr 12/267, 1969, p. Mieroszewski pisze „Powtarzamy do znudzenia...". Faktycznie! To chyba pierwsza samokrytyczna wypowiedź p. Mieroszewskiego, bo na ogół swoje złote myśli i nieomylne opinie obwieszcza *ex cathedra*, niezbyt zachęcając do dialogu. Na litość boską, redaktorze, nie pozwól nas zanudzić na śmierć! W tymże numerze *Kultury* na stronach 64-68 „program" powtarza się 22 razy! Policzyłam! Artykuł jest słuszny, ale o ile byłby ciekawszy gdyby go tak skrócić do połowy. Rozumiem, że nie każdy umie wyrażać się zwięźle i precyzyjnie. Ale od czegóż jest redaktor? Jeśli p. Mieroszewski musi pisać, to trudno. Osobiście nawet dobrze mi to robi na niskie ciśnienie, ale niech już nie „powtarza do znudzenia". *Repetitio mater studiorum est* mawiał mój ukochany profesor. Ale 3, 4, 5 razy. Po co 22? Z reguły czytam *Kulturę* od deski do deski tylko przy p. Mieroszewskim załamuję się nerwowo.

Z poważaniem,

Danuta PODKOMORSKA

◆

Montreal, marzec 1970.

Drogi Panie,

Jestem pod wrażeniem tego co „polrealizm" robi z niektórymi „liberalnymi" Polakami. Nieboszczyk Grydzewski uważał senatora MacCarthy'ego za „mądrego", Londyńczyk w notatce „Pinkville w perspektywie" wydaje się bronić lub przynajmniej usprawiedliwiać mordowanie cywilnych osób.

Jest to mniej ważne, ale Londyńczyk nie czyta widocznie prasy amerykańskiej, bo odnoszę wrażenie, że nie wie o tym, że Stany Zjednoczone ratyfikowały powojenną konwencję międzynarodową, zakazującą mordowania cywilnej ludności i przepisy te inkorporowały w obowiązującym od szeregu lat regulaminie wojskowym. (Nie służyłem w wojsku, ale myślę, że coś podobnego istniało dawniej). Chyba wszyscy podzielają współczucie Londyńczyka dla żołnierzy amerykańskich w Wietnamie i ich rodzin. Nie w tym leży problem. Część społeczeństwa amerykańskiego uważa, że konstytucja amerykańska wymaga, aby wojna była wypowiedziana na podstawie uchwały senatu. Wobec braku takiej uchwały, w wypadku działań wojennych w Wietnamie, Stany nie są obecnie w stanie wojny, a zatem kwestionowana jest konstytucyjność przymusowego poboru do wojska. Nie robię wycinków z prasy, więc mogę się mylić, ale sprawa ta była raz rozpatrywana przez sąd niższej instancji i bodaj skierowana do sądu konstytucyjnego (*Supreme Court*).

Nie studiowałem nigdy prawa wojny, sądzę jednak, że robi ono dystynkcję pomiędzy wojną zaczepną i obronną, traktowaniem kombatantów i ludności cywilnej, mówi o sposobach wypowiedzenia wojny itp. Nie widzę dlaczego wojna atomowa wnosi coś nowego i: „Dopóki nie rozwiążemy tego problemu

— nie ma podstawowej etycznej różnicy pomiędzy sędziami a oskarżonymi — pomiędzy Pentagonem a sprawami masakry w Pinkville". Po raz pierwszy w życiu występuję w obronie Pentagonu, ale nie sądzę aby wszyscy wojskowi tam pracujący pochwalali lub uważali za konieczne mordowanie cywilnej ludności.

Jest u Londyńczyka jakieś dziwne „kwantytatywne" traktowanie tej sprawy. Jeżeli chodzi o „jakość" śmierci to osobiście wolałbym zginąć szybko od bomby atomowej, jak męczyć się dłużej od broni „konwencjonalnej". Co nowego w wojnie totalnej? Tamerlan kazał wyrżnąć wszystkich mieszkańców Samarkandy, Krzyżacy wymordowali Prusaków, Polacy zlikwidowali Jadźwingów itp., itp. Dlaczego ostatnia wojna była specjalnie krwawa? Nie pamiętam cyfr, ale wojna trzydziestoletnia „wyludniła Rzeszę", uczono mię w gimnazjum!

Łączę uścisk dłoni,

Tadeusz SOŁOWIJ

◆

Wellington, 21 marca 1970.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Znakomita zazwyczaj pamięć Doktora Aleksandra Hertza zawiodła, jeśli idzie o „Księdza Feldmana", o którym wspomina w swoim ciekawym artykule pt. „Bunt Młodych" (*Kultura* Nr 1/268-2/269). Księdzem, który był bezpośrednią przyczyną pierwszej w historii Uniwersytetu Jagiellońskiego „całej rewolty studenckiej" był Ks. Kazimierz Zimmerman, profesor Wydziału Teologicznego U.J. Przeniesienie Ks. Profesora Zimmermana z Wydziału Teologicznego na katedrę Wydziału Filozoficznego spowodowało „rewoltę": w rozumieniu lewicowych kół młodzieży uniwersyteckiej objęcie katedry na Wydziale Filozoficznym przez profesora Wydziału Teologicznego równało się zwiększeniu wpływów kół klerykalnych na Uniwersytecie Jagiellońskim. W czasie tej „zimmermaniady", jak później nazywano tę „rewoltę", studenci starali się dostać do gmachu Collegium Novum, gdzie urzędował rektor, wspinając się na wysoką, żelazną bramę gmachu; była to też pierwsza demonstracja, w której wzięły udział nieliczne wówczas studentki. Z chwilą powrotu Ks. Profesora Zimmermana do jego dawnej katedry na Wydziale Teologicznym, nastąpiło uspokojenie umysłów tak, że kilkanaście lat później, już za Niepodległości, Ks. Zimmerman został rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego bez żadnych protestów.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Kazimierz WODZICKI

◆

Londyn, 28 marca 1970.

ODPOWIEDŹ NA ODPOWIEDŹ

Drogi Panie Redaktorze,

Z notatki p. Mieroszewskiego w grudniowej *Kulturze* wynika, że źle on zrozumiał wyniki ankiety, którą krytykuje. Opiera się tylko na dwóch liczbach: 90 % głosów, stwierdzających niemożliwość porozumienia się narodu polskiego ze Związkiem Sowieckim, i 92 % stwierdzających niemożliwość porozumienia z Niemcami. Z tego wyciąga wniosek, że ogromna większość respondentów i na przyszłość zaleca przedwojenną politykę polską w stosunku do sąsiadów: „ani z Rosją ani z Niemcami", co dałoby w przyszłości takie same rezultaty jak w roku 1939.

Krytyk zapomina o tym, że analizę jakiejkolwiek ankiety należy robić w kontekście całokształtu jej danych. Do tego kontekstu należy przede wszystkim jeszcze jedna ważna liczba: 95 % głosów padło na rzecz Zjednoczonej Europy, do której Polska powinna ich zdaniem należeć. Na tle powyższego, głównym sensem ankiety nie jest jakieś abstrakcyjne zalecanie jakiejkolwiek polityki we wszelkich sytuacjach.

Gdyby respondenci zalecali kontynuowanie przedwojennej polityki zagranicznej także w analogicznej sytuacji przyszłej, można by nazwać ten ich sposób myślenia samobójczym, jak to p. Mieroszewski czyni. Ale przecież właśnie o to chodzi, że procent zwolenników „ani z Rosją ani z Niemcami" pokrywa się niemal dokładnie z procentem zwolenników Zjednoczonej Europy, która jeżeli dojdzie do skutku z należytym uwzględnieniem interesów polskich, to stworzy sytuację zgoła niepodobną do przedwojennej. W tej nowej, innej sytuacji koncepcja ta, zdaniem respondentów, nie mogłaby budzić wątpliwości, gdyż w skutkach swych byłaby nie podobna do skutków Września. Gdy bowiem robi się to samo w różnych sytuacjach, nie jest to to samo. Dlatego interpretację, wyrwanych z kontekstu liczb, uznać należy za błąd p. Mieroszewskiego.

O ile chodzi o Związek Sowiecki — nasz krytyk jest optymistą, co wynika ze znanej czytelnikom *Kultury*, jego opinii, że Polacy mogą „przekonać" Związek Sowiecki w kierunku przerobienia totalizmu w demokrację, a przymusowego sowieckiego związku narodów — w rzeczpospolitą wolnych narodów. W tę mrzonkę uczestnicy ankiety nie wierzą. Sądzą, że gdy Polska samotnie stoi oko w oko z Sowietami, to jedyne „porozumienie", które obiektywnie wchodzi w rachubę, jest takie, jakie obecnie ma miejsce, tj. w stylu Gomułki. Zupełnie co innego, gdyby powstała Zjednoczona Europa, której potęga dorównywałaby potędze Związku Sowieckiego. W tym wypadku, zdaniem respondentów, normalne stosunki polsko-rosyjskie byłyby zapewne możliwe, a więc wyłączałyby zarówno uległość Polski wobec Rosji czy Niemiec, jak i katastrofę walki z obu tymi państwami. Dodajmy, że Mieroszewski „nie zauważył" w ankiecie, iż 9/10 respondentów podkreśla ważność dobrych stosunków z obu sąsiadami, a tylko w obecnych warunkach nie widzi możliwości realizacyjnych.

Naturalnie powstaje tu ważne pytanie, dotyczące sprawy niemieckiej. Nie wolno zapominać o niebezpieczeństwie niemieckim. Ale bez Niemiec nie uda się stworzyć w Europie siły, która równoważyłaby siłę Związku Sowieckiego. Tak więc *calculated risk* w związku z Niemcami wart jest podjęcia, jak wynika z ankiety; a będzie on tym mniejszy im głębiej, im bardziej organicznie Niemcy wrosną w Zjednoczoną Europę i im bardziej w ten sposób uzależnią się od niej, i od sympatyzującej z nią — Ameryki. Uczestnicy ankiety podkreślają, że pozostawienie Niemiec poza Zjednoczoną Europą, mogłoby prowadzić do nowego Rapallo, podczas gdy Niemcy, będące jej członem, byłyby pozbawione oparcia dla idei rewizjonistycznych w stosunku do Polski. Oto zasadnicze wnioski z ankiety. Czy są słuszne, ocenić można tylko w drodze rzeczowej i sumiennej analizy.

Zresztą z opinii respondentów wynika, że Zjednoczona Europa nie jest jedyną, choć najlepszą, alternatywą w stosunku do porozumienia z Rosją czy z Niemcami. Co może przynieść przyszłość? Może np. powstać neutralny pas między Środkowo-Wschodnią Europą a Rosją. Może dojść do skutku takie czy inne współdziałanie państw bałtycko-czarnomorskich. Duży procent respondentów (87 %) uważa, że w niewiadomym czasie przyszłym wewnętrzne sprzeczności imperium sowieckiego spowodują jego upadek, co stworzyłoby nowy układ stosunków międzynarodowych, a polska koncepcja polityczna mu-

siałaby być przystosowana do tej sytuacji. Mogą też powstać i inne sytuacje i koncepcje polityczne, których dziś przewidzieć nie można, może głównie dlatego, że nie wiadomo, co najbliższe dziesięciolecie przyniesie na ważnym terenie stosunków rosyjsko-chińskich. Dopiero gdyby żadna z możliwych sytuacji międzynarodowych nie rokowała nadziei — przyszłej Polsce pozostałaby tylko jedna droga: pójść z Rosją przeciwko Niemcom albo z Niemcami przeciwko Rosji — tak, aby uniknąć największego, śmiertelnego niebezpieczeństwa, jakim jest porozumienie rosyjsko-niemieckie. Nikt z uczestników ankiety nie twierdził, że w *takiej* sytuacji powinniśmy prowadzić politykę „ani ani".

Chodzi więc o to, że w wizji rozwoju sił międzynarodowych należy brać pod uwagę najrozmaitsze alternatywy, związane z niemożliwą dziś do przewidzenia przyszłością. Takie jest elementarne przykazanie wszelkiego rozumowania politycznego, zwłaszcza przy niezmiernym skomplikowaniu czasów, w jakich żyjemy. Niestety, p. Mieroszewski nie uwzględnia tego wymogu: mówi on zawsze i tylko o porozumieniu z Sowietami — z pozycji księżyca, jak to kiedyś dowcipnie powiedział prof. A. Pragier.

Wreszcie rzecz charakterystyczna: krytykując ankietę, Mieroszewski zupełnie pomija meritum setek wypowiedzi, uzasadniających — motywami historycznymi, politycznymi, ekonomicznymi i psychologicznymi — poglądy mu przeciwne. Na ten temat nie ma on nic do powiedzenia. Ze wszystkich opublikowanych dotąd analiz ankiety, opinia p. Mieroszewskiego jest najuboższa w treści, a najmniej kulturalna w formie (każdy, kto nie myśli tak jak on, to głupiec). Świadczy to o zupełnej bezsilności polemicznej naszego szanownego krytyka i stanowi zarazem dowód, że choć od tylu lat mieszka w kraju, w którym kwitnie sztuka dyskusji — nie nauczył się elementarnych zasad w tej dziedzinie.

Stanisław ZARZEWSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

◆

Kanadyjski korespondent „Kultury": Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.
Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal 2e Trimestre 1970.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	75 cent.	R 4,20	R 8,00
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25.	6,00 F	35,00 F	66,00 F
AUSTRALIA : « Vistula « (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	$ A 1,00	$ A 5,35	$ A 10,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762		145 szyl. a	280 szyl. a
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, Bruxelles 3, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	350,00 F b.	600.00 F. b.
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	6,00 F	32,00 F	60,00 F
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel.: 40-73, Postgiro 1379176.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h	41,00 Fl. h
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto, Ont.; Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. : 482-4673; B. Krasuski, 857 King St. W., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel : 586-3825; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301, Ottawa 2, Tel. : 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. : LE 1-2491.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	6,50 F	35,00 F	66,00 F
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, 1211 Genève 7. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 12.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping C°, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 N° Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Av., Hollywood, Cal. 90028; M. K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W., Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, tel. MU 8-0346, Polish Amer, Book Co, 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave. Jamesburg, N. J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave, Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington, Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5515 Tarnow, Detroit, Mich 48210, Tel. : 899-5165.	1,25 dol.	7,00 dol.	12.00 dol.
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications, Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.		£ 2.07.00	£ 4.10.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-67-241	750 L	3.800 L.	7.500 L

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 3 F półrocznie i 6 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,50 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 183 — SERIA „DOKUMENTY"
WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

MOTORY I HAMULCE SOCJALIZMU

Analiza „błędów i wypaczeń" systemu rządów Polski Ludowej, przeprowadzona przez jedną z czołowych postaci polskiego komunizmu.

Str. 128 Cena egz. F. 12 (dol. 2,50; 20 sh.)

◆

TOM 184 — SERIA „DOKUMENTY"

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

Rzeczywistość polska w oczach prasy krajowej
(Antologia)

Str. 384 Cena egz. F. 24 (dol. 5; 40 sh.)

◆

TOM 185 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT SIEDEMNASTY

Zawiera m.in. Memoriał Michała Romera z 1915 r.: Polska a Litwa; St. Kirkora: „Korespondencje" J. I. Kraszewskiego; W. Jędrzejewicza: Sprawa Wilna w lipcu 1920; L. Mitkiewicza: Placówka „Star" oraz Relacje, Recenzje i Polemiki.

Str. 240 Cena F. 18,50 (dol. 4; 30 sh.)

◆

TOM 186 — WITOLD GOMBROWICZ

TRANS-ATLANTYK

TOM II-gi „DZIEŁ ZBIOROWYCH"

Str. 132. Cena F. 14 (dol. 3; 25 sh.)

Cena 6,00 F

Richard, 24, rue Stephenson, Paris-18e